

Przed świtem
Teresa Medeiros



Prolog

Londyn, 1826

Noc była piękna; w sam raz, żeby umrzeć. Mrok gęstniał, a z bezgwiezdneho nieba padały grube płatki śniegu. Wkrótce puszysta powłoka bieli ukryła brud i brzydotę uliczek Whitechapel. Śnieżne płatki tańczyły i wirowały wokół latarni, tłumiąc ich blask.

Jenny O'Flaherty przykryła kapturem swoje piękne, czarne włosy, pochyliła głowę i przyspieszyła kroku. Padający śnieg nie łagodził podmuchów lodowatego wiatru, wdzierających się pod jej znoszone, cienkie okrycie. Jeszcze nigdy z taką ochotą nie wracała do ponurego mieszkania, które dzieliła z trzema innymi dziewczętami. Z radością myślała o tym, że wkrótce usiądzie przed kominkiem z miską gorącej owsianki, która rozgrzeje jej dłonie i żołądek.

Kiedy jakiś lokaj, krzywiąc się pogardliwie, zepchnął ją z chodnika, żeby jego pani mogła wygodnie przejść, Jenny zazdrośnie spojrzała na eleganckie, skórzane rękawiczki kobiety. Piętnaście godzin dziennie pracowała jako szwaczka, często raniąc sobie palce ostrą igłą. W takie mroźne noce jak ta skóra na jej dłoniach boleśnie pękała i krwawiła, nie pozwalając jej w nocy zasnąć.

Jenny postanowiła przestać uważać się nad sobą i dumnie

uniosła głowę. Jej kochana stara matka, Panie świeć nad jej duszą, zawsze jej powtarzała, że należy się cieszyć tym, co się ma. Nikt nie chciał zatrudnić niewykształconej irlandzkiej dziewczyny jako guwernantki lub damy do towarzystwa, ale przynajmniej nie musiała zarabiać na ulicy, jak wiele dziewcząt, które trzy lata temu przybyły tu z Irlandii tym samym statkiem co ona. Na myśl o tym, że musiałyby sprzedawać swoje ciało każdemu mężczyźnie, który miałby ochotę i dwa szylingi w kieszeni, czuła zimny dreszcz obrzydzenia.

Kiedy dochodziła do wylotu kolejnej ciemnej uliczki, zwolniła kroku. Jeśli pójdzie tym skrótem, o wiele szybciej znajdzie się w domu. Przy ładniejszej pogodzie nie ryzykowałyby tak bardzo, ale doszła do wniosku, że w taką mroźną noc na pewno nikt jej nie napadnie. Nie miała kuszącej złodziei sakiewki, a z przygarbionymi ramionami i szczelnie otulona szalem wyglądała z daleka jak wiekowa staruszka.

Znów pomyślała tęsknie o ogniu strzelającym w kominku, o misce owsianki, czekającej na nią w domu i jeszcze raz zerknęła za siebie na kłębiący się na ulicy tłum ludzi. Po krótkiej chwili wahania skręciła w pusty zaułek.

Szła szybko ciemną uliczką, a jej niepokój wzrastał się z każdym krokiem. Wiatr hulał między rozpadającymi się kamienicami, jęcząc jak zdradzona kochanka. Jenny nerwowo spojrzała za siebie. Już zaczęła żałować, że nie wybrała dłuższej, ale bezpieczniejszej drogi do domu i nie została na gwarnej, tłocznej ulicy. Chociaż na śniegu pokrywającym chodnik nie widziała żadnych śladów, oprócz własnych, przysięgłaby, że słyszy za sobą ciche kroki.

Ruszyła przed siebie truchtem, żeby jak najszybciej do-

trzeć do końca opustoszałego zaułka. Dotarła niemal do jego wylotu, kiedy potknęła się o wystający kamień i upadła na bruk.

Zobaczyła obok siebie jakiś cień. Wolno uniosła głowę, bojąc się tego, co może zobaczyć. Jednak zamiast okrzyku przerażenia z jej ust wyrwało się westchnienie ulgi. Żaden rzezimieszek nie mógł być tak elegancko ubrany.

Postać pochyliła się nad nią, ujęła ją pod ramię i pomogła wstać. Zobaczyła przed sobą oczy, które zdawały się niemal płonąć w otaczającym mroku.

- Moje biedactwo - usłyszała łagodny głos. - Na pewno się wystraszyłaś. Jak ci na imię, dziecko?

- Jenny - wyszeptała, zahipnotyzowana spojrzeniem tych niezwykłych oczu. - Nazywam się Jenny.

Zobaczyła, że na dźwięk jej irlandzkiego akcentu w pięknych, niesamowitych oczach pojawił się uśmiech.

- Bardzo ładne imię dla takiej ślicznej dziewczyny.
- Uśmiech nagle zniknął. - Spójrz tylko! Ręce ci krwawią!

Jenny zacisnęła dłonie, wstydząc się, że są takie zniszczone i pokaleczone.

- Nic się nie stało. To tylko małe skaleczenie.

- Pozwól, że je obejrzę.

Opierała się, ale nieznajomy zdecydowanie pochwycił jej dłoń. Zanim zdążyła coś powiedzieć, jej dłoń została poddana starannym oględzinom. Jenny spodziewała się, że za chwilę dostanie chusteczkę, żeby opatrzyć skaleczenie. Tymczasem, niczym w koszmarnym śnie, zobaczyła łakomy język, zlizujący krew z jej palców.

Dygocząc z przerażenia, Jenny wyrwała rękę i chciała rzucić się do ucieczki. Nadzieja na powrót do domu i miskę

owsianki przy kominku zaczynała coraz szybciej blednąć. Zanim dziewczyna zdołała zrobić następny krok, została pochwycona z bezlitosną siłą. Broniła się, jak mogła, ale nie miała najmniejszych szans, żeby się uratować.

- Dobranoc, słodka Jenny - usłyszała cichy głos tuż przy uchu. Wszystko wokół niej zalała czerwień, a potem była już tylko ciemność.



Rozdział I

Zapowiadał się piękny dzień, i nie żał byłoby umrzeć. Płatki śniegu wirowały w porannym powietrzu, okrywając łąkę nieskazitelną bielą. Julian Kane łatwo mógł sobie wyobrazić, jak na tym tle mogłyby wyglądać czerwone bryzgi jego krwi.

Roześmiał się hałaśliwie, zakłócając panującą wokół ciszę.

- I co powiesz Cubby, mój przyjacielu? Może zaśpiewamy jakąś wesołą piosenkę, żeby dodać sobie animuszu?
- Potknął się o jakąś nierówność na ścieżce i musiał jeszcze mocniej wesprzeć się na szerokich ramionach towarzysza, żeby się nie przewrócić.

Cuthbert z trudem utrzymywał równowagę. Uginał się pod ciężarem Juliana i mahoniowego pudła, które dźwigał pod wolnym ramieniem.

- Wolałbym nie, Jules. Głowa mi pęka. Wciąż nie mogę uwierzyć, że dałem ci się na to namówić. Jaki inny sekundant zgodziłby się na to, żebyś całą noc przed pojedynkiem spędził na pijatyce? Powinienem cię wsadzić na statek płynący na kontynent, póki był jeszcze na to czas.

Julian pogroził mu palcem.

ułku. Julian był bohaterem wojennym, odznaczonym przez króla po tym, jak nieco ponad rok wcześniej jego regiment na obrzeżach Rangun rozgromił sześćdziesiąt tysięcy żądnych krwi żołnierzy birmańskich. Nie po raz pierwszy z naturalną godnością patrzył w oczy śmierci.

Cuthbert jęknął zrezygnowany.

Julian poklepał go pocieszająco po ramieniu i wyprostował się z wysiłkiem.

- Puść mnie, Cubby, przyjacielu. Chcę o własnych siłach pójść na spotkanie z wrogiem. - Potrząsnął grzywą ciemnych, opadających na ramiona włosów. - Devonforth! - zawołał.

Markiz i jego ponurzy towarzysze zwrócili się ku niemu jednocześnie. Julian dodatkowo rozdrażnił arystokratę, zwracając się do niego po nazwisku, zamiast użyć należnego mu tytułu. Cuthbertowi zdawało się, że markiz z sykiem wciągnął powietrze, ale może to tylko zimny, styczniowy wiatr świstał wśród zmarzniętych drzew.

Mężnie brnąc przez śnieżne zasy, Julian podążał w stronę Wallingforda. Cuthbert przycisnął do piersi drewniane pudło. Mimo strachu, odczuł przypływ dumy, kiedy Julian zatrzymał się na wzniesieniu i wyprostował mocne ramiona. Tak musiał wyglądać, kiedy ruszał do boju w smaganej monsunowymi deszczami Birmie. Nikt by nie odgadł, że po bitwie o Rangun zrezygnował z patentu oficerskiego, a ostatnie półtora roku podróżował po całej Europie, uprawiając hazard i pijąc na umór.

Duma Cuthberta szybko zmieniła się w przerażenie, kiedy Julian zachwiał się i zaczął wolno upadać do tyłu, niczym ścięte drzewo. Sekundant upuścił pudło, rzucił się ku towa-

rzyszowi i w ostatniej chwili chwycił go pod ramiona, zanim ten zdążył osunąć się w głęboki śnieg.

Julian odzyskał równowagę i parsknął śmiechem.

- Gdybym wiedział, że tak mocno wieje, rozwinąłbym żagle.

- Kane, czuć od ciebie alkohol!

Cuthbert podniósł wzrok i zobaczył przed sobą markiza przyglądającego się im z pogardliwym, pełnym wyższości grymasem na arystokratycznej twarzy.

Julian uśmiechnął się z anielską słodyczą.

- Jesteś pewien, że to nie perfumy twojej narzeczonej?

Twarz Wallingforda niebezpiecznie poczerwieniała.

- Panna Englewood już nie jest moją narzeczoną.

Julian zwrócił się do Cuthberta:

- Przypomnij mi, żebym wieczorem złożył tej młodej damie wizytę - poprosił. - Muszę jej pogratulować z głębi serca.

- Wątpię, czy będziesz miał okazję. Pędzej ona złoży kondolencje twojemu przyjacielowi. - Wallingford zdjął rękawiczki z koźlej skóry i uderzył nimi o dłoń z takim samym rozmachem, z jakim poprzedniego wieczoru wymierzył Julianowi policzek. - Przejdźmy do rzeczy. Przez ciebie marnuję swój cenny czas.

Cuthbert wyjąkał słowa protestu, ale Julian mu przerwał.

- Ależ markiz ma rację. Wszyscy marnujemy zbyt dużo czasu przeze mnie.

Cuthbertowi nie pozostało nic innego, jak tylko podnieść z ziemi pudło i otworzyć je. Wieko odskoczyło, ukazując parę błyszczących pistoletów do pojedynku. Kiedy sięgał po jeden z nich, ręka mu się trzęsła i nie był to skutek niskiej temperatury.

Julian chwycił go za dłoń, żeby powstrzymać jej drzenie, i powiedział łagodnym tonem:

- Nie musisz ich sprawdzać. Już to zrobiłem.
- Powiniennem sprawdzić, czy są nabite. Jako sekundant, mam obowiązek...

Julian potrząsnął głową i spokojnie wyjął mu pistolet z ręki. Kiedy ich oczy się spotkały, Cuthbert dostrzegł w spojrzeniu przyjaciela ponurą rezygnację, która sprawiła, że ogarnęło go złe przeczucie. Julian, uśmiechając się łobuzersko, puścił do niego oko, szybko rozwiewając jego niepokój.

Szybko przedyskutowali zasady pojedynku z Wallingfordem i jego sekundantem. Przeciwnicy mieli stanąć plecami do siebie, a potem zrobić dziesięć kroków w przód, trzymając pistolety skierowane lufą do góry. Wolno było oddać tylko jeden strzał. Cuthbert zerknął na ponurą postać w czerni, towarzyszącą markizowi. Biorąc pod uwagę, ile Julian wypił poprzedniego wieczoru, wszystko skończy się zapewne na jednym wystrzale.

Julian i Wallingford zajęli pozycje, stając do siebie plecami.

- Panowie, jesteście gotowi? - zapytał neutralny obserwator, przyprowordzony przez markiza. Kiedy obaj skinęli głowami, zaczął odliczać: - Raz... Dwa... Trzy...

Cuthbert miał ochotę głośno zaprotestować, rzucić się między przeciwników. Kodeks honorowy wymagał jednak, żeby stał nieruchomo. Mroźny północny wiatr dodatkowo to utrudniał

- Siedem... Osiem... Dziewięć...

Wiedział, że zachowuje się tchórzliwie i w sposób niegod-

ny sekundanta, ale zacisnął powieki. Nie mógłby znieść widoku śmierci przyjaciela.

- Dziesięć!

Wystrzał z pistoletu rozdarł panującą na polanie ciszę. Cuthbert zmarszczył nos, czując ostrą woń prochu. Wolno otworzył oczy i stwierdził, że jego najgorsze przewidywania się sprawdziły.

Julian leżał rozciągnięty na śniegu, a Wallingford stał czterdzieści stóp od niego, z dymiącym pistoletem w dłoni. Markiz miał tak zadowoloną z siebie i pełną satysfakcji minę, że Cuthbert, choć z natury łagodny, poczuł, że ogarnia go chęć mordy.

Wolno zwrócił wzrok na nieruchomą sylwetkę przyjaciela, a lodowate płatki śniegu kłuły go w oczy. Pochylił głowę i drżącą ręką sięgnął do kapelusza.

- Jasna cholera!

Pełne złości przekleństwo, wypowiedziane znajomym głosem, sprawiło, że wyprostował się gwałtownie. Kompletne zaskoczenie otrzeźwiło go bardziej niż powiew arktycznego wiatru.

Julian usiadł, otrząsając się ze śniegu, a z twarzy Wallingforda natychmiast zniknął uśmiech. Cuthbert krzyknął z radości, podbiegł do przyjaciela i opadł na kolana tuż obok niego. Pistolet Juliana leżał w śniegu nieopodal. Najwyraźniej nie zdążył z niego wystrzelić. Cuthbert potrząsnął głową, nie mogąc uwierzyć w zadziwiające szczęście przyjaciela.

- Nic nie rozumiem - warknął markiz. - Przysięgłbym, że trafiłem do celu.

Jego sekundant zmarszczył brwi, równie zdziwiony.

- Może pistolet nie wypalił, milordzie, albo Kane stracił równowagę na moment przed strzałem.

Wallingford podszedł do nich i przyjrzał im się z góry, wykrzywiając pogardliwie usta. Sekundant nerwowo zaglądał mu przez ramię, najwyraźniej przerażony, że to on zostanie obarczony winą za taki wynik pojedynku.

Julian uśmiechnął się przepraszająco.

- Przykro mi, panowie. Lepiej daję sobie radę z kobietami niż z trunkiem.

Cuthbert znów zamarł ze strachu, kiedy markiz wyrwał swojemu sekundantowi z ręki zapasowy pistolet i wymierzył go prosto w pierś Juliana. Ten zmierzył go rozbawionym wzrokiem i nawet nie drgnął, odbierając przeciwnikowi satysfakcję. Cuthbert instynktownie odgadł, że gdyby Julian pokazał chociaż cień strachu, gdyby choć jednym słowem poprosił o litość, Wallingford zastrzeliłby ich obu bez żadnych skrpułów. Następnie przekupiłby przedsiębiorcę pogrzebowego, żeby ten zaświadczył, że Cuthbert groził mu bronią po tym, jak markiz zabił w pojedynku jego przyjaciela.

Wallingford wolno opuścił pistolet; Cuthbert odetchnął z ulgą.

W aksamitnym głosie markiza słyhać było pogardę.

- Zanim z tobą skończę, będziesz żałował, że nie zginąłeś, ty bezczelny draniu. Liczyłem się z tym, że w ogóle nie stawisz się na pojedynek, więc pozwoliłem sobie wykupić wszystkie twoje hazardowe długi. - Wyjął z kieszeni kamizelki gruby plik weksli i pomachał nim Julianowi przed nosem. - Należysz do mnie, Kane. Ciałem i duszą.

Julian wybuchnął gromkim śmiechem.

- Spóźniłeś się, Wallingford. Diabeł ubiegł cię już dawno temu.

Jego wesołość jeszcze bardziej rozwścieczyła markiza.

- Więc będę czekał, aż upomni się o swój dług. Z przyjemnością popatrzę, jak smażyysz się w piekle.

Wallingford odwrócił się na pięcie i poszedł do powozu. Jego towarzysze podążyli za nim. Ubrany na czarno przedsiębiorca pogrzebowy był wyraźnie rozczarowany, że pozabawiono go możliwości zarobku.

- Dość nieprzyjemny typ, prawda? - wymamrotał Cuthbert. - Może cierpi na podagrę albo niestrawność?

Kiedy ucichło gniewne pobrząkiwanie końskiej uprzęży, Cuthbert i Julian zostali sami na cichej, zamglonej łące. Julian siedział w śniegu i oparłszy łokieć na kolanie, spoglądał w niebo. Niezwykłe u niego milczenie wyträciło Cuthberta z równowagi bardziej niż wszystkie inne wydarzenia tego poranka. Przyjaciel, w przeciwieństwie do niego samego, zwykle miał na wszystko błyskotliwą, inteligentną odpowiedź.

Cuthbert odchrząknął i już miał coś powiedzieć, kiedy przez twarz Juliana przebiegł blady cień uśmiechu.

- Chociaż robię, co w mojej mocy, najwyraźniej nie dane jest mi zginąć w pojedynku, czując wciąż na ustach smak cudzej narzeczonej.

Sekundant schował pistolet do pudła, wsunął je pod ramię, a potem pomógł Julianowi wstać.

- Nie trać nadziei. Może uda ci się umrzeć na gruźlicę, kiedy za długi wylądujesz w więzieniu.

Kiedy starał się ustawić przyjaciela zgodnie z kierunkiem marszu, spostrzegł na gorsie jego czarnego płaszcza niewielkie rozdarcie.

- Co to jest? - zapytał. Wiedział, że Julian większą wagę przywiązuje do eleganckiego wyglądu niż do licznych romansów.

Przesunął palcem po szlachetnej wełnie, zadziwiony nietypową, postrzępioną dziurą w płaszczu. Miała ponad dwa centymetry szerokości, a nitki na brzegach były poskręcane, jakby przypalone.

Już miał wsunąć palec w tę dziurę, kiedy Julian chwycił go za rękę.

- Kula z pistoletu markiza zapewne drasnęła płaszcz, kiedy padałem. Niech go szlag! Gdybym to wcześniej zauważył, kazałbym mu podrzeć jeden z weksli. Ten płaszcz uszył mi sam stary Weston - powiedział, mając na myśli ulubionego królewskiego krawca. - Zapłaciłem prawie pięć funtów.

Widząc ostrzegawczy błysk w oku przyjaciela, Cuthbert wolno cofnął rękę.

Julian klepnął go po ramieniu i uśmiechnął się.

- No, Cubby, stary druhu, stopy mi przemarzły. Może na śniadanie pokrzepimy się butelką porto do spótki?

Odwrócił się i ruszył przed siebie, a Cuthbert spoglądał za nim, zastanawiając się, czy nie postradał zmysłów. Przyśiągłby, że...

Nagle Julian przystanął i obejrzał się, czujnie mrużąc oczy. Spojrzał uważnie na stary cis o poskręcanych, okrytych śniegiem gałęziach, rosnący kilka jardów od niego, na skraju łąki. Jego kształtne nozdrza rozszerzyły się, jakby zwęszył coś interesującego. Na chwilę odsłonił zęby w drapeźnym grymasie, który sprawił, że Cuthbert cofnął się o krok.

- O co chodzi? - zapytał szeptem sekundant. - Czyżby markiz zawrócił, żeby jednak nas zabić?

Julian zawahał się, ale zaraz szybko potrząsnął głową. Z jego oczu zniknął drapieźny błysk.

- To chyba nic groźnego. Tylko duch z mojej przeszłości.

Jeszcze raz zerknął spod spuszczonej powiek na drzewo i poszedł dalej w poprzek łąki. Kiedy Cuthbert go dogonił, Julian zaintonował piosenkę o dziewczynie, którą kiedyś porzucił. Śpiewał tak dźwięcznym i czystym barytonem, że aniołowie popłakaliby się z zazdrości.

Kobieta ukryta za drzewem poczuła, że uginają się pod nią kolana, i musiała się mocniej oprzeć o jego pień. Dźwięki piosenki wolno cichły w oddali i teraz słyszała tylko szelest padającego śniegu i nierówne bicie własnego serca. Nie potrafiła stwierdzić, czy bije tak mocno ze strachu czy przejęcia. Wiedziała tylko, że od niemal sześciu lat nie doświadczyła tak burzliwych uczuć.

O świcie wymknęła się z domu i kazała woźnicy jechać do parku za markizem i jego towarzyszami. Miała nadzieję, że zasłyszana plotka okaże się prawdziwa, choć jednocześnie modliła się, żeby tak nie było. Wystarczyło jednak, żeby raz wyrzała zza tego drzewa i znów zmieniła się w naiwną nastolatkę, przeżywającą swoje pierwsze zdarzenie.

Odliczała w napięciu kroki pojedynkujących się, jakby liczyła ostatnie chwile własnego życia. Kiedy markiz odwrócił się z pistoletem gotowym do strzału, ledwie się powstrzymała, żeby nie wyskoczyć zza drzewa i głośnym krzykiem nie ostrzec jego przeciwnika. Kiedy rozległ się

strzał i oponent markiza osunął się na ziemię, chwyciła się za serce, ponieważ czuła, że przestało bić.

Odetchnęła z ulgą, gdy zobaczyła, że przeciwnik Wallingforda siada na ziemi i strząsa z ciemnych włosów płatkę śniegu. Nieprzytomna ze szczęścia, uświadomiła sobie, że i ona wystawia się na niebezpieczeństwo.

Patrzyła za nim rozkochanym wzrokiem, kiedy nagle się zatrzymał i odwrócił. Dobrze pamiętała jego zręczne, sprężyste ruchy.

Szybko skryła się za drzewem i wstrzymała oddech. Mimo że dzielił ich gruby pień cisu, czuła na sobie jego spojrzenie, niczym pieszczotę. Działo ono na nią tak samo, jak lekki pocałunek, który złożył na jej czole, kiedy widzieli się ostatni raz. Zaciśnęła mocno powieki i dotknęła aksamitnej wstążki otaczającej jej smukłą szyję.

Potem odszedł, jego głos zmienił się w odległe echo. Wyszła zza drzewa. Grube płatki śniegu spadały z nieba, przykrywając ślady stóp i wgłębienie w miejscu, gdzie upadł przeciwnik markiza. Wkrótce zniknie ostatni dowód na to, że ten nieudany pojedynek w ogóle się odbył.

Niemal współczuła jasnowłosemu sekundantowi jego niewiedzy. Ona miała sześć lat na to, żeby pojąć to, co niemożliwe, ale i tak wydała okrzyk zdziwienia, kiedy szczupła postać nagle wstała ze śnieżnego grobu. Dobrze wiedziała, co poczułby sekundant, gdyby udało mu się wsunąć palec w dziurę w płaszczu towarzysza. Jego pulchny palec przeszedłby na wylot przez płaszcz, surdut, kamizelkę i koszulę, żeby zatrzymać się na niedrażnionej skórze na piersi, tam gdzie powinna tkwić kula z pistoletu markiza.

Portia Cabot poprawiła woalkę spływającą z ronda kape-

lusza. Na jej pełnych wargach pojawił się lekki uśmiech. Nie żałowała ani jednej chwili swojej śmiałej, porannej wyprawy. Upewniła się, że pogłoski są prawdziwe.

Julian Kane wrócił do kraju. A jeśli diabeł zechce zabrać mu duszę, najpierw będzie miał z nią do czynienia.



Rozdział
II

Czyś ty zupełnie oszalała?!
Delikatniejsza istota być może struchlałaby ze strachu, słysząc takie pytanie - szczególnie gdyby wykrzyczał je mężczyzna o imponującej posturze -jednak Portia nawet nie drgnęła. W końcu szwagier bardzo rzadko podawał w wątpliwość jej zdrowie umysłowe. Dotychczas zdarzyło mu się to tylko dwa razy. Pierwszy raz stało się to, kiedy osaczyła w ciemnym kącie rozwścieczonego, sześćsetletniego wampira podczas letniego wieczorku muzycznego u lady Quattlebaum i grożąc smyczkiem, nie pozwoliła mu się ruszyć, dopóki nie przybył Adrian z kuszą. Drugi taki wypadek miał miejsce w zeszłym miesiącu, kiedy odrzuciła oświadczyny nie jednego, ale dwóch przystojnych, zamożnych dżentelmenów, marzących tylko o tym, żeby ją poślubić.

Gdyby krzyczał na nią ze złości, a nie z troski, być może Portia wystraszyłaby się bardziej. Wiedziała jednak, że Adrian kocha ją jak rodzoną siostrę.

Właśnie ta niezachwiana pewność sprawiała, że Portia spoglądała na niego pogodnie, siedząc spokojnie w głębokim fotelu przed kominkiem, podczas gdy Adrian krążył nie-

spokojnie po salonie swojego domu w Mayfair, krzywiąc się groźnie niczym ogr i nerwowo przeczesując palcami czuprynę miodowego koloru, aż nastroszyła się niczym lwia grzywa.

Odwrócił się na pięcie i wskazał palcem na Portię.

- Może ty jesteś bliska postradania zmysłów, ale ja nadal zachowuję pełnię władz umysłowych. Jeśli ci się wydaje, że pozwolę ci narażać się na takie wielkie niebezpieczeństwo, to srodze się mylisz.

- Wcale nie zamierzam wystawiać się na niebezpieczeństwo - odrzekła. - Teraz, kiedy już odnalazłam twojego brata, chcę po prostu odbyć z nim kulturalną rozmowę.

Jej najstarsza siostra, Caroline wstała z obitej brokatową tkaniną kanapy i ujęła męża pod ramię. W uwidoczniającej się powoli ciąży i z jasnoblond włosami splecionymi w schludny węzeł przypominała spokojną i pogodną Madonnę. Jednak żywy błysk inteligencji i humoru w jej szarych oczach rozwiewał to złudzenie.

- Adrian ma rację, skarbie. To zbyt ryzykowne. Nie pamiętasz, co się stało ostatnim razem, kiedy próbowałaś mu pomóc? Omal nie straciłaś życia.

- To on niemal nie stracił życia - przypomniała jej Portia.
- Ja go ocaliłam.

Adrian i Caroline wymienili znaczące spojrzenia, ale Portia tylko zacisnęła wargi w wąską, stanowczą linię. Nigdy nikomu nie opowiedziała dokładnie, co się zdarzyło w rodzinnej krypcie niemal sześć lat temu. I nie miała zamiaru zrobić tego teraz.

- Wiem, że spędziłaś niejedną bezsenłą noc, zamartwiając się o Juliana - odrzekła siostra. - Wszyscy się o niego

martwimy. Ale nie powinnaś zapominać o niebezpieczeństwie, jakie grozi tobie.

- Poczucie zagrożenia nie utrzymało cię z dala od Adriana, kiedy wszyscy wierzyli, że to on jest wampirem.

- Chyba nie zapomniałaś, że istniała jedna ważna różnica. A Julian może być już zupełnie innym wampirem niż ten, którego zapamiętałaś z przeszłości. Wyjechał z kraju sześć lat temu, a przez trzy lata nie mieliśmy od niego żadnej wiadomości. Żadnego listu, żadnego znaku życia. Nie odezwał się do nas nawet, kiedy zawiadomiliśmy go, że urodziła się mała Eloisa. - Caroline zerknęła z czułością na małą, złotowłosą dziewczynkę o rumianych policzkach, która radośnie żuła jeden ze złotych frędzli ozdabiających leżące na kanapie poduszki. - Nawet nie zareagował, kiedy Adrian powiadomił go, że ich matka zmarła we Włoszech na suchoty. Kiedyś byli sobie bardzo bliscy, jak przystało na braci. Dlaczego zerwał wszelkie więzy rodzinne? Może dlatego, że zrezygnował z dalszego poszukiwania swojej duszy?

- Tego nie wiem - przyznała Portia. - Ale mogę się tego dowiedzieć jedynie wtedy, gdy sama go o to zapytam.

- A skąd pewność, że zechce wyznać ci prawdę? - spytał Adrian, unosząc brew. - Bo zawsze miał słabość do ładnych dziewcząt? Bo wciąż żywi jakieś sentymentalne uczucia, choć przez długie lata żył jak krwiożercze monstrum? Myślisz, że nadal tli się w nim iskierka człowieczeństwa?

Portia powstrzymała się od odpowiedzi. Nie znajdowała słów, żeby opisać uczucie, jakie zamieszkało w jej sercu od czasu wydarzeń, które zaszły w krypcie. A nawet gdyby je znalazła, wiedziała, że rodzina zarzuciłaby jej kurczowe trzymanie się dziewczęcych, romantycznych fantazji.

Adrian przyklęknął na jedno kolano tuż przed fotelem i spojrzał jej prosto w oczy. Rodzice Portii zginęli w wypadku, kiedy miała zaledwie dziewięć lat. Po ślubie z Caroline Adrian chętnie przyjął siostrę żony pod swój dach i ani razu nie zaproponował, żeby wysłać ją pod opiekę obleśnego kuzyna Cecila czy nudnej ciotki Marietty.

Ujął jej rękę w obie dłonie, a jego zielononiebieskie oczy pociemniały z troski.

- Nie jestem całkiem ślepy. Wiem, że od wielu lat potajemnie gromadzisz broń i uczysz się, jak mi pomóc w walce z wampirami. Ale to nie twoja wojna, drogie dziecko, tylko moja.

Wyrwała dłoń z jego uścisku.

- Niedługo skończę dwadzieścia trzy lata, Adrianie. Nie jestem już dzieckiem.

- To może najwyższy czas, żebyś posłuchała głosu rozsądku i przestała zachowywać się jak kapryśny dzieciak.

Portia wolała, kiedy krzyczał, niż ten spokojny, rzeczowy ton. Wstała, prezentując z dumą swoje metr sześćdziesiąt wzrostu. Trochę żałowała, że nie ma na głowie jednego ze strojnych kapeluszy, które sprawiały, że wyglądała na wyższą.

- Dobrze - powiedziała chłodno. - Skoro mam zachowywać się jak dojrzała kobieta, to znaczy, że już nie muszę prosić o pozwolenie, żeby spotkać się z twoim bratem.

Adrian wstał i położył jej ręce na ramionach.

- Zapomniałeś, że w ciągu minionych dwóch tygodni zginęły cztery młode kobiety? Z ich ciał wyssano całą krew, do ostatniej kropli, a potem porzucono je gdzieś w ciemnym zaułku Charing Cross czy Whitechapel. Ostatnie pięć lat

poświęciłem na to, żeby przegnać wampiry z naszego miasta. Te morderstwa wydarzyły się dokładnie wtedy, gdy rozszła się plotka, że Julian wrócił do Londynu. Czy naprawdę wierzysz, że to czysty zbieg okoliczności?

Śmiało spojrzała mu prosto w oczy.

- A czy ty naprawdę wierzysz, że twój rodzony brat byłby zdolny do takiego bestialstwa?

Adrian opuścił ręce i bezradnie zacisnął pięści.

- Sam nie wiem, do czego może być zdolny. Już wcale go nie znam. Ale to mój brat. Odpowiadam za niego. Jeśli już ktoś ma go zapytać o te morderstwa, to ja. - Znów wymienił spojrzenie z Caroline. - Pójdę do niego jutro z samego rana.

- Z samego rana? - powtórzyła Portia. - Kiedy zwykle zapada w sen? Kiedy jest najstąbszy, najbardziej bezbronny?

Caroline jęknęła zniecierpliwiona, ale Portia nie miała zamiaru zamilknąć.

- Dobrze wiem, jak to się kończy dla wampira, kiedy składasz mu wizytę rano, Adrianie. Jaką broń chcesz ze sobą zabrać? Krucyfiks? Kołki? Kuszę? Zwłaszcza ta ostatnia pomogła ci unicestwić niejednego dzikiego demona. Mogłam się spodziewać, że Julian któregoś dnia będzie musiał poczuć, jak przeszywa go ostry grot, wystrzelony przez ciebie.

Adrian dotknął czubkami palców aksamitnej czerwonej wstążki, która zdobiła jej smukłą szyję. Jego oczy patrzyły tak smutno, że chociaż miał tylko trzydzieści pięć lat, wyglądał o wiele starzej.

- Lepiej, żeby przeszył go bełt wystrzelony z mojej kuszy, niż żebyś ty, czy jakakolwiek inna kobieta, poczuła ukąszenie Juliana.

Powiedziawszy to, wyszedł z salonu, a Portia zwróciła się do Caroline, desperacko szukając w niej sprzymierzeńca. W końcu kiedyś pomogła siostrze dowieść, że Adrian nie jest niegodziwym łotrem, za którego wszyscy go uważali.

Ale Caroline tylko potrząsnęła głową.

- Och, Portio, dlaczego jeszcze bardziej wszystko utrudniasz, chociaż dla Adriana i tak jest to bardzo ciężka sytuacja? Gdyby nie musiał w mojej obronie unicestwić Duvaliera, Julian zapewne już dawno odzyskałby duszę. - Caroline wspomniała bezwzględnego wampira, który wyssał duszę z Juliana i w ten sposób zmienił go w jednego z nich. - Nie musiałyby po całym świecie szukać wampira, który stworzył Duvaliera. Adrian od dawna zaciekle walczy o ratunek dla brata. Jak myślisz, co teraz czuje, wiedząc, że najprawdopodobniej przegrał? Wiedząc, że niewinne kobiety cierpiały i zginęły, ponieważ on nie potrafił temu zaradzić? - Wzięła córkę na ręce i w ślad za mężem wyszła z salonu, rzucając Portii pełne wyrzutu spojrzenie. Eloisa przyglądała się jej ponad ramieniem matki wielkimi, szarymi, pełnymi zdziwienia oczami.

Portia westchnęła ciężko. Zrozumiała, jaką naiwnością z jej strony było oczekiwanie, że rodzina otworzy ramiona i serca przed powracającym z dalekiej podróży wampirem. Przecież nie mogła mieć pewności że Julian, jak się tego wszyscy obawiali, nie przekształcił się w krwiożerczego demona.

Jednak gdzieś w głębi serca całkowicie odrzucała taką możliwość. Nie mogła uwierzyć, że człowiek, który kiedyś żartobliwie ciągnął ją za nos i nazywał „pięknooką panną”,

mógł wyssać życie z czterech kobiet i porzucić ich zwłoki jak śmieci w ciemnej uliczce.

Podeszła do okna i rozchyliła ciężkie aksamitne zasłony. Szare światło dnia zaczynało ciemnieć, na szerokiej ulicy skrzył się biały śnieg. Choć kilka płatków jeszcze wirowało na wietrze, chmury się rozproszyły, odsłaniając blade sierp wschodzącego księżyca. Zerknęła na marmurowy zegar stojący na kominku. Czuła, że czas ucieka coraz szybciej i zostało go już niewiele, zarówno Julianowi, jak i jej samej.

Skoro ma dowieść, że wszyscy wokół się mylą, musi to zrobić, zanim wzejdzie słońce i Adrian wyruszy na poszukiwanie brata - być może ostatni raz.

W chwili obecnej Julianowi Kane'owi bardziej przeszkadzało to, że trzeźwieje, niż to, że nie ma duszy. Jego chwiejny krok nieco się wyrównał, ale narastało poczucie wyczerpania i głodu.

Wywrócił kieszenie płaszcza i stwierdził, że są całkiem puste. Może nie powinien był zostawić Cuthberta na schodach wiodących do miejskiej rezydencji jego ojca, na Cavendish Square.

Cubby właśnie wymiotował na ukochane przez ojca krzewy azalii, kiedy stary hrabia wysunął głowę w przekrzywionej szlafmocy z okna na piętrze i zagrzmiął:

- Co tym razem zrobiłeś z moim synem, Kane? Cuthbert był takim dobrym chłopcem, dopóki nie zaczął się zadawać z takimi jak ty! Szatańskie nasienie!

Julian ostrożnie przekazał chwiejącego się przyjaciela w ręce lokaja i grzecznie uchylił kapelusza.

- Ja również życzę panu udanego wieczoru, milordzie.

Starzec potrząsnął w jego stronę sękatą pięścią z takim rozmachem, że groziło mu to wypadnięciem z okna na chodnik.

Julian wspominał ten widok, kręcąc głową w zadumie. Wsunął rękę do kieszeni płaszcza i natrafił przypadkiem na dziurę w jedwabnej podszewce. Po chwili wyjął spod niej połyskującą szylingową monetę i uniósł ją do oczu.

- Adrian zawsze powtarzał, że mam szatańskie szczęście - wymamrotał.

To diabeł nie miał dziś szczęścia, pomyślał ponuro. W innych okolicznościach powitałby go u bram piekieł, z radości postukując kopytami, już w chwili, kiedy Wallingford oddał celny strzał.

To dziwne, że w tamtej chwili Julian nie czuł zapachu piekielnej siarki, ale powiew jakiejś niebiańskiej woni. Ten zapach owionął go nie pierwszy raz. Ulotna woń podążała kiedyś za nim wąską uliczką Kairu, przyćmiewając egzotyczne aromaty kminu i kurkumy. Raz wleciała przez poplamione sadzą okno do pokoju na paryskim poddaszu, a wtedy jego ciało szarpnął bolesny głód. Zdarzyło się to też na zalanym deszczem polu bitwy w Birmie, choć nozdrza miał wtedy pełne duszącego odoru dymu i przelanej krwi. Wiatr przyniósł ten zapach, tak drogi mu i bliski, że ogarnęła go obezwładniająca tęsknota za nieosiągalnym, dawno utraconym domem.

Woń ta wcale nie przypominała perfum o zapachu gardenii i jaśminu, jakimi często skrapiały się kobiety, które dostarczały mu pociechy i pożywienia. To była słodka woń mydła i rozmarynu, zapach młodej, kobiecej skóry, oszałamiająca mieszanka niewinności i pokusy.

Jak wiele razy w przeszłości, Julian bezlitośnie odpędził od siebie ten obraz. Przerzucił monetę do drugiej ręki i pomaszcerował dalej przez londyńskie ulice, nad którymi powoli zapadał zmrok. Ta suma pewnie nie wystarczy nawet na jedną partię kart, ale być może jakaś śliczna panienka ulituje się nad nim i okaże mu swoją przychylność.

Postawił kołnierz płaszcza dla ochrony przed zimnymi płatkami śniegu, przeszedł przez ulicę i wszedł do jednego z domów gry w Covent Garden, cieszącego się tak złą sławą, że mile był tam widziany nawet taki gość jak on.

Julian rzeczywiście miał iście szatańskie szczęście. Niepełna dwie godziny później siedział przy stoliku do gry w pokera, a przed nim leżała pokaźna wygrana. Używając śmiertcionośnej mieszanki uroku osobistego, sprytu i umiejętności, zamienił jednego szylinga w stos połyskliwych monet i banknotów. Wygrał za mało, żeby odsunąć od siebie groźbę więzienia za długi, ale wystarczająco wiele, żeby zapewnić sobie towarzystwo i posiłek na tę noc.

Czule pogładził po biodrze czarnowłosą piękność o migdałowych oczach, która przysiadła na jego kolanie, prowokując tym gestem zazdrosne spojrzenie złotowłosej kokietki, obejmującej go zaborczo za szyję. Kiedy odwrócił głowę w jej stronę, niemal zemdleł go zapach taniej wody lawendowej. Zapewne musiała niedawno jej użyć, żeby zmyć z siebie woń ostatniego hazardzisty, którego zaprowadziła do jednego z pokoi na piętrze.

Pozostali gracze obserwowali go z nieukrywaną nadzieją, kiedy sprawdzał swoje karty. Z niedbałym wdziękiem rozłożył je na stole i ku swojej rozpaczy zobaczyli, że znów wygrał.

Jeden z mężczyzn stęknął ponuro, drugi z obrzydzeniem rzucił swoje karty.

- Do diabła, Kane! Twoje szczęście w grze to jakaś szatańska sprawka!

- Nie ty jeden mi to mówisz - mruknął Julian, patrząc, jak gracze zabierają swoje kapelusze i laski, i szybko odchodzą od stołu, zostawiając na nim co najmniej równowartość swojej tygodniowej pensji.

W roztargnieniu gładząc ciemnowłosą po krągłym biodrze, Julian rozparł się wygodniej na krześle i wyciągnął przed siebie długie nogi. Przez kłęby dymu z cygar usiłował wypatrzeć swoje następne ofiary. Większość bywalców tego klubu straciła prawo wstępu do cieszących się lepszą sławą przybytków gry, takich jak Whites czy Boodles. Unosiła się wokół nich woń deperacji, podobna do tej, którą Julian wyczuwał w palarniach haszyszu i opium w Istambule i Bangkoku. Palce im drżały, oczy błyszczały chorobliwie, kiedy oczekiwali na następne rozdanie. Julian liczył na to, że łatwo zwabi w pułapkę dwóch najwyraźniej dysponujących gotówką kupców i nieślubnego syna jakiegoś zubożałego arystokraty.

- Może skończy pan na dzisiaj z kartami i zabawi się ze mną? - zaszcebiotała brunetka, moszcząc się wygodniej na jego kolanach.

Blondynka oparła się o niego mocniej i nalała mu do kieliszka porto z butelki stojącej na stole. Zatrzepotała rękami i przywarła obfitym biustem do jego muskularnego ramienia.

- Jeśli dobrze pan to rozegra, wygra pan nas obie na całą noc.

Julian wyprostował się. Ich namowy działały na niego... pobudzająco, ale nie był jeszcze gotów odejść od stolika.

- Cierpliwości, moje śliczne - powiedział. - W tej chwili dobra passa jest moją jedyną panią i nie potrafiłbym bezdusznie jej porzucić, skoro tak bardzo mi sprzyja. - Blondynka lekko ugryzła go w ucho na znak protestu, a brunetka zrobiła obrażoną minę i wydeła uszminowane wargi, więc Julian szybko ją pocałował, żeby przestała się dąsać.

Ktoś obok cicho chrząknął.

W tym krótkim dźwięku słysząc było tak wielką dezaprobatę, że Julian niemal zerwał się z miejsca i stanął na baczność, niczym uczeń przyłapany na psocie. Wolno podniósł głowę i zobaczył, że naprzeciw niego stoi jakaś kobieta.

Nie, właściwie nie jakaś kobieta, ale dama, poprawił się w myślach. Miała na sobie pelisę podbitą futrem z norek i ozdobiony piórami kapelusik. Przez ramię przewiesiła wypchaną, jedwabną, ciasno zawiązaną sakiewkę. Doskonały krój i jakość jej stroju uderzająco kontrastowały z niedbałym wyglądem większości obecnych w klubie. Zdawało się, że otaczają świetlista aureola, oddzielając ją od dymu z cygar i rechotliwego śmiechu wypełniającego salę. Julian zauważył kątem oka, że już przyciągnęła spojrzenia innych mężczyzn. Niektóre z nich były ciekawe, inne niepewne, a jeszcze inne poządlive.

Widywano już tutaj podobne postacie. Zwykle były to bogate damy o nienasyconym apetycie na gry hazardowe. Ponieważ panie nie miały wstępu do przyzwoitych klubów, do których swobodnie uczęszczali ich mężowie, były one zmuszone zaspokajać swoje potrzeby w spelunkach takich

jak ta. Hazard tak je wciągał, że nie wahały się narażać na szwank swojej reputacji i majątku, żeby tylko móc zagrać w kości lub pokera.

Zazwyczaj grały, dopóki nie straciły ostatniego szylinga i musiały spłacać długi w inny sposób. Na samą myśl, że ta dama miałaby towarzyszyć jakiemuś wygranemu hazardzistcie w pokoju na piętrze, Julianowi robiło się niedobrze.

Siatkowa woalka spływająca z ronda kapelusza ocieniała jej oczy i dodawała tajemniczości. Julian widział tylko zarys policzka z uroczym dołeczkiem, delikatnie zarysowany podbródek i pełne usta, jakby stworzone do całowania i innych, o wiele śmielszych przyjemności.

Z trudem oderwał wzrok od jej warg i przeniósł go na aksamitną czerwoną wstążkę, którą dla ozdoby nosiła zawiązaną wokół szyi. Pod jasną skórą dostrzegł prawie niewidoczną dla niewprawnego oka żyłkę, pulsującą w rytm uderzeń jej serca. Szybko odwrócił wzrok, żeby nie zdradziło go głodne spojrzenie. Uniósł kieliszek do ust i pociągnął długi łyk porto, choć była to tylko nędzna namiastka tego, czego naprawdę pragnął.

- Czy możemy zamienić słowo? - zapytała niskim, aksamitnym głosem.

Spojrzał na nią leniwie, ale zanim zdolał coś odrzec, odezwała się brunetka:

- Powinnaś mówić do niego „proszę pana” - pouczyła.
- To szlachcic! Sam król nadał mu tytuł! To prawdziwy bohater.

- Mój bohaterze... - zamruczała blondynka. Wsunęła mu dłoń za koszulę i przesunęła czerwonymi paznokciami po nagiej skórze na piersi.

Piękne usta kobiety wykrzywiły się z niesmakiem.

- Dobrze... proszę pana - odrzekła z naciskiem. - Chciałam zamienić z panem słowo - powtórzyła prośbę, nie patrząc na jego towarzyski. - Na osobności - dodała.

To była najbardziej intrygująca propozycja, jaką otrzymał tej nocy. Tej damie pewnie chodziło o coś więcej niż dresczyk hazardowej emocji. Kobiety tego rodzaju spotykał w niemal każdym mieście na świecie. Kierował nimi głód równie wynaturzony jak jego własny. Umiały rozpoznać takie stworzenia jak on i specjalnie szukały ich towarzystwa, narażając się na wielkie niebezpieczeństwo, a nawet śmierć.

Przeklinając się w duchu za nadmiar skrupułów, odparł:

- Przykro mi, ale nie potrafię pani pomóc. Jak pani widzi, jestem dzisiaj bardzo zajęty. - Znacząco przesunął rękę z biodra ciemnowłosej kobiety na jej ponętne udo.

- Lepiej zmykaj do swojego eleganckiego powozu, paniusiu - zawołała brunetka. - Taki zły wilk, jak ten tutaj, połknąłby cię w jednym kawałku.

Blondynka zarzuciła mu ramiona na szyję.

- Jemu potrzebna kobieta, a nie jakaś damulka.

- Albo nawet dwie kobiety - dodała brunetka, a jej koleżanka roześmiała się gardłowo.

Julian wypił łyk wina, żeby złagodzić ogarniający go żal i czekał, aż nieznajoma odwróci się i ucieknie zgorziona.

Tymczasem piękne usta uśmiechnęły się zniewalająco zza woalki.

- Przykro mi, że pozbawiam pana takiego uroczego towarzystwa, jednak nalegam na rozmowę na osobności.

Julian rozejrzał się wokół, zdając sobie sprawę, że ich rozmowa zaczynała zwracać uwagę zgromadzonych.

- To nie jest miejsce dla takiej kobiety jak pani. Proszę wracać do domu, zanim mąż się obudzi i zobaczy, że wymknęła się pani z łóżka. - Uniósł jedną czarną brew i posłał kobiecie najbardziej lodowate ze swoich spojrzeń, takie, które potrafiło zmrozić nawet dorosłego mężczyznę. - Jeśli zostanie tu pani dłużej, będzie pani tego żałowała.

Uniosła głowę, a jej uśmiech zniknął.

- Pan mi grozi?
- Proszę potraktować to jako ostrzeżenie.
- A jeśli się do niego nie zastosuję?
- To będzie znaczyło, że jest pani cholernie głupia - odrzekł.

- Nie odejdę, dopóki nie dostanę tego, po co tu przyszłam. Jest mi pan coś winien i przyszedłam odebrać dług. - Na chwilę straciła panowanie nad sobą i drżącą ręką zdjęła z głowy kapelusz.

Przez ułamek sekundy Julian był niemal zadowolony, że jest wampirem, ponieważ musiał wykazać się nadludzką siłą, żeby zachować obojętny wyraz twarzy. Stała przed nim najpiękniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek widział. Miała ciemne, kręcone włosy, piękne, łukowato zarysowane brwi i niemożliwie gęste rzęsy, ocieniające oczy tak ciemnoniebieskie, jak Morze Egejskie o północy. Twarz o delikatnych rysach przypominała kształtem serce, a na policzkach wykwitał naturalny, delikatny rumieniec, jakby ktoś musnął jedwabistą skórę płatkami róży. Żaden puder i róż nie potrafią nadać cerze takiego wyglądu. Kąciki ust były skierowane lekko w górę, tak, że patrzący na nią mężczyzna musiał się zastanawiać, czy kobieta śmieje się do niego czy z niego.

Patrząc na tę kwintesencję kobiecej urody, Julian chciał

tylko jednego - żeby znów skryła się pod tym niedorzecznym kapelusikiem. Jej oczy, nieosłonięte woalką, patrzyły zbyt otwarcie i wyzywająco. Były zbyt niebieskie. Poczuł, że musi natychmiast się od niej oddalić, więc skoczył na równe nogi, niemal zrzucając obrażoną brunetkę na podłogę.

Zakołysał kieliszkiem z resztką porto i uniósł go do ust.

- Nie jesteś chyba jednym z moich wierzycieli. Gdybym był coś winien tak pięknej kobiecie, na pewno bym o tym pamiętał - powiedział z naciskiem. - A jeśli nie mam u ciebie długu, to zejź mi z drogi, ponieważ nie zamierzam ci poświęcić ani minuty.

Z głośnym hukiem odstawił kieliszek na stół, wziął brunetkę za rękę i ruszył ku wiodącym na piętro schodom.

- I tu się pan myli, panie Kane. - Tym razem palce jej nie drżały, kiedy zdjęła z szyi aksamitną wstążkę i rzuciła na stół pokerowy, jakby to była stawka nie do przebiccia.

Julian zamarł w pół kroku, zahipnotyzowany widokiem długiej, wdzięcznej szyi. Spodziewał się, że skóra na tej pięknej szyi będzie gładka, kremowa i równie nieskazitelna jak policzki, a tymczasem znaczyły ją dwie niewielkie, wyblakłe blizny o charakterystycznym kształcie.

Przeniósł pełne niedowierzania spojrzenie na twarz kobiety i zrozumiał, że widzi przed sobą Portię Cabot. Już wiedział, że jego dobra passa dobiegła końca.



Rozdział
III

Nie rozpoznał jej. Julian Kane patrzył prosto na nią tymi samymi płonącymi oczami, które widywała w snach przez ostatnie sześć lat, a na jego twarzy nie pojawiło się żadne uczucie, oprócz przelotnego cienia zainteresowania. A może to była irytacja?

Najwyraźniej ten czas, który spędzili razem, tak niewiele dla niego znaczył, że wcale jej nie zapamiętał. Ale dlaczego miałby pamiętać? W minionych latach, kiedy podróżował po Europie, miał pewnie tuziny - zerknęła z niechęcią na niechlujną brunetkę, nadal uczepioną jego ramienia - albo raczej całe hordy innych kobiet. Na pewno z radością pomogły mu wymazać ją z pamięci. Dlaczego miał zapamiętać niezdarną siedemnastolatkę, która czerwieniła się, jąkała i za wszelką cenę chciała zwrócić na siebie jego uwagę za każdym razem, kiedy tylko zjawił się w pobliżu?

Kiedy początkowe uczucie bolesnego rozczarowania minęło, Portia musiała siłą stłumić w sobie wybuch złości. Chociaż zapewniała Adriana, że nie jest już dzieckiem, teraz miała ochotę cisnąć swój śliczny kapelusik na ziemię i podeptać go z furją.

- Pięknooka? - wyszeptał Julian. Portia z satysfakcją

zauważyła, że na jego urodziwej twarzy pojawiło się zdumienie i zaskoczenie.

- Nie nazywaj mnie tak - warknęła. To określenie nagle przestało jej się podobać. Jeśli Julian zechce pociągnąć ją za nos, odgryzie mu palec.

Rozejrzał się czujnie dokoła, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę, w jakim podejrzanym miejscu się znajdują.

- Na litość boską, co robisz w tej speluncie?

- A gdzie miałabym szukać łotra, który zaginał kilka lat temu? - odparła.

Zaczęli przyciągać uwagę gapiów. Kilku mężczyzn o bardzo podejrzanym wyglądzie powoli zbliżyło się do nich, jakby wyczuli w powietrzu woń krwi.

- Jeśli ta dama chce się zabawić, to jestem dziś w bardzo rozrywkowym humorze! - zawołał zwalisty gość o czerwonym nosie i rękach jak bochenki chleba.

- Duży Jim zawsze jest gotów do zabawy - krzyknął inny mężczyzna, trącając łokciem stojącego obok towarzysza.
- Właśnie dlatego dorobił się dwunastu bachorów, z czego tylko dwóch ze swoją nieszczęsną żoną!

Odpowiedział mu gromki śmiech, chociaż jasne było, że w tych słowach kryje się groźny podtekst. Julian wypuścił dłoń brunetki i ruszył w stronę Portii, a ona natychmiast cofnęła się o krok, czując lekki niepokój.

Najwyraźniej wreszcie udało się jej zwrócić na siebie jego uwagę.

Jednym zwinnym skokiem znalazł się przy niej, niczym drapieżnik, który dopada swojej ofiary. Zanim zdążyła zaprotestować, z miażdżącą siłą zacisnął dłoń na jej ramieniu.

- To boli - powiedziała cicho, usiłując się wyswobodzić.

- Przepraszam - wymamrotał pod nosem i trochę rozluźnił uścisk, ale nadal nie zamierzał jej uwolnić. - Czasami zapominam, jaki jestem silny.

Dowiódł tej siły ponad wszelką wątpliwość, kiedy zręcznie obrócił Portię dookoła i ustawił przed sobą z taką gracją, jakby tańczyli walca na sali balowej.

Stanęli naprzeciw grupy mężczyzn, która zaczęła przypominać stado wygłodniałych wilków.

- Obawiam się, że ta dama nie szuka rozrywki, panowie - zawołał. - Szukała mnie. - Położył jej dłonie na ramionach i delikatnie przesunął wargami po jej szyi i włosach. - W dodatku nie jest to żadna dama, tylko moja żona.

Przez tłumek mężczyzn przebiegł pełen współczucia szmer. Wyraźnie nie po raz pierwszy już się zdarzało, że rozwścieczona żona zjawiała się w klubie, żeby zaciągnąć do domu zbłąkanego męża. Mężczyźni patrzyli teraz na nią z szacunkiem, niektórzy nawet uchylili kapelusza. Portia jednak tego nie zauważyła, całkowicie wytracona z równowagi dotykem Juliana. Czuła jego nos tuż przy swoim uchu i mogłaby przysiąc, że ją wacha!

Chcąc udowodnić, że nie jest taka bezradna i głupia, za jaką ją uważał, zdusiła w sobie chęć przydepnięcia mu obcasem stopy. Odwróciła się i spojrzała na niego z olśniewającym uśmiechem.

- Kiedy się obudziłam i zobaczyłam, że łóżko obok mnie jest puste, bardzo się zmartwiłam, kochanie. - Wygładziła mu rozchełstaną na piersi koszulę. - Co prawda zapewniałeś mnie, że już się całkiem wyleczyłeś z tej wstydlivej choroby, ale trzeba bardzo uważać na te twoje sączące się ranki.

Mężczyźni jęknęli z jeszcze większym współczuciem.

Brunetka natomiast wydała okrzyk pełen przerażenia i chwyciła za rękę bełkoczącą coś pod nosem blondynkę. Obie rzuciły się ku schodom, posyłając Julianowi przez ramię spojrzenia pełne odrazy.

Julian spojrział na Portię zwięzonymi oczami, objął ją mocniej w talii i przyciągnął do siebie. Poczowała każdy szczegół budowy jego ciała pod obcisłymi spodniami i próbowała odsunąć się od niego chociaż o cal, ale jej wysiłek wywołał na jego twarzy tylko ironiczny uśmiešek.

- Twoja troska wzrusza mnie do głębi, najdroższa - rzekł. - I co za szczęście, że zjawiłaś się dokładnie w chwili, kiedy zaczął mi dokuczać głód.

Rozchylił usta tak, że mogła zobaczyć jego połyskujące kły. Stawały się dłuższe i ostrzejsze zawsze, kiedy był głodny. Albo podniecony. Portia nerwowo przełknęła ślinę. Może nie powinna była tak się z nim drażnić? Jeśli Adrian i Caroline mieli rację, i Julian rzeczywiście zrezygnował z walki o odzyskanie duszy, to był teraz dla niej tylko obcym, niebezpiecznym człowiekiem. A ona stanowiła dla niego jedynie smaczny kąsek.

Zmusiła się, żeby poklepać go po piersi z udawaną małżeńską troską, czując pod palcami jego twarde jak skała mięśnie.

- Jeśli masz ochotę na jeszcze jedną partyjkę kart, skarbie, to pobiegnę do domu, obudzę służącą i każę jej przygotować jakąś nocną przekąskę.

Julian uśmiechnął się domyślnie.

- To zły pomysł, kochanie. Obawiam się, że tylko ty możesz zaspokoić apetyt, który we mnie obudziłaś. - Przymknął oczy i pochylił się nad nią. Portia zbyt późno zdała

sobie sprawę, że wcale nie ma zamiaru pociągnąć ją za nos.

Otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale jego wargi były zbyt blisko i stłumiły słowa sprzeciwu. Zaskoczona i przerażona, chciała się wyrwać, ale obejmował jej głowę mocnymi dłońmi tak, że nie mogła się ruszyć, niczym niewolnica przykuta do swojego pana.

Odchylił jej głowę w tył i delikatnymi pieszczotami warg niszczył resztki jej oporu. Sięgnął aksamitnym językiem w głąb jej ust, uwodząc ją każdym ruchem. Całował ją tak leniwie, jakby na pieszczoty mieli przed sobą całą wieczność. Całował jak prawdziwy wampir.

Portia przywarła do niego kurczowo, ale i tak nadal miała wrażenie, że osuwa się, spada w przepaść, gdzie istnieje tylko on i jego zniewalający pocałunek. Tak głośno szumiało jej w uszach, że prawie nie słyszała sprośnych okrzyków i gwizdów, które rozlegały się wokół.

Być może w zapamiętaniu rzuciłaby się w tę przepaść i już tam została, gdyby nie nagłe i niespodziewane ukłucie, które poczuła na wewnętrznej stronie dolnej wargi. Nie zauważyła, że kieł Juliana wbił się we wnętrze jej ust, gdyby nie poczuła metalicznego smaku krwi. On również go wyczuł. Gwałtownie wciągnął powietrze. Potem szybko od niej odskoczył, jakby to ona go ugryzła.

Jego nozdrza poruszały się niespokojnie, źrenice rozszerzyły się nienaturalnie. Chociaż nie drgnął mu nawet jeden mięsień, całe jego ciało zdawało się drzeć pod wpływem pierwotnego, prymitywnego głodu.

Portia uniosła drżącą rękę do ust. Na jej białej rękawicze zaczerwieniła się pojedyncza kropla krwi. Julian na chwilę

zamknął oczy. Kiedy znów je otworzył, spoglądały twardo i były całkiem czarne, niczym kryształy kwarcu.

Jeden z gapiów chrząknął zmieszany i pokazał ręką na schody.

- Jak się wam tak spieszy, możecie za szylinga czy dwa wynająć sobie jeden z pokoi na górze.

- To nie będzie konieczne - odparł gładko Julian, biorąc Portię w ramiona, jakby byli zakochaną parą małżonków.

- Nie od dziś wiem, że na najważniejsze rzeczy w życiu, włączając w to żonę, warto poczekać.

Przy akompaniamencie pełnych uznania pomruków gości, zgarnął ze stolika wygrane pieniądze wraz z aksamitną wstążką Portii i narzucił jej swój płaszcz na ramiona. Zanim zdążyła wypowiedzieć chociaż słowo protestu, wyprowadził ją z jaskini hazardu wprost w ciemną noc.

Czując, że Julian mocno zaciska jej dłoń na ramieniu, Portia usiłowała dotrzymać mu kroku i jednocześnie nie zgubić po drodze kapelusza i sakiewki.

Zniknęła gdzieś poza uroczego bywalca i Julian kroczył teraz zamaszyście, z surowo zaciśniętymi ustami. Nie mogła się powstrzymać i co chwila z zaciekawieniem zerkała ukradkiem na jego profil. Choć zapewne nadużywał wina i zbyt często przebywał w towarzystwie kobiet podejrzanej konduity, na jego twarzy nie odcisnęły się żadne ślady hulaszczego trybu życia. Wyrazisty nos, zmysłowe, pełne usta i dołek w brodzie nadal przywodziły na myśl przystojnego, byronowskiego bohatera, tak jak to zapamiętała sprzed wielu lat. Co prawda Byron już niemal do dwóch lat spoczywał w swojej krypcie w Nottinghamshire, padłszy ofiarą tajem-

niczej choroby i własnego nieumiarkowania, jednak Julian, dzięki wampirowi, który ukradł mu duszę, niezmiennie zachowywał młodość i męską urodę.

Śnieg przestał wreszcie padać. Słabe światło ulicznych latarni nie wydobywało z mroku oczu Juliana i rzucało złowrogie cienie na jego policzki.

- Dokąd mnie prowadzisz? - zapytała.

- Do twojego powozu.

- Nie czeka na mnie powóz. Przyjechałam wynajętym i woźnica nie chciał się na dłużej zatrzymać w tej podejrzanej okolicy.

- Co tylko oznacza, że jest mądrzejszy od ciebie.

- Możesz mnie obrażać, jeśli chcesz, ale nie licz na to, że się obrażę i pójdę sobie.

- W takim razie zaprowadzę cię tam, gdzie twoje miejsce - odrzekł krótko. - Do domu.

Zatrzymała się w pół kroku zmuszając go, żeby przystanął.

- Nie pozwolę ci tego zrobić.

Odwrócił się gwałtownie i spojrzął jej w twarz.

- Dlaczego?

Otworzyła usta, ale zawahała się. O sekundę za długo.

Julian uniósł dłoń.

- Zaczekaj. Sam zgadnę. Zapewne już nie jestem mile widzianym gościem w domu mojego brata. W końcu jaki ojciec przy zdrowych zmysłach pozwoliłby mi kręcić się koło swojego bezbronnego dziecka? - Prychnął ironicznie.

- Adrian pewnie przegoniłby mnie jedną z parasolek Caroline, zanim zdążyłbym otworzyć ramiona i zawołać czule: Eloiso, chodź do wujka Juliana! Ojej, jaką masz śliczną szyjkę!

- A więc jednak dotarł do ciebie list, który wysłała Caroline, kiedy urodziła się Eloisa! - zawołała Portia oskarżycielskim tonem. - Dlaczego nie odpisałeś?

Wzruszył ramionami.

- Może odpowiedziałem. Powszechnie przecież wiadomo, że na poczcie nie można polegać.

Spojrzała na niego czujnie. Podejrzewała, że w tym przypadku to nie poczta zawiniła.

- Postąpiłeś wyjątkowo bezmyślnie, nie dając znaku życia przez tak długi czas. Wszyscy się zastanawialiśmy, co się z tobą dzieje. Mogliśmy nawet przypuszczać, że zostałeś...

- Nieumarłym? - dokończył za nią, kiedy zawiesiła głos. Westchnął, gdy zobaczył jej pełne przygany spojrzenie. - Jeśli nie chcesz mi pozwolić, żebym cię odprowadził do domu, to co mam z tobą zrobić? Może zostawić cię w najbliższym klubie hazardowym?

Portia włożyła na głowę kapelusz i zawiązała jedwabne wstążki pod brodą w wielką kokardę. Wiedziała, że będzie musiała wykazać się ogromną odwagą.

- Miałam nadzieję, że będę mogła pójść z tobą do twojego mieszkania.

Z twarzy Juliana zniknęły resztki wesołości. Wyglądała teraz jak chłodna, gładka maska.

- Przykro mi, ale to nie byłoby zbyt rozsądne. Skoro sama tu trafiłaś, śmiałem przypuszczać, że drogę do domu również uda ci się odnaleźć samodzielnie. - Skłonił się oficjalnie. - Dobranoc, panno Cabot. Proszę przekazać serdeczne pozdrowienia mojemu bratu i jego rodzinie.

Odwrócił się i zaczął odchodzić w mrok, jakby naprawdę zamierzał zostawić ją samą na rogu ulicy, wciąż otuloną jego

płaszczem przesiąkniętym wonią tytoniu i wody kolońskiej.

- Jeśli nie zabierzesz mnie do siebie, to po prostu pójde z tobą - ostrzegła.

Julian zawrócił i stanowczym krokiem zbliżył się do niej. Wyraz twarzy miał nieubłagany. Portia miała ochotę cofnąć się przed nim z przerażenia, ale powstrzymała się.

Zatrzymał się tuż przed nią i wbił w nią rozpalony wzrok.

- Najpierw, jakby nigdy nic, wpadasz do najbardziej zakazanego londyńskiego domu gry. A teraz upierasz się, żeby iść do mieszkania z mężczyzną... Nie! Z potworem takim jak ja? Kobieto, czy ty w ogóle nie dbasz o swoją reputację? Nie zależy ci na życiu?

- W tej chwili wcale nie myślę o swoim życiu, tylko o twoim.

- Ja nie mam życia, skarbie. Ja tylko istnieję.

- I to istnienie może szybko się skończyć, jeśli nie wysłuchasz, co mam ci do powiedzenia.

Wprawnie zaklął po francusku. Portia nawet się nie zarumieniła. Słyszała o wiele bardziej kwieciste przekleństwa padające z ust Adriana, na dodatek większość z nich była wygłaszana po angielsku.

Jakiś mężczyzna przeszedł obok chwiejnym krokiem, rotaczając wokół odór potu i taniego dżinu. Kiedy jego wzrok zatrzymał się na wydatnym biuście Portii, Julian odsłonił zęby i warknął tak dziko, że przeszedł ją dreszcz. Pijak rzucił się do ucieczki, omal nie zderzając się z latarnią. Co chwila z przerażeniem oglądał się za siebie.

- Zdaje się, że nie jestem jedynym dzikim zwierzęciem, które dzisiaj krąży po londyńskich ulicach. - Julian pogładził

się po brodzie, zastanawiając się nad żądaniem Portii. - Dobrze - burknął w końcu. - Skoro nalegasz, zabiorę cię do siebie. Ale pod warunkiem, że kiedy już powiesz mi, co masz do powiedzenia, zostawisz mnie na zawsze w spokoju. - Nie czekając na odpowiedź, podał jej ramię.

Portia zawahała się na ułamek sekundy, ale zaraz wsunęła dłoń pod jego ramię.

Ku zaskoczeniu Portii, trzeszczące schody wiodące do wynajętego przez Juliana mieszkania przy ulicy Strand, wiodły nie w dół, ale w górę. Spodziewała się, że zamieszkała w jakimś luksusowym apartamencie w suterenie, podobnym do sekretnej komnaty w zamku Trevelyan, gdzie spędził dzieciństwo i wczesną młodość.

Tamten pokój zdobiły kaszmirowe zasłony i narzuty z chińskiego jedwabiu, meble w stylu Chippendale, liczne popiersia i obrazy, marmurowa szachownica, przy której mógł spędzać godziny dnia, jeśli nie udało mu się zasnąć w ozdobnej drewnianej trumnie, stojącej na środku pomieszczenia. Julian zawsze był wampirem, który cenił sobie wygodę i elegancję.

Tym większy szok przeżyła, kiedy otworzył drzwi u szczytu mrocznych schodów i jej oczom ukazała się wąska, niska izba, będąca częścią strychu. Stała tam zniszczona szafa, stary głęboki fotel i porysowany stół z dwoma tanimi, sosnowymi krzesłami o obitych skórą oparciach. Na stole paliła się niedająca wiele światła lampa, której mętny blask wydobywał z cienia ściany, pokryte łuszczącą się farbą. Gdyby nie udrapowane na oknach zasłony z czarnej krepy, nikt by nie odgadł, że mieszka tu wampir.

Zamiast trumny w rogu stało zdezelowane żelazne łóżko. Portia przyjęła milczące zaproszenie Juliana i pierwsza weszła do pokoju, odwracając wzrok od zmiętej pościeli.

Julian zamknął drzwi, oparł się o nie plecami i przyjrzał jej się uważnie spod spuszczonej powiek.

- A więc mała Portia Cabot jest już całkiem dorosła - powiedział.

Pełen rezerwy ton jego głosu świadczył, że Julian nie jest z tego zadowolony, więc Portia tylko wzruszyła ramionami.

- To nieuchronna kolej rzeczy. Nie mogę do końca życia być naiwnym podlotkiem, rozkochanym w poezjach Byrona.

- A szkoda - odburknął.

Podszedł do stołu, zdmuchnął kurz z dwóch niepasujących do siebie kieliszków, które tam stały, i nalał do nich jakiś czerwony trunek z butelki. Ujął jeden z nich długimi, kształtymi palcami i podał Portii.

Podsunęła kieliszek pod nos i powąchała jego zawartość, przyglądając się Julianowi podejrzliwie.

- Nie obawiaj się, to tylko porto - zapewnił z błyskiem rozbawienia w oczach. - Na dodatek bardzo tanie. W tej chwili stać mnie tylko na takie.

Ostrożnie przełknęła łyk wytrawnego wina.

- Ile już dziś wypiełeś? - zapytała.

- Za mało - odrzekł. Oparł się o stół i jednym haustem wypił swój trunek. Potem wyciągnął pusty kieliszek w jej stronę, wznosząc żartobliwy toast.

- Mam nadzieję, że mi wybaczysz nieuprzejme zachowanie. Przeszkodziłaś mi w wieczornym posiłku, a kiedy czuję głód, bywam nieco rozdrażniony.

Portia zakrztusiła się winem, a jej oczy zrobiły się okrągłe z przerażenia.

- Czyli że te kobiety, tam w klubie... Zamierzałeś je zjeść?

Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale po chwili zmienił zdanie i znów je zamknął.

- Jeśli pytasz mnie o to, czy chciałem je zabić - rzekł po chwili - to odpowiedź brzmi „nie”. Wolę o nich myśleć jako o smakowitej drobnej przekąsce.

Oczy Portii rozszerzyły się jeszcze bardziej, więc westchnął z rezygnacją.

- Wampir nie może zbyt długo żywić się tylko półsurowymi stekami i zwierzęcą krwią od rzeźnika. Podczas mojej wieloletniej podróży dokonałem fascynującego odkrycia. Gdziekolwiek zawędruję, spotykam wiele kobiet, które zgadzają się, a nawet wręcz nalegają, żebym wysączył trochę krwi z ich żył. Piję tyle, ile potrzebuję, żeby przeżyć, a w zamian... daję im to, czego z kolei im potrzeba. - Przesunął wzrokiem po jasnych bliznach na jej szyi. - Ponieważ jesteś pierwszą kobietą, której krew piłem, należy ci się podziękowanie za to, że udzieliłaś mi takiej lekcji.

W tej chwili Portia niemal go nienawidziła - za to, że zmienił akt zrodzony z desperacji i czułości w coś wstrętnego i brudnego.

Jakby tego było mało, zrobił krok w jej stronę, a potem następny.

- Nie jestem teraz tak nieostrożny i niezdarny, jak wtedy z tobą. Nauczyłem się pić krew z miejsc, gdzie blizny są niewidoczne. - Podniósł dłoń i czubkami palców dotknął pieszczotliwie blizn, które zostawił na jej szyi. Zrobił to

z taką czułością, że aż zadrżała. - Wiesz, że jest taka wyjątkowo soczysta żyłka na wewnętrznej części kobiecego uda, tuż pod...

- Przestań! - krzyknęła, odtrącając jego dłoń. - Przestań! To obrzydliwe! Dobrze wiem, co chcesz zrobić, ale to ci się nie uda.

Cofnął się, unosząc ręce w geście poddania.

- Zawsze trudno było cię wystraszyć, prawda?

Mylił się. Portia była przerażona. Przeraziło ją, że pod jego dotykiem krew zaczęła szybciej pulsować w jej żyłach, że jego bliskość miała na nią tak wielki wpływ. Bała się, że może okazać się nie lepsza od tych kobiet, które chętnie zaspokajały jego głód, żeby tylko on spełnił ich pragnienia.

Ale nie tylko on w ciągu ostatnich lat nauczył się blefować. Uśmiechnęła się, dobrze wiedząc, jak działają na mężczyzn dołeczki w jej policzkach.

- Z przykrością zranię twoją legendarną wręcz próżność, ale nie mam zamiaru stąd uciec tylko dlatego, że robisz groźne miny.

Zsunęła z ramion jego płaszcz i rzuciła na łóżko, zdjęła kapelusz i uważnie położyła na stole, a potem zaczęła ściagać z dłoni rękawiczki, uwalniając z nich jeden palec po drugim. Kiedy zdjęła pelisę, Julian uniósł brew, jakby chciał zapytać, jakiej jeszcze części garderoby zamierza się pozbyć.

Nie wypuszczając z rąk ciasno związanej sakiewki, usiadła wdzięcznie na brzegu fotela i wypła mały łyk porto.

- Twoje warczenie i opowieści być może wydają się straszne kobietom, do których towarzystwa jesteś przyzwyczajony, ale szczerze mówiąc, mnie wydają się raczej nudne.

Ciemna brew Juliana powędrowała jeszcze wyżej.

- Błagam o wybaczenie, panno Cabot. Widocznie mylnie uznałem, że nadal jesteś tym uroczym dzieciakiem, który patrzył na mnie jak w obraz.

- Obawiam się, że nawet najbardziej urocze dziecko musi kiedyś dorosnąć. Chyba nie będziesz rozzarowany, kiedy ci powiem, że już nie wierzę w syreny, krasnoludki i wilkołaki.

- Ale nadal wierzysz we mnie.

Portia z trudem ukryła zaskoczenie. Czyżby wraz z innymi mrocznymi darami posiadał umiejętność czytania w myślach?

- Nadal wierzysz, że istnieją wampiry - sprecyzował, ku jej wielkiej uldze.

- Raczej nie mam wyboru. Przecież twój brat poświęcił minione pięć lat na usuwanie tych bestii z Londynu.

- Cóż, to wyjaśnia fakt, że aż się od nich roi na ulicach Florencji i Madrytu. - Julian skrzywił się, nalał sobie następny kieliszek porto i oparł się o przeciwległy koniec stołu.

- Jako twój opiekun, Adrian najwyraźniej zaniedbuje swoje obowiązki. Spodziewałem się, że już cię wydał za mąż za jakiegoś bogatego arystokratę, który mógłby cię obdarzyć tuzinem dzieci, żebyś zajęła się czymś pożytecznym. Pokój dziecinny - to najodpowiedniejsze miejsce dla ciebie.

- Opuściłam ten pokój wiele lat temu i nie mam najmniejszego zamiaru tam wracać. Przynajmniej na razie. Ale mam do ciebie jedno pytanie - zmieniła ton i spojrzała na niego, trzepocząc rzęsami. - Czy podczas swoich podróży, kiedy dzięki swoim niezwykłym mocom uwodziłeś słabe kobiety, nie natknąłeś się czasem na coś bardziej interesującego? Na przykład na swoją nieśmiertelną duszę?

Odstawił kieliszek na stół, a potem poklepał się po kiesze-

niach kamizelki, jakby jedyna rzecz, będąca w stanie przywrócić mu człowieczeństwo, była równie nieistotna jak zagubiona rękawiczka czy fular.

- Niestety, moja przeklęta dusza okazała się wyjątkowo nieuchwytna. I jakoś żaden wampir nie podszedł do mnie i nie zaproponował, żebym wyssał z niego moją skradzioną dawno temu duszyczkę.

- A więc nie znalazłeś wampira, który stworzył Duvaliera? Tego, który odziedziczył po nim twoją duszę, kiedy go unicestwiłeś?

- Niestety nie. Wampiry nie są gadatliwe, nawet kiedy przebywają we własnym towarzystwie.

Portia zmarszczyła brwi. Było coś w jego tonie, co sprawiało, że wątpiła w szczerść jego słów.

- Nie odnalazłeś więc swojej duszy, ale udało ci się zdobyć sławę bohatera na birmańskich polach bitew?

Obojętnie wzruszył ramionami.

- Co to za sztuka zostać bohaterem, kiedy się jest nieśmiertelnym? Dlaczego miałem się nie zgłaszać na ochotnika do każdej szarży, nie zakradać się na tyły wroga, żeby ocalić rannych żołnierzy? Przecież nie miałem nic do stracenia.

- Chyba że weszłoby słońce...

Uśmiechnął się drwiąco.

- To była pora monsunowa.

- Jednak na królu twoje wyczyny zrobiły wielkie wrażenie, skoro obdarzył się tytułem szlacheckim.

- Marzyciele tego świata stale szukają jakiegoś bohatera. Król pod tym względem nie różni się od innych mężczyzn.

- I kobiet - dodała, patrząc mu prosto w oczy.

Wyprostował się i splótł ramiona na piersi.

- Chyba już najwyższy czas, żebyś mi powiedziała, czego szukasz. Bo jeśli chcesz znaleźć bohatera, to trafiłaś pod zły adres.

Jego badawcze spojrzenie zbiło ją z tropu. Wstała z fotela i podeszła do okna. Odsunęła na bok woalkę, żeby wyrzec na słabo oświetloną ulicę. W każdym mrocznym załomie muru zdawało się kryć jakieś niebezpieczeństwo, a przecież najniebezpieczniejszy ze wszystkich był ten człowiek, który teraz czekał na jej odpowiedź. Spojrzała jego odbicie w szybie i przez chwilę patrzyli sobie prosto w oczy. W końcu znów opuściła woalkę na twarz, a potem zwróciła się ku niemu.

- Szukam mordercy - rzekła.

Te ponure słowa wisały między nimi, dopóki Julian nie wybuchnął gromkim śmiechem.

- Więc chyba jednak trafiłaś pod dobry adres - oznajmił.



Rozdział
IV

Portia czuła, że krew odpływa jej z twarzy.
- A więc to prawda - wyszeptała, zaciskając palce na gładkim jedwabiu sakiewki.

- Że jestem mordercą? Że odbierałem ludzkie życie, by ocalić własne? Z przykrością pozbawię cię ostatnich dziewczęcych iluzji na mój temat, skarbie, ale pod tym względem wcale się nie różnię od innych żołnierzy w służbie Jego Królewskiej Mości.

Wzięła głęboki wdech, żeby uspokoić rozedrgane nerwy.

- Nie chodziło mi o pole bitwy. Miałam na myśli te kobiety, które znaleziono na Charing Cross i w Whitechapel.

Błysk rozbawienia zniknął z oczu Juliana.

- Jakie kobiety? - zapytał, marszcząc brwi.

- Cztery kobiety, które zginęły od czasu twojego powrotu do Londynu. Cztery kobiety, z których jakiś bezlitosny potwór wysssał całą krew, co do ostatniej kropli.

Zmarszczki na czole Juliana pogłębiły się. Staął plecami do Portii i wbił wzrok w kominek.

- Kiedy dokładnie miały miejsce te morderstwa?

- Pierwsze zdarzyło się dwa tygodnie temu, tuż przed tym, jak Adrian otrzymał wiadomość, że widziano cię w Londynie. Kolejne dwa nastąpiły wkrótce potem. A zaled-

wie trzy dni temu w zaułku na tyłach kościoła Najświętszej Marii Panny znaleziono ciało czwartej kobiety. Było jeszcze ciepłe.

Splótł dłonie na karku i patrzył na wygaszony, zimny kominek.

- Jesteś całkowicie pewna, że zostały zabite przez jakiegoś wampira?

- Bez cienia wątpliwości - poinformowała go Portia drżącym od tłumionych emocji głosem. - I mogę cię zapewnić, że te kobiety nie zostały ofiarami z własnej woli, nie kusiło ich, żeby ulec pocałunkom wampira. Miały zakrwawione ręce i połamane paznokcie. Wszystkie odważnie i zaciekle walczyły o życie. - Choć wiedziała, że to szaleństwo, nie potrafiła się powstrzymać i podeszła bliżej do Juliana. - Czy ty to zrobiłeś? Czy to ty zamordowałeś te nieszczęsne, bezradne istoty?

Odwrócił się i spojrzał na nią spod czarnych rzęs.

- Wierzysz, że mógłbym być zdolny do takiej zbrodni, a jednak postanowiłaś mnie dziś odszukać? Czyżbyś była aż tak lekkomyślna?

Jak mogła wytłumaczyć swoją niezachwianą wiarę w Juliana? Tym, że ufała, iż nie mógłby jej skrzywdzić? Nic nie było w stanie zburzyć tej wiary, chociaż dobrze wiedziała, do czego jest zdolny.

- Wiem, że nie mógłbyś mnie skrzywdzić.

- Już cię skrzywdziłem. Nosisz blizny, które są tego dowodem.

Portia przyłożyła palce do dwóch niewielkich śladów i poczuła lekkie pieczenie. Żałowała, że zostawiła wstążkę na karcianym stole. Bez niej czuła się naga.

Opuściła dłoń i dumnie uniosła głowę, śmiało patrząc Julianowi w oczy.

- Przyszłam tu dzisiaj, ponieważ musiałam się upewnić, że to nie ty zabiłeś te kobiety. To ja wiele lat temu ocaliłam ci życie w krypcie. Gdybyś teraz odebrał życie jakiejś niewinnej istocie, byłabym za to tak samo odpowiedzialna jak ty.

Podszedł bliżej, tak że stała teraz w jego cieniu. Jego głos brzmiał jak cicha kołysanka, która mogła zwabić kobietę i pchnąć ją ku rozkoszy lub śmierci.

- A jeśli to rzeczywiście ja je zabiłem? Jeśli to ja śledziłem je w ciemnościach nocy, szedłem za nimi krok w krok, czekałem, aż się zawahają lub potkną, żeby móc łatwiej je zniewolić? - Oparł się dłońmi o ramę znajdującego się za nią okna, pochylił głowę i dotknął policzkiem jej policzka. Spodziewała się, że będzie zimny, ale jego skóra była gorąca, jakby płonęła nienaturalnym ogniem, który mógł zniszczyć jej opór. Kiedy dotknął rozchylonymi ustami delikatnego miejsca tuż za jej uchem, poczuła, że przebiega ją dreszcz niemający nic wspólnego ze strachem. - Co mnie powstrzyma przed zrobieniem tego samego z tobą?

- To - wyszeptała, mierząc w jego pierś ostrym końcem kołka, który wydobyla z sakiewki.

Znieruchomiał. Miała nadzieję, że Julian odskoczy od niej, a wtedy będzie znów mogła myśleć i oddychać spokojnie. Ale on tylko rozłożył ramiona, jakby się poddawał, a jego uśmiech był równie śmiertelnością bronią jak drewniany kołek w jej ręku.

- Jeśli przyszłaś tu po to, żeby mnie usunąć ze świata, to zabieraj się szybko do dzieła. Dobrze wiesz, pięknooka, że

moje serce od dawna należy do ciebie. Możesz je sobie zabrać. Albo przebić kołkiem.

Portia bardzo chciała mu wierzyć, ale podejrzewała, że proponował swoje serce całemu tabunowi kobiet, tylko po to, żeby im je odebrać, kiedy tylko ośmieliły się po nie sięgnąć albo kiedy budziły się następnego ranka. Oszołomione od utraty krwi, ale i zaspokojone ponad swoje najśmielsze oczekiwania.

- Gdybyś rzeczywiście chciał zginąć, tak jak mi to wma-wiasz, to po prostu wybrałbyś się na spacer w porannym słońcu - odrzekła.

Julian uśmiechał się, ale jego oczy pozostały smutne.

- Opłakiwałabyś mnie, gdybym zginął? Odrzuciłabyś starania każdego mężczyzny, który chciałby zdobyć twoje serce? Zmarnowałabyś młodość, płacząc na moim grobie?

- Nie - powiedziała słodkim głosem. - Ale gdyby któryś z zalotników podarował mi kota, być może nazwałabym go twoim imieniem.

- Może powinienem ci zostawić coś innego na pamiątkę.
- Nie zważając na ostry kołek, który wciąż trzymała wycelowany w jego serce, przysunął się jeszcze bliżej.

Kiedy owionął ją oszałamiający zapach porto, korzennego mydła i tytoniu, bezwiednie rozchyliła wargi. Właśnie na to czekał Julian. Błyskawicznym ruchem odebrał jej kołek i sakiewkę.

Kiedy się cofnął i nie czuła już jego urzekającego zapachu, oparła się o parapet i zdmuchnęła krnąbrny lok, który opadł jej na czoło.

- To nie było zbyt ładne z twojej strony - stwierdziła.

- A ładnie to grozić, że przebijesz mnie kołkiem?

Bez cienia skruchy wzruszyła ramionami i prychnęła lekceważąco.

- Dama ma niezbywalne prawo bronić się przed niechcianymi zalotami. I przed grasującymi nocą stworami.

Najwidoczniej nie znalazł na to odpowiedzi, bo tylko odłożył kołek na stół i zajrzał do wypchanej sakiewki. Wyjął z niej małą, ozdobną buteleczkę na perfumy, z rodzaju takich, które ostatnimi czasy stały się bardzo modne wśród młodych dam.

- Na twoim miejscu nie otwierałabym jej - powiedziała szybko Portia, kiedy Julian wyciągnął z niej korek i przysunął buteleczkę do nosa. - To moje lawendowe...

Skrzywiła się lekko, kiedy cofnął się gwałtownie i obnażył zęby.

Szybko zatkał flakonik korkiem, spoglądając na Portię oskarżycielsko.

- Nic tak nie pobudza zainteresowania kawalerów, jak kropelka święconej wody za uszkiem pięknej panny.

Ostrożnie odstawił buteleczkę na bok i znów sięgnął do sakiewki. Z jedwabnego wnętrza wydobył miniaturowy kołek wielkości gęsiego pióra, sztylet w futerale, trzy skórzane groty różnej długości i elegancki pistolecik o perłowej rękojeści, w którym mieściła się tylko jedna kula.

Przyglądając się ułożonemu na stole miniarsenałowi, Julian potrząsnął głową.

- Jesteś przygotowana na każdą okoliczność, prawda?

Portia nawet nie próbowała ukryć pełnego zadowolenia uśmiechu.

- Szkoda, że nie widziałeś, czego potrafię dokonać za pomocą szpilki do kapelusza.

- Ciągłe mnie zaskakujesz. - Jego spojrzenie wędrowało

leniwie po jej biuście, szczupłej talii, aż do drobnych stóp, obutych w pantofle z koźlej skóry. - Czy masz w zanadru jeszcze jakąś broń?

- Trzymaj się ode mnie z daleka, a nie będziesz musiał się o tym przekonywać.

- Czyżby mój brat zwerbował cię do swojej drużyny pogromców wampirów?

Spuściła wzrok.

- Niezupełnie. A raczej jeszcze nie - poprawiła się. - Wierzę jednak, że to tylko kwestia czasu. Niedługo zrozumie, ile będzie miał ze mnie pożytku.

Spojrzał na nią z niechętnym podziwem.

- I pomyśleć, że się martwiłem, co ci hultaje w domu gry mogą ci zrobić. Chyba powinienem się martwić o to, co ty możesz zrobić im. - Przesunął dłonią po kołku. - Albo co możesz zrobić mnie.

Portia oderwała wzrok od długich, zgrabnych palców zaciśniętych na gładkim kołku. Zaczerwieniła się po czubki uszu.

- Gdybym przyszła tu po to, żeby cię przebić tym kołkiem, już zmieniłbyś się w garść prochu.

- Albo zyskałbym obiad. - Kpiący błysk w jego oczach sprawiał, że nie wiedziała, czy żartuje, czy grozi.

Uśmiechnęła się wesoło.

- Jeśli jesteś głodny, to z chęcią pobiegnę do najbliższego rzeźnika i przyniosę cię trochę krwistej wołowiny.

- Miałem na myśli coś świeższego. - Znów uwodzicielsko spojrzał na jej szyję. - I coś słodszego.

Jej uśmiech zniknął.

- Czy o to ci właśnie chodziło, kiedy mordowałeś te kobiety?

- Tak uważasz?

- Sama nie wiem - przyznała. Odwróciła się do okna, żeby uniknąć jego badawczego wzroku, odsunęła woalę i spojrzała w dół.

Jakiś człowiek wyłonił się z mroku, spowijającego zaułek.

- O nie! - szepnęła cicho. - To niemożliwe. Mówił, że przyjdzie dopiero rano.

- O co chodzi? - Julian natychmiast nabrał czujności. Stał tuż za Portią, a ona poczuła, że przebiega ją lekki dreszcz.

Spojrzał ponad jej głową na ulicę. Nie zbliżali się zbyt do szyby, żeby nikt z dołu nie mógł ich zauważyć. Szerokie ramiona, przykryte szarą peleryną płaszcza były tak samo charakterystyczne, jak laska, którą trzymał w silnej dłoni. Tę laskę jednym zręcznym ruchem ręki można było zmienić w śmiertcioną broń.

- Mój brat jest całkiem nieobliczalny - mruknął Julian. Jego usta znajdowały się tuż przy uchu Portii. - Spodziewałem się, że wkrótce złożę mi wizytę.

- Podejrzewam, że nie jest to wizyta towarzyska - stwierdziła Portia, kiedy spostrzegła, że do Adriana dołączyła jakaś wysoka, chuda postać. Nie miała wątpliwości, kto to jest.

Alastair Larkin, były oficer policji, był najlepszym przyjacielem Adriana podczas studiów w Oxfordzie. Potem na długie lata ich drogi się rozeszły, ale kiedy w ich życiu pojawiła się Caroline, znów się spotkali. Razem udało im się pokonać Victora Duvaliera, wampira, który nie tylko ukradł Julianowi duszę, ale też zamordował pierwszą miłość Ad-

riana, Eloisę Markham. Larkin również zajmował się zwalczaniem wampirów i był drugim szwagrem Portii.

Mężczyźni naradzili się szybko, a potem ruszyli w stronę budynku, kryjąc się w cieniu murów. Portia odwróciła się szybko i oparła dłoń o pierś Juliana.

- Nie ma czasu do stracenia. Musisz natychmiast stąd uciekać.

Nakrył jej dłoń swoją, wyraźnie rozbawiony jej niepokojem.

- Wzrusza mnie twoja troska, skarbie, ale sytuacja nie jest aż tak dramatyczna. Co Adrian może mi zrobić? Udzielić surowego upomnienia za to, że z nim nie korespondowałem? Nie od dzisiaj wie, że pisanie listów nie jest moją mocną stroną.

- Obawiam się, że nie idzie tu po to, żeby ci udzielić reprimendy - oznajmiła ponuro.

- A więc co mi zrobi? Wydiedziczy mnie? Wykluczy z rodziny? Możesz go sobie wyobrazić, jak tutaj wpada i w uniesieniu woła: Nie jesteś już moim bratem! Dla mnie nie żyjesz!

Kiedy Portia nie roześmiała się z jego dowcipu, znieruchomiał. Nadal uśmiechał się ironicznie, ale ciemne, błyszczące oczy spoglądały poważnie.

- Czyli zdrowy rozsądek mojego brata wreszcie wygrał z sentymentalnym pojmowaniem braterskich obowiązków.

- Lekko wzruszył ramionami. - Trudno mi go za to winić. Już dawno powinien przebić mi serce ostrym kołkiem. Szkoda, że nie zrobił tego zaraz po tym, jak Duvalier skradł mi duszę. Oszczędziłoby to nam obu bardzo wielu kłopotów.

Portia chwyciła go za ramię i próbowała odciągnąć od okna.

- Nic nie rozumiesz? Musimy uciekać! Zanim będzie za późno!

Miała wrażenie, że za chwilę pociągnie ją za nos.

- Dla mnie już jest za późno, skarbie. Ale ty lepiej stąd zmykaj, bo inaczej też będziesz musiała wysłuchać reprimendy Adriana. Nie musisz się o mnie martwić. Nie pierwszy raz muszę uciekać przed żadnym krwi motłochem.

Portia usłyszała jakiś hałas za oknem, odwróciła się i wyjrzała na zewnątrz.

- Zdaje się, że prawdziwy żadny krwi motłoch właśnie się pojawił - stwierdziła, wskazując na wylot ulicy.

W zaułku pojawił się wysoki mężczyzna o wąskim nosie i górnej wardze uniesionej w pogardliwym grymasie. Za nim podążało kilku obdartych zabijaków, których miny świadczyły o tym, iż rzeczywiście mogą być żadni krwi.

- To Wallingford! - zawołał Julian i zaklął pod nosem, patrząc, jak jego brat i szwagier podchodzą ku nim coraz bliżej. - Miałem nadzieję, że ten drań zostawi mnie w spokoju chociaż na jedną noc, zanim każe mnie wtrącić do więzienia za długi.

Portia znów gwałtownie szarpnęła go za ramię.

- Może, gdyby cię nie przyłapał, jak obściskujesz jego narzeczoną podczas ich kolacji zaręczynowej, miałby do ciebie życzliwsze podejście.

Spojrzał na nią oskarżycielsko.

- A więc dziś rano na łące w parku to jednak byłaś ty. Od razu się domyśliłem. Wyczułem cię. - Uwolnił wijący się kosmyk włosów z upiętej na czubku głowy fryzury i podsunął go sobie pod nos. Nozdrza mu się rozszerzyły, kiedy znów wyczuł znajomy, ulotny zapach.

Zapach zwierzyny, na którą polował?

Zza okna dochodziły stłumione okrzyki. Najwyraźniej zbliżający się ludzie postanowili przestać się ukrywać. Ku zaskoczeniu Portii, Julian usiadł w głębokim fotelu, skrzyżował długie nogi i przybrał taką pozę, jakby nie zamierzał ruszyć się z miejsca przez następne sto lat.

- Co zamierzasz zrobić? - zapytała. - Będziesz tak siedział i czekał, aż wpadnie tu Adrian i przebije cię kołkiem?

Potaął paznokciami o mankiet koszuli, żeby nabrały połysku.

- Jeśli sprawi mu to przyjemność.

- A jeśli Wallingford dopadnie cię pierwszy?

- W więzieniu dla dłużników nie będzie mi tak źle - oznajmił radośnie. - Panuje tam mrok, a i ze zdobyciem pożywienia nie będę miał większego kłopotu.

Niepokój Portii przerodził się w gniew.

- Czy po to wróciłeś do Londynu? Bo zmęczyło cię już wywoływanie pojedynków, w których i tak nie możesz zginąć? Bo wiedziałeś, że Adrian w końcu cię odnajdzie i zrobi to, na co tobie nie starcza odwagi?

W odpowiedzi tylko patrzył na nią.

- Pomyślałeś o tym, co się ze mną stanie, jeśli stąd nie uciekniesz? - zapytała. - Ty być może zginiesz, ale ja też bardzo ucierpię.

Przez jego twarz przebiegł cień niepokoju.

- O czym ty mówisz?

- Jeśli mnie tutaj znajdą, w tym wynajętym mieszkaniu, w twoim towarzystwie, moja reputacja legnie w gruzach - wyjaśniła, zerkając prowokująco na zmiętą pościel leżącą na łóżku.

Julian spojrział na nią zwężonymi oczami.

- Ani trochę nie dbałaś o swoją reputację, kiedy nie tak dawno temu wkroczyłaś do niesławnego domu gry.

- Tam nikt mnie nie znał. A markiz Wallingford to potężny i bardzo wpływowy człowiek. Kiedy zaczniesz rozsiewać plotki o tym, że szwagierka wicehrabiego Trevelyana zadaje się z jego bratem, bezwstydnikiem, nicponiem i osławionym libertynem...

- Nie wspominając już nawet o tym, że jest on krwiożerczą bestią z piekła rodem - wtrącił Julian.

Portia zignorowała tę uwagę.

- Wtedy żaden bogaty arystokrata nie poprosi mnie już o rękę. I będę mogła pożegnać się z wizją gromadki dzieci i spokojnym, rodzinnym życiem. - Westchnęła ze smutną miną, jaką przybierała w dzieciństwie, kiedy chciała nakłonić Caroline, żeby jej kupiła wstążkę, chociaż tak naprawdę nie było ich na to stać. - Zapewne nie będę miała innego wyboru, jak tylko zostać kochanką jakiegoś bogacza, na przykład Wallingforda. Na pewno będzie okrutnym i wymagającym panem, ale sądzę, że z czasem nauczę się, jak mu dogodzić.

Julian prędko przemierzył pokój i chwycił ją za rękę. Pociągnął ją za sobą do drzwi, gniewnie spoglądając na nią przez ramię.

- Z ochotą odpowiem przed Bogiem za swoje grzechy, ale prędzej zginę w piekle, niż pozwolę, żebyś ty została ukarana za występki, którego nie miałem przyjemności dziś popełnić.

Trzymając ją mocno za rękę, pobiegł w dół mroczną klatką schodową. Portia musiała bardzo się starać, żeby dotrzeć do niego. Zanim dotarli do niższego piętra, usłyszeli dobiegający z parteru hałas. Julian zatrzymał się

gwałtownie, przytrzymując Portię ramieniem, żeby na niego nie wpadła. Na schodach rozlegał się tupot ciężkich butów. Za długo się wahali i droga ucieczki została odcięta.

Julian odwrócił się szybko i pociągnął Portię na górę. Przebiegli obok drzwi jego wynajętego mieszkania i wąskimi, krętymi schodami pomknęli jeszcze wyżej. W końcu dobiegli do szczytu schodów i przez spaczone drewniane drzwi wyszli na dach.

Podmuch lodowatego wiatru potargał starannie upięte ciemne loki Portii, przypominając jej, że zostawiła kapelusz, pelisę, a przede wszystkim broń w pokoju Juliana, a więc zdana była teraz na łaskę żywiołów i swojego towarzysza. Jednak zamiast strachu ogarnęło ją dziwne uniesienie.

Cienka warstwa śniegu spowijała kominy i szczyt dachu. Migoczące płatki tańczyły w bladym świetle księżyca, rozwiewane wiatrem. Chociaż Portia przysięgała, że nie wierzy już w swoje dziecięce fantazje, miała wrażenie, że znajduje się w jakiejś zaczarowanej krainie wróżek, pięknej, chociaż niebezpiecznej.

Kiedy była dzieckiem, wierzyła, że tą krainą włada złoto-włosy książę, który ocali ją przed każdym niebezpieczeństwem. Tymczasem znalazła się tu z ciemnowłosym księciem nocy, które mógł ją uratować, ale też doprowadzić do zguby.

Zatrzymali się na samym skraju dachu. Śnieg pokrył brud i sadze, więc rozciągające się przed nimi miasto przypominało rozległy srebrzysty zamek o skomplikowanej płataninie murów obronnych. Najbliższy dach był jednak zbyt daleko, żeby nań przeskoczyć.

Wściekłe krzyki i tupot pogoni stawały się coraz głośniejsze. Za kilka chwil dopadną ich prześladowcy Juliana.

Portia stała niepewnie na skraju dachu wysokiego domu, otoczona ramionami Juliana i spoglądała w dół. Nagle rozeźmiała się nerwowo.

- Adrian nieraz słyszał opowieści o wampirach, potrafiących zamienić się w nietoperza. Szkoda, że ty nie jesteś jednym z nich.

Zadrzała, a Julian przyciągnął ją bliżej do siebie i osłonił ciałem przed wiatrem. Odgarnął jej włosy z czoła i spojrzął na nią przenikliwie.

- Powiedz im, że mnie tu szukałaś, ale nie znalazłaś. Uciekłem z Londynu, żeby uniknąć gniewu Wallingforda i więcej żadnego z nich nie będę niepokoił. Powiedz, że chciałaś mnie przekonać, żebym wrócił do domu, bo wiesz, jak mój konflikt z Adrianem działa na twoją siostrę i całą resztę rodziny. Adriana nie oszukasz, ale Wallingford ci uwierzy. Kiedy chcesz, potrafisz być bardzo przekonującą aktorką.

Portia otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale zaraz je zamknęła, zdając sobie sprawę, że to nie ma sensu.

- Ale dokąd pójdziesz? I jak.... - zamilkła, wskazując na rozgwieżdżone nocne niebo.

Uśmiechnął się smutno.

- Duvalier, zanim Adrian go unicestwił, dał mi jedną dobrą radę. Powiedział, żebym nie był głupcem i korzystał ze swoich mrocznych darów.

Jakby chciał się z nią podzielić najcenniejszym i najbardziej mrocznym z nich, pochylił się nad nią. Pocałował ją na zaśnieżonym dachu, pod rozgwieżdżonym niebem, mimo że za chwilę mieli zjawić się jego prześladowcy. Już było słychać ich ciężkie kroki na schodach.

To nie była uwodzicielska pieśczoła, która miałyby do-

starczyć jej jak największej przyjemności. Tym razem Julian brał to, czego on pragnął. Pocałował ją tak, jakby brał ją w posiadanie, jakby chciał z niej wyrwać duszę. Nawet gdyby w jednej ręce miała kołek, a w drugiej pistolet, nie zdołałaby się obronić przed tak namiętnym atakiem. I wcale nie chciała się bronić.

Julian wydał z siebie głęboki pomruk, a ona przywarła do niego i jęknęła głucho. Jęk zmienił się w cichy okrzyk protestu, kiedy Julian oderwał usta od jej warg i delikatnie odsunął ją od siebie.

Uniosła powieki, a on w tej samej chwili skoczył z dachu wprost w ziejącą pod nim przepaść ulicy. Zanim z jej gardła zdążył wyrwać się krzyk, Julian zniknął jej z oczu, jakby rozpułnął się w powietrzu. Jakiś ciemny kształt pojawił się ponad krawędzią komina i poszybował w górę w ciemności nocy. Portia stała z otwartymi ustami, patrząc, jak z gracją zatacza kręgi na niebie, a potem odlatuje w stronę cienkiego jak sierp półksiężyca.

Otrząsnąwszy się z szoku, przyłożyła dłonie do ust i zawołała:

- Tylko nie zjedz nikogo!

Może był to tylko szum wiatru, ale mogłaby przysiąc, że dobiegły do niej słowa wypowiedziane znajomym, aksamitnym głosem, w którym słychać było nutę rozbawienia.

- Przestań gderać!

Drzwi za nią otworzyły się z hukiem. Nie miała innego wyjścia, musiała stanąć twarzą w twarz z żądnym krwi motłochem i z rozgniewanym szwagrem.



Co mam zrobić, żeby cię przed nim ochronić? Może powinienem cię zamknąć w klasztorze? Przynajmniej nie mógłby postawić stopy na poświęconej ziemi. - Adrian znów wydeptywał ścieżkę na pięknym dywanie wyściełającym podłogę salonu. Sądząc po sińcach pod oczami i z faktu, że wciąż był ubrany w zmięte spodnie, koszulę i kamizelkę, które miał na sobie minionego wieczoru, najwyraźniej nie zmrużył oka, odkąd przywiózł Portię do domu.

- Chyba powinniśmy sprawdzić, czy kuzyn Cecil nadal poszukuje żony - poradziła Caroline, mając na myśli odrażającego lubieżnika, który kiedyś zaproponował, że nauczy Portię posłuszeństwa własną pięścią.

Adrian i Portia odwrócili się jednocześnie i spojrzeli na nią z przerażeniem. Caroline zrobiła niewinną minę i dodała słodko:

- A może ciotka Marietta szuka towarzyszki?

Dopiero wtedy zdali sobie sprawę, że to tylko żart. Caroline siedziała na pokrytej brokatem sofie, trzymając na kolanach Eloisę. Dziewczynka próbowała połknąć niebywale drogi sznur pereł, który Adrian kupił żonie na trzecią rocznicę ślubu.

Blade światło słoneczne wpadało do obszernego pokoju

przez łukowato sklepione okna. Portii udało się odwlec tę rozmowę na kilka godzin. Najpierw, jadąc do domu powozem, udała omdlenie, a potem, kiedy Adrian zaprowadził ją do Caroline, ze łzami w oczach poskarżyła się na zmęczenie. Niestety, jej strategia zwróciła się przeciwko niej. Dzięki tej zwłóce Adrian miał czas zwołać resztę rodziny i teraz wszyscy mogli być świadkami jej kompromitacji.

Druga siostra Portii, Vivienne, siedziała w głębokim, pokrytym skórą fotelu przy kominku, czujnie obserwując swoje czteroletnie jasnowłose bliźniaki, które bawiły się drewnianymi żołnierzami. Nawet urodzenie dwóch kipiących energią urwisów z piekła rodem nie zdołało zburzyć jej słynnego spokoju. Zgodnie z rodzinną legendą, kiedy położna podała jej drugiego noworodka, Vivienne powiedziała tylko:

- Ojej! Kto by pomyślał?

Tymczasem jej stoicki mąż padł na podłogę zemdlony.

Alastair Larkin, którego wszyscy od czasów jego pracy w policji nazywali po prostu Larkin, przysiadł na poręczu fotela żony. Co kilka minut bezwiednie wyciągał dłoń i z roz-targnieniem gładził ją po złotych włosach. Miał wąskie, surowe usta, długi nos i raczej nie odznaczał się urodą, więc niektórzy się dziwili, jak temu pospolitemu mężczyźnie udało się zdobyć serce takiej piękności jak Vivienne Cabot. Jednak przestawali się temu dziwić, kiedy dostrzegali w jego bystrych, brązowych oczach jasny błysk, który rozpałał się za każdym razem, kiedy Alastair spoglądał na żonę.

Na spotkanie z rodziną Portia ubrała się w surową, zieloną suknię i miała nadzieję, że w tym stroju będzie wyglądała na odpowiednio skruszoną. Jej szyję zdobiła aksamitna wstążka w tym samym kolorze. Dziewczyna siedziała na swojej

ulubionej otomanie i splótłszy skromnie dłonie na kolanach, patrzyła na krążącego po salonie Adriana.

- Julian to mój brat - przypomniał jej. - Gdybyś mi ufała, wierzyłyabyś, że sam zajmę się tą sprawą i nie porywałabyś się z motyką na słońce.

- Ależ ja wierzyłam, że się tym zajmiesz. I właśnie to mnie najbardziej martwiło.

Odwrócił się i spojrzał jej prosto w oczy.

- Naprawdę sądziłaś, że bez mrugnięcia okiem przebiję kołkiem serce mojego młodszego brata?

- Adrianie... dzieci - przypomniała mu żona, przykładając palec do ust.

Spojrzał na nią zbity z tropu, chwycił zwisającą w rogu ozdobioną frędzlami taśmę i pociągnął za nią, żeby dzwonkiem przywołać lokaja. Wydawało się, że upłynęła cała wieczność, zanim stary Wilbury wszedł do salonu, z wysiłkiem powłócząc nogami. Miał zapadnięte policzki, zgarbione plecy i potarganą, siwą czuprynę. Wyglądał na co najmniej dwieście siedemdziesiąt pięć lat.

- Wilbury, mój drogi - odezwała się Caroline. - Czy możesz zabrać stąd dzieci i zająć je czymś przez chwilę?

- Ależ oczywiście. Czas spędzony z dziećmi to najwspanialsze chwile jesieni mojego życia - wycedził z lodowatą uprzejmością. - To spełnienie najskrytszych marzeń, na które nawet już nie liczyłem, czekając, aż wieczny sen uwolni mnie od ziemskich obowiązków.

Nie zwracając uwagi na sarkastyczny ton lokaja, Caroline uśmiechnęła się do niego z sympatią.

- Dziękuję, Wilbury. Spodziewałam się, że tak powiesz. Lokaj podszedł do kominka, mamrocząc pod nosem:

- Kocham dzieci. Po prostu uwielbiam te rozpuszczone słodkie berbecie o ciekawskich, lepkich paluszkach, które potrafią zabrudzić każdy świeżo wypolerowany mebel w tym domu. - Pochylił się, obnażył żółte zęby w krzywym uśmiechu i chrapliwym głosem zwrócił się do bliźniaków: - Chodźcie, chłopcy. Zabieram was do kuchni na kakao.

Malcy spojrzeli na niego rozszerzonymi z przerażenia oczami, zerwali się na równe nogi i z krzykiem wybiegli z pokoju. Wilbury wyprostował się, na ile pozwalały mu przygarbione plecy, i przewrócił oczami.

- Wilbuly! - wysepleniła Eloisa radośnie. Zeskoczyła z kolan matki, podeszła do lokaja i przytuliła się do jednej z jego chudych nóg. Podniosła na niego wzrok i zatrzepotała długimi rękami. - Ja chcę kakałko!

Z westchnieniem męczennika lokaj wziął ją na ręce, chociaż jego stare kości zaskrzypiały w proteście. Kiedy niósł ją do drzwi, radośnie pociągnęła go za niekształtne uszy. Skrzywiona cierpko twarz Wilbury'ego nie rozpogodziła się ani na chwilę, ale kiedy mijał Portię, niemal niedostrzegalnie puścił do niej oko.

Stłumiła uśmiech, ciesząc się, że ma w domu chociaż jednego sprzymierzeńca. Wilbury zawsze miał słabość do Juliana. Kiedy Duvalier zmienił Juliana w wampira, jedynie stary lokaj został wtajemniczony w ponury sekret braci. Pomógł Adrianowi zamienić kryptę w podziemiach zamku w komnatę godną księcia. Na zawsze zdobył sympatię Portii, strzegąc drzwi sali balowej, kiedy ona ćwiczyła tam posługiwanie się kołkiem i kuszą, choć w tym czasie powinna uczyć się tańca i odmiany francuskich czasowników. Uprzą-

tał też skorupy rozbitych przez nią wazonów i popiersi, nie narzekając zbyt głośno.

Adrian zaczekał, aż jego córka opuści pokój, i znów zwrócił się do Portii.

- Chyba mogę winić tylko siebie. Powinienem wiedzieć, że z tej twojej dziecinnej fascynacji nie wyniknie nic dobrego.

- Już nie musisz się o to martwić - odrzekła Portia sztywno, choć wspomnienie o pocałunkach Juliana sprawiało, że wargi zaczynały ją palić żywym ogniem. - Od początku miałeś rację. Julian nie jest już ani tym człowiekiem, ani tym wampirem, którego pamiętamy z przeszłości. - Spuściła głowę, żeby uniknąć przenikliwego wzroku Caroline. Choć Vivienne była do niej bardziej zbliżona wiekiem, to właśnie Caroline z łatwością potrafiła odgadnąć jej myśli i uczucia.

- Co dokładnie powiedział, kiedy zapytałaś go o te zabójstwa? - Larkin nie był w stanie dłużej tłumić wrodzonej ciekawości. - Twierdził, że nic o tym nie wie, czy przyznał się?

Portia uświadomiła sobie, że nie zrobił żadnej z tych rzeczy. A to znaczyło, że chciał coś ukryć. Ale kogo starał się chronić? Samego siebie? Czy może kogoś innego?

Chociaż nie lubiła okłamywać swojej rodziny, śmiało spojrzała Larkinowi w oczy i powiedziała:

- Nie miałam okazji go o to zapytać. Niespodziewane wtargnięcie waszej brygady pościgowej przerwało moje dochodzenie.

Larkin, wyraźnie rozczarowany, przysiadł na oparciu fotela obok żony. Vivienne poklepała go po kolanie i uśmiechnęła się do młodszej siostry.

- Nie rozumiem, o co chodzi w tym całym zamieszaniu. Najważniejsze, że Portia jest już z nami, cała i zdrowa.

- Też chciałbym tak myśleć - odezwał się Adrian. - Ale Portia nie jest bezpieczna, jeśli Julian nadal czai się gdzieś w pobliżu.

- Powiedział mi, że wyjeżdża z Londynu - odrzekła cicho Portia. - I że nie będzie... nas więcej niepokoił.

Przez twarz Adriana przebiegł cień smutku, przez co jej serce ścisnął jeszcze większy żal. Nie wiedziała, czy Julian mówił szczerze, czy jego słowa miały na celu jedynie zmylenie rodziny. Nie śmiała nawet opowiedzieć Adrianowi, w jaki sposób udało się Julianowi uciec. Wolała, żeby wierzył, że brat wykorzystał swoją nadnaturalną siłę i zszedł z dachu po rynnę. Od dawna walczyli z wampirami, ale jeszcze nigdy nie natrafili na takiego, który posiadałby wystarczającą moc, żeby zmienić się w nietoperza. Gdyby Adrian wiedział, że jego brat ma ten rzadki dar, mógłby go uznać za jeszcze większe zagrożenie.

Ku jej zaskoczeniu szwagier ciężko usiadł na skraju otomany i przesunął dłonią po nieogolonym policzku.

- Wiem, że twoim zdaniem przesadzam, ale kiedy cię zobaczyłem stojącą na skraju dachu, z pobladałą twarzą i zmierzwionymi włosami...

- Podejrzewałeś najgorsze - dokończyła za niego.

Skinął głową.

- Bałem się, że znów pił twoją krew. Że mógł cię zabić lub, co gorsza, ukraść ci duszę.

Portia wiedziała, że to nie jej duszy grozi największe niebezpieczeństwo, ale sercu. Wzięła Adriana pod ramię i lekko uściśnęła.

- Przykro mi, że tak cię wystraszyłam. To, co powiedziałam Wallingfordowi, częściowo jest prawdą. Chciałam go tylko sprowadzić do domu. Ze względu na ciebie. - Śmiało przebiegła wzrokiem po zgromadzonych. - Ze względu na nas wszystkich.

Adrian wstał, pociągając ją za sobą i delikatnie pocałował w czoło.

- Vivienne ma rację. Teraz najważniejsze jest, że wróciłaś do domu cała i zdrowa. O resztę będziemy się martwić później.

Ruszył do drzwi, a Vivienne wstała, wdzięcznie szeleszcząc suknią.

- Chodź, kochanie - zwróciła się do męża. - Musimy wyrwać chłopców ze szponów Wilbury'ego, zanim wrzuci ich do kotła.

- Zdaje się, że ostatnim razem, kiedy zostawiliśmy ich pod jego opieką, zamknęli biedaka w spiżarni - przypomniał sobie Larkin.

- Nie, to było przedostatnim razem. Ostatnio to on zamknął ich w schowku na szczotki - sprostowała Vivienne, podążając za Adrianem.

Tylko Caroline została na miejscu i nadal zamyślona spoglądała na roztańczone płomienie ognia w kominku. Portia ostrożnie zrobiła krok ku wyjściu, ale zatrzymał ją głos siostry.

- Nie tak szybko, skarbie.

Spojrzała na siostrę z niewinną miną.

- Coś mówiłaś?

Caroline poklepała wolne miejsce na sofie obok siebie i równie niewinnie odparła:

- Pogawędzimy sobie chwilę.

Portia niechętnie zawróciła, usiadła obok siostry, ale zachowała kamienne milczenie.

- Od dawna mnie to ciekawi, chociaż przez tyle lat o nic nie pytałam - zaczęła Caroline, bawiąc się chusteczką z wyhaftowanym monogramem. - Co zaszło wtedy w krypcie między tobą a Julianem?

Portia nie zdołała ukryć zaskoczenia. Spodziewała się pytań o minioną noc, a nie o zdarzenia sprzed sześciu lat.

- Podziwiałam twoją powściągliwość. To było zupełnie nie w twoim stylu.

- Chyba wszystkim nam łatwiej było udawać, że nic się wtedy nie stało, prawda? - Szczere oczy Caroline patrzyły na nią badawczo. - Wciąż jednak zadawałam sobie pytanie, czy tamtej nocy w krypcie Julian oprócz krwi nie zabrał ci jeszcze czegoś. To by tłumaczyło trwałość twojego uczucia względem niego. I niechęć do zamażpójścia.

Portia potrafiła nadać głosowi beztroski ton, ale nie umiała powstrzymać rumieńca wpełzającego na policzki. Spuściła wzrok, żałując, że nie ma chusteczki, którą mogłaby zająć niespokojne dłonie.

- Skoro miałaś takie podejrzenie, dlaczego nie wezwałaś lekarza, żeby mnie zbadał?

- Adrian to proponował, ale ja się nie zgodziłam, żeby poddano cię takiemu poniżeniu. Zresztą oboje uznaliśmy, że dość już wycierpiałaś w rękach jego brata.

Portia nie zdołała opanować ironicznego śmiechu.

- Doceniam twoją troskę, Caro. Zapewniam cię jednak, że żadna kobieta przesadnie nie cierpiała w rękach Juliana Kane'a.

- Nawet teraz? - odparowała Caroline, przyglądając się siostrze w jeszcze większym skupieniu.

Nie znalazłszy odpowiedzi na to pytanie, Portia wstała i z wysoko uniesioną głową wyszła z pokoju, nie zdradzając żadnej ze swoich tajemnic.

Portia siedziała z kolanami pod brodą na ławie przy oknie swojej sypialni na drugim piętrze domu i spoglądała na gasnące jedno po drugim światła w oknach georgiańskich domów po drugiej stronie placu Mayfair. Kiedy odległy dzwon na wieży kościelnej uderzył raz, ostatnia latarnia na placu również zgasła, pograżając wszystko wokół w ciemnościach, rozpraszanych jedynie poświęcią księżycy.

Uchyliła okno, przedkładając chłodny powiew nad rozleniwiający żar, bijący od kominka. Chociaż powozy wyżłobiły błotniste koleiny na szerokiej, brukowanej ulicy, to na dachach i nagich gałęziach drzew wciąż połyskiwał szron. Smugi mgły unosiły się nad opustoszałym miastem.

Otuliła się ciasniej wełnianym szalem, wpatrując się w noc. Panująca w uspiętym domu cisza sprawiała, że Portia czuła się jak ostatnia czuwająca istota na ziemi. Wiedziała jednak, że gdzieś tam jest również Julian, więzień nocy niosącej niebezpieczeństwa i pokusy. Nie byłaby zaskoczona, gdyby właśnie znajdował się w ramionach innej kobiety.

Dotknęła palcem dolnej wargi, przypominając sobie dotyk jego ust. Całował ją tak, jakby była zarazem jego wybawieniem i zgubą. Otoczył ją ramionami tak ciasno, że nie mogłyby ich rozdzielić nawet najsilniejsze podmuchy wichury.

Ale przecież w końcu musieli się rozdzielić. Wolno opus-

ciła dłoń. A jeśli ten pocałunek był rzeczywiście pożegnaniem? Może Julian naprawdę znów ruszył w świat, porzucając tych, którzy go kochają? Może już nigdy go nie zobaczy? Taka ewentualność była teraz jeszcze trudniejsza do zniesienia niż kiedyś. Ale może kiedyś uwierzy, że te chwile spędzone w jego ramionach to był tylko sen, wytwór rozgorączkowanej wyobraźni kobiety, która musi spędzić życie, tęskniąc za nieosiągalnym mężczyzną.

Wiatr jęczał wśród drzew rosnących przed domem, wywołując ciarki na jej skórze. Chciała zamknąć okno, ale po chwili wahania otworzyła je jeszcze szerzej.

- Julianie, wróć do domu - szepnęła w ciemność nocy.
- Zanim będzie za późno.

Julian wślizgnął się przez uchylone okno do sypialni Portii i bezgłośnie wylądował na dywanie. Powinien być teraz w drodze do Francji, gdzieś na środku kanału La Manche, w towarzystwie nic niepodejrzewającego Cuthberta.

Tymczasem spędził dzień skulony w kącie jakiegoś opuszczonego składu na Charing Cross, czekając, aż zajdzie blade, zimowe słońce. Wymknął się stamtąd tuż po wschodzie księżycy i włóczył się po mieście, unikając zatłoczonej Fleet Street i Strandu, gdzie mogli czyhać na niego pachol-kowie Wallingforda. Po jakimś czasie zdał sobie sprawę, że bezwiednie zawędrował w pobliże domu brata.

Stał w zaułku na tyłach budynku, a kiedy na ulicy pojawił się Larkin z Vivienne i dwójką rozbrykanych chłopców, cofnął się w cień i zaczekał, aż cała rodzina wsiądzie do powozu. Widział przez okno, jak Caroline wchodzi do gabinetu Adriana, siada mężowi na kolanach i czułym pocałun-

kiem stara się złagodzić jego troski. Kiedy oboje wychodzili z gabinetu, Julian przyjrzał się uważnie urodziwej twarzy brata. Wiedział, że to przez niego pojawiło się na niej kilka nowych, wywołanych zmartwieniami bruzd i zmarszczek. Adrian zawsze gotów był dźwigać ciężar, który tak naprawdę powinien spoczywać wyłącznie na barkach Juliana.

Czekał cierpliwie, aż Wilbury obszedł cały dom, gasząc ostatnie światła. Łatwo jest zachować cierpliwość, kiedy ma się przed sobą całą wieczność.

Tak mu się przynajmniej wydawało, dopóki nie stanął przed głównym wejściem do domu i nie zobaczył siedzącej w oknie Portii. Spoglądała w niebo. Miała bardzo smutną minę, jak dziecko, które właśnie się dowiedziało, że wróżki nie istnieją. Julian wiedział, że powinien pożegnać się z nią w milczeniu i zniknąć w mrokach nocy, tam, gdzie było jego miejsce.

Wyjedzie z Londynu. Skończą się morderstwa. A jeśli Portia będzie do końca życia przekonana, że Julian jest potworem, to czyż tak nie będzie dla niej najlepiej? Odwrócił się, zamierzając odejść.

Julianie, wróć do domu. Zanim będzie za późno.

Znieruchomiał w pół kroku, kiedy jego czuły słuch wychwycił echo jej szeptu. Szybko spojrzał na okno, ale nikogo w nim nie było.

- Mam nadzieję, że ta gąska dobrze je zamknęła - wymamrotał pod nosem. Ale nawet z ulicy widział, że okno nadal jest uchylone.

Stał tam bardzo długo, ale chyba nawet jego nieskazitelnego brata nie oparłby się tak kuszącemu zaproszeniu. W kilka chwil znalazł się na parapecie i bezdźwięcznie wemknął się do jej sypialni, niczym złodziej po bezcenny łup.

Cicho podszedł do łóżka. Okrywający je baldachim z przejrzystej gazy upodabniał je do namiotu sułtana. Rozchylił połyskliwą zasłonę i zobaczył śpiącą Portię. Chociaż starannie zaplotła niesforne loki w dwa warkocze, to kilka jedwabistych, ciemnych pasemek wyswobodziło się i okalało jej twarz. Spała na plecach, z jedną ręką przyłożoną do zarumienionego policzka. Julian ze smutnym uśmiechem zauważył, że drugiej ręce zaciska drewniany kołek.

- Dzielną dziewczyna - szepnął, kiedy z jej ust wyrwało się ciche chrapnięcie. Portia, choć posiadała bujną wyobraźnię, potrafiła się też wykazać praktycznym zmysłem.

Julian wiedział, że gdyby żywił wobec niej złe zamiary, kołek byłby bardzo słabą obroną. Na szczęście nie zdawała sobie jeszcze sprawy, że posiada o wiele bardziej skuteczną broń, którą mogła zranić jego serce.

Wkrótce jego nadnaturalnie wyczulony zmysł powonienia zaczął sprawiać mu kłopoty. Julian przysunął się bliżej i wchłaniał cudowny zapach Portii, choć wiedział, że to zakazana przyjemność. Gdyby w domu gry nie otaczał go tłum niemytych ciał i odór dymu z cygar, wyczułby z daleka jej obecność i mógłby na czas wymknąć się tylnymi drzwiami. Nadal pachniała dokładnie tak, jak to sobie zapamiętała - czysto i świeżo, jak suszące się na słońcu i wietrze białe prześcieradła. Jednak pod tą niewinną wonią rozmarynu i mydła krył się zmysłowy, kobiecy zapach, który od wieków doprowadzał mężczyzn do szaleństwa.

Julian zdusił chęć wtulenia się w zagłębienie jej szyi. Poczul głód, a kusząca woń Portii sprawiła, że miał ochotę ten głód zaspokoić.

Łatwo mu było trzymać się od niej z daleka, kiedy wma-

wiał sobie, że to nadal mała, beznadziejnie zadurzona w nim dziewczynka. Oddzielił się od niej morzami, kontynentami i dziesiątkami kobiet, ale wspomnienia nadal go prześladowały, dręcząc i kusząc jednocześnie.

Czy to przez niego dotąd nie wyszła za mąż? Nieraz podczas długich, samotnych godzin między zmrokiem a brzaskiem wyobrażał ją sobie w ramionach i łóżku innego mężczyzny. A teraz widział ją przed sobą. Nadal miała na szyi bliznę po jego pocałunku, niczym wypalone piętno. Dostrzegał w tym ironię losu. Oznakował ją, ale nigdy nie będzie do niego należała.

A właściwie, dlaczego nie?

Julian cały zeszywniał. Nieraz już słyszał ten sugestywny, złowrogi głos. Bez zdziwienia stwierdził, że brzmiał on identycznie jak kuszący głos Victora Duvaliera. W końcu to właśnie Duvalier zrobił z niego wampira. To on go dręczył, powtarzając mu, że nigdy nie zazna spokoju ani zadowolenia, dopóki całkowicie nie zrezygnuje z człowieczeństwa i nie stanie się w pełni potworem. To Duvalier wtedy w krypcie pchnął Portię w jego ramiona i zachęcał, żeby odebrał jej duszę i w ten sposób nasycił swój głód i odpędził samotność, czyniąc z dziewczyny swoją wieczną narzeczoną.

Od tamtego czasu ta pokusa ani trochę nie straciła na sile, a nawet stała się mocniejsza. Podsyciły ją niezliczone noce, podczas których nigdy do końca nie zaspokoił swojego apetytu.

Nie mogąc dłużej się powstrzymać, przesunął czubkami palców po bladych bliznach na jej szyi. Po jej twarzy przebiegł lekki skurcz. Z rozchylnych ust wydobył się cichy jęk, który mógł świadczyć zarówno o bólu, jak i przyjemności.

Poczuł, że zalewa go fala pożądania, a kły wydłużają się i stają się ostre niezależnie od jego woli. Portia odwróciła się ku niemu i wymamrotała przez sen niewyraźnie słowa protestu, kiedy delikatnie wyjął kołek z jej ręki.

Podдай się.

Uwodzicielski szept przewijał się przez sny Portii niczym jedwabna wstęga, osłabiając jej wolę oporu. Miała ochotę złożyć broń i z otwartymi ramionami przywitać ciemność.

Nie była już sama. On tam był. Słyszała jego głos, nakłaniający ją do wyznania swoich najskrytszych pragnień. Czuła, że się zatracza w hipnotycznej sile jego szeptu, słabnie z każdym płytkim oddechem, z każdym leniwym uderzeniem serca. Musiał ją mieć. Bez niej umrze. Nie będąc w stanie dłużej się opierać, drżącą ręką odgarnęła włosy i ofiarowała mu nagą szyję.

Obudziła się gwałtownie. Sen był tak realistyczny, że niemal spodziewała się zobaczyć Juliana, pochylającego się nad nią z obnażonymi kłami. Ale nad sobą zobaczyła jedynie baldachim łóżka. Z drżącym westchnieniem dotknęła blizny na szyi. Co się z nią działo? Taki sen powinien śmiertelnie ją wystraszyć, a nie obudzić dziwną tęsknotę i pragnienia.

Przyłożyła drugą rękę do serca i dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że niczego w niej nie trzyma. Kołek zapewne wysunął się z uścisku, kiedy we śnie rzucała się w pościeli. Nie wiedziała, czy stać by ją było na to, żeby go użyć przeciwko Julianowi, ale jego znajomy ciężar w dłoni dodawał jej otuchy.

Odwróciła się na bok, żeby przeszukać pościel. Wtedy zobaczyła kołek ułożony na poduszce obok, starannie prze-

wiązany czerwoną wstążką, którą rzuciła na stół pokerowy tamtej nocy w szulerni.

Zastanawiając się, czy nadal śni, wolno usiadła na łożku i dotknęła drżącymi palcami aksamitnej wstążki. Jej wzrok pobiegł ku oknu.

Chwyciła kołek, odrzuciła kołdrę i wyskoczyła z łożka. Okno było zamknięte, ale nie na zasuwkę, jakby ktoś domknął je od zewnątrz. Trudno było tego dokonać, ponieważ za oknem nie było balkonu, parapetu ani nawet rosnącego wystarczająco blisko drzewa. Otworzyła szeroko oba skrzydła i mroźne powietrze wtargnęło do ciepłego pokoju. Ktoś bowiem nie tylko zatrzasnął okno, ale też dołożył drew do kominka.

Wychyliła się na zewnątrz, starając się dostrzec w mroku jakiś ruch. Niczego jednak nie zobaczyła, jedynie ciemności nieco rozjaśnione światłem księżyca i migoczących gwiazd. Usiadła na ławeczce przy oknie, obracając kołek w rękach. Mogła sobie łatwo wyobrazić, jak Julian zręcznie zawiązuje kokardę na tej śmiercionośnej broni i ostrożnie kładzie ją obok niej na poduszce.

Czy miało to być zaproszenie, czy pożegnalny prezent? Obietnica czy ostrzeżenie?

Poddaj się. Tak szeptał w jej śnie. Ale jak miała się poddać? Oddać mu swoje serce? Nadzieję? Własną duszę? Przycisnęła kołek do piersi, zwróciła twarz do księżyca i tak doczekała świtu.

Powłócząc nogami, weszła do pokoju śniadaniowego i ziewnęła, zakrywając usta dłonią. Dłuższą część nocy przesiedziała przy oknie. Zasnęła dopiero, kiedy pierwsze

promienie słońca wyrzały zza londyńskich dachów. Obudziła się dwie godziny później, zeszywniała i obolała. W zziębniętej dłoni nadal trzymała kołek.

Zanim zeszła na dół, wsunęła przewiązane wstążką śmiercionośne narzędzie do przypinanej kieszeni spodnicy. Wiedziała, że w końcu będzie musiała pokazać go Adrianowi, ale egoistycznie jeszcze przez krótką chwilę chciała zachować go wyłącznie dla siebie. Może to ostatni sekret, jaki miała dzielić z Julianem?

Adrian siedział po drugiej stronie okrągłego stołu, a tuż przy nim Caroline. Sądząc po ciemnych kręgach pod oczami, oboje spali tej nocy niewiele dłużej niż Portia. Ich ponure miny uderzająco kontrastowały z jaskrawym, oślepiającym słońcem, odbijającym się od śniegu, wciąż leżącego na tarasie za przeszklonymi drzwiami. Od razu dała się zauważyć nieobecność małej Eloisy, która zwykle przy śniadaniu zabaawiła się rzucaniem w Wilbury'ego grudkami z owsianki. Larkin siedział przygarbiony naprzeciw Adriana. Fular miał do połowy rozwiązany, a jasnobrązowe włosy tak potargane, jakby przywiał go tu wiatr.

Lokaje, zwykle usługujący przy śniadaniu, gdzieś zniknęli, a talerze na eleganckim, orzechowym kredensie leżały nieużywane. Caroline w roztargnieniu mieszała dwuzębnym widelcem w jajku na miękko, ale nie zjadła jeszcze ani kawałka.

Portia zdumionym wzrokiem spojrzała na zebranych.

- Co się z wami wszystkimi dzieje? Wyglądacie, jakby ktoś umarł.

- Bo umarł - odrzekł sucho Larkin, odsuwając z czoła niesforny kosmyk włosów. - Dziś w nocy na Charing Cross

doszło do kolejnego morderstwa, jeszcze bardziej brutalnego niż poprzednie.

Portia po omacku chwyciła się oparcia krzesła. Żałowała, że w pobliżu nie ma żadnego lokaja, ponieważ ugięły się pod nią kolana.

Caroline uściśnięła rękę męża.

- To nie mógł być twój brat. Słyszałeś, co mówiła Portia. Obiecał, że opuści Londyn.

Adrian z ponurą miną potrząsnął głową.

- Być może ta wiadomość by mnie uspokoiła, gdybym miał pewność, że już wyjechał.

- Nie wyjechał - oznajmiła otwarcie Portia, kiedy zamilkł. Wszystkie oczy zwróciły się ku niej. - W nocy, kiedy spałam, przyszedł do mojej sypialni. Zostawił mi to. - Wyjęła z kieszeni kołek i rzuciła na stół. Czerwona wstążka rozwinęła się na białym, wykrochmalonym obrusie niczym zakrzepła strużka krwi.

Adrian patrzył na nią w milczeniu, tylko mięsień na policzku pulsował mu rytmicznie.

- Kochanie - szepnęła Caroline bezradnie i chciała mu położyć rękę na ramieniu.

Adrian jednak odsunął krzesło i szybko wstał od stołu. Ruszył ku drzwiom, ale zanim zdążył wyjść, Portia zagroziła mu drogę.

- Nawet nie próbuj! - ostrzegł ją, mierząc palcem w jej pierś. - Kocham cię, jakbyś była moją własną siostrą i nieba bym ci przychylił, gdyby to miało cię uszczęśliwić. Ale nie pozwolę, żebyś mi przeszkodziła w tym, co po prostu muszę zrobić.

- Wcale nie chcę ci przeszkadzać - odrzekła. Ogarnął ją

dziwny spokój, dzięki któremu już nic nie czuła. - Chcę ci pomóc.

- Jak? - zapytał ostrożnie.

- Zaoferuję mu coś, czemu nie będzie w stanie się oprzeć.

- A co to miałoby być?

Portia uśmiechnęła się uwodzicielsko i groźnie zarazem.

- Ja.



Rozdział
VI

Smugi mgły unosiły się nad wilgotnym brukiem. Wcześniej zimny deszcz zmył ostatni śnieg i ulice błyszcząły teraz w migocącym świetle latarni. Chmury nadal wisiąły nisko nad dachami i kominami miasta, tłumiąc światło księżyca i sprawiając, że noc doskonale nadawała się na polowanie.

Z mgły wynurzyły się trzy niewyraźnie postacie - kobieta w otoczeniu dwóch mężczyzn. Choć była drobnej budowy i jej towarzysze przerastali ją co najmniej o głowę, postronny obserwator odniósłby wrażenie, że jest ona najgroźniejsza z całej trójki. I miałyby rację.

Pod kapturem szarej peleryny błyszcząły determinacją jej ciemnoniebieskie oczy. Portia szła, wyzywająco kołyszając biodrami, a sposób trzymania głowy wskazywał na dużą pewność siebie i stanowczość. Zgodziła się odgrywać rolę ofiary, ale głupiec, który dałby się nabrać na tę przynętę, wiele by ryzykował.

Kiedy dotarli do dzielnicy nędzy, która zaczynała się zaraz za królewskimi stajniami, Adrian przyłożył palec do ust i gestem dał znać Portii i Larkinowi, żeby skrzyli w opuszczały zaułek. Przemykając w cieniu pod murem, przypominali tutejszych obwiesi i nicponi, którzy w takie mgliste

i ciemne noce kręcili się po ulicach w poszukiwaniu okazji do łatwego zarobku lub przygody.

Ten obszar biedy między Charing Cross i aleją The Mail stanowił doskonałe miejsce dla wszelkich złoczyńców, czy to wampirów, czy zwykłych śmiertelników. Kręte zaułki i wąskie uliczki, przy których stały rozpadające się rudery, nosiły myląco egzotyczne nazwy, takie jak Wyspy Karaibskie czy Bermudy. Niejedna nieszczęsna kobieta została zaciągnięta w jakieś ciemne, opustoszałe podwórko i już nigdy więcej jej nie widziano.

- Jesteś pewna, że dasz radę? - zapytał Adrian, z troską spoglądając na Portię.

- Sam zobaczysz - odrzekła, odpinając górną zapinkę peleryny tak, że zsunęła się jej z ramion.

Pod nią miała wieczorową suknię z aksamitu w kolorze krwi. Rozcięte rękawy i głęboki, kwadratowy dekolt bardziej pasowały do kurtyzany niż do szwagierki powszechnie szanowanego wicehrabiego. Portia ściągnęła usztywniany fiszbinami gorset sukni w dół, żeby jeszcze bardziej obnażyć swoje obfite, krągłe piersi.

Adrian natychmiast chciał podciągnąć jej suknię do góry ale wymierzyła mu zdecydowanego klapsa w rękę.

- Nie mogę uwierzyć, że dałem ci się na to namówi - rzekł z westchnieniem. - Musisz wiedzieć, że twoja siostra była temu zdecydowanie przeciwna. Urwie mi głowę, jeśli dopuszczę, żeby cokolwiek ci się stało.

- A Vivienne urwie mi... - zaczął Larkin, ale powstrzymało go znaczące kasznięcie Adriana. Larkin odchrząknął i dokończył: - Vivienne też urwie mi głowę.

Portia poprawiła spinki we włosach i z upiętego na czubku

głowy koka wyciągnęła kilka lśniących pasm, żeby luźno opadały jej na kark. Wiedziała, że nawet zwykły śmiertelnik łatwo ulega urokowi kobiety, która wygląda tak, jakby przed chwilą wyszła z łóżka.

Chociaż serce biło jej tak głośno, że chyba jej towarzysze mogli je słyszeć, siłą woli powstrzymała drżenie rąk.

- Nie musicie się o mnie bać jak dwie nerwowe kwoki. Od lat przygotowuję się do walki z wampirami. Wiedziałam, że kiedyś nadejdzie taki dzień jak dzisiaj.

- Ale pewnie nie przewidywałaś, że naszym celem będzie Julian - przypomniał jej cicho Adrian.

Portia zagryzła wargi, żeby nabrały żywszego koloru. Miała nadzieję, że zimny, styczniowy wiatr wywoła rumieńce na jej pobladłych policzkach.

- Musimy po prostu przestać myśleć o nim jako o Julianie, prawda? Zaczniemy go traktować jak bezwzględnego mordercę, bo właśnie nim się stał.

Obaj mężczyźni z niepokojem spojrzeli na siebie ponad jej głową, ale kiedy Larkin chciał coś powiedzieć, Adrian ostrzegawczo pokręcił głową. Po chwili wskazał na opuszczony magazyn w głębi ulicy.

- Będziemy naprzeciw. Jeśli sytuacja wyda nam się podejrzana, natychmiast przybiegniemy ci z pomocą.

Podszedł bliżej i otworzył ramiona, jakby chciał ją objąć, ale szybko się odsunęła. Miała wrażenie, że jej kości są równie kruche jak kości Wilbury'ego. Obawiała się, że gdyby ktoś teraz choćby klepnął ją w ramię, rozpadłaby się na kawałki.

- Wzięłaś wszystko, co potrzebne? - zapytał Adrian, chowając ręce do kieszeni płaszcza.

- Mam nadzieję - odrzekła, wyjmując znajomy drewniany kołek z ukrytej kieszeni, którą Vivienne wszyła jej między fałdy sukni. Zanim znów go schowała, zdjęła z niego czerwoną wstążkę i związała ją sobie na smukłej, nagiej szyi. Wiedziała, że dzięki temu stała się jeszcze bardziej kuszącą przynętą.

Larkin wysunął głowę z zaułka i rozejrzał się po opustoszałej ulicy. Wyjął z kieszeni mały pistolet i podał go Portii.

- Jeśli ktoś cię zaczepi, wystrzel w powietrze - powiedział.

- Albo w napastnika - wtrącił ponuro Adrian.

Skromnie odwrócili wzrok, kiedy podniosła skraj sukni i wsunęła broń za koronkową podwiązkę. Zadrżała, czując na nagiej skórze zimny dotyk metalu.

- Kiedy cię rozpozna, zaczniesz podejrzewać, że to zasadzka - ostrzegł ją Adrian.

- Wątpię - odparła. - Jest arogancki i pewny siebie, więc najprawdopodobniej pomyśli sobie, że przyszedłam go ostrzec przed wami.

Wyprostowała się, a twardy błysk w jej oczach świadczył, że jest gotowa. Adrian i Larkin skinęli głowami i podprowadzili ją do wylotu zaułka. Kiedy dotarli do ulicy, rozeszli się w dwie strony, jakby właśnie zakończyli schadzkę. Mężczyźni, rechocząc głośno i zataczając się, poszli w stronę jednego z podwórek, a Portia oddaliła się w przeciwnym kierunku, stąpając chwiejnie na wysokich obcasach, żeby robić wrażenie jeszcze bardziej bezbronnej.

Choć wiedziała, że za kilka minut Adrian i Larkin zawrócą, żeby niepostrzeżenie wślizgnąć się do magazynu po

drugiej stronie ulicy, to jednak nigdy w życiu nie czuła się tak bardzo samotna.

Przez ponad pięć długich lat pocieszała się myślą, że Julian tęskni za nią tak mocno, jak ona tęskniła za nim. Kiedy straciła wszelkie złudzenia na jego temat, noc znów stała się zimna i nieprzyjazna. Marzyła o tym, żeby otulić się ciasno peleryną, ale tylko zsunęła ją jeszcze niżej, obnażając ramię i uniosła głowę, żeby lepiej wyeksponować bezbronną, długą szyję.

Wolno szła przed siebie, nie chcąc się za bardzo oddalać od magazynu. Celowo wybrali to miejsce, ponieważ zaledwie o przecznice dalej znaleziono dwie z zamordowanych ostatnio kobiet. Podskoczyła, kiedy jakiś pijany marynarz wytoczył się z zaułka tuż przed nią. Jednak tylko zmierzył ją pijackim spojrzeniem, najwyraźniej bardziej zainteresowany znalezieniem gospody, gdzie mógłby wypić kolejną szklanekę dżinu.

Mgła zniekształcała każdy dźwięk i trudno było stwierdzić, czy echo śmiechu albo szelest ukradkowych kroków dobiega zza rogu czy zza pleców Portii. Po szyi spłynęła jej strużka lodowatego potu. Dziewczyna odwróciła się niespodziewanie. Ulica za nią była pusta. Najwyraźniej przstraszyła się dźwięku własnych kroków.

Kiwając z politowaniem głową, znów wolno ruszyła przed siebie. Ale zrobiła zaledwie kilka kroków i zatrzymała się jak wryta. W kręgu słabego światła ulicznej latarni, kilka metrów przed sobą, zobaczyła wysoką, zakapturzoną postać w czarnej pelerynie.

Portia wiedziała, że ma jeszcze czas, żeby zawołać o pomoc. Adrian i Larkin zdążyliby przybiec jej na ratunek. Lecz

jeśli zbyt wcześnie wszczęłaby alarm, Julian mógłby uciec. Uświadomiła sobie z przerażeniem, że wcale by jej to nie zmartwiło.

Wsunęła lodowatą dłoń do kieszeni spódnicy i zacisnęła palce na drewnianym kołku. Wiedziała, że zostawił go na jej poduszce nie jako pożegnalny podarunek, ale jako wyzwanie.

Zmusiła się, żeby zrobić kilka kroków naprzód. Postać pod latarnią stała, patrząc na nią... i czekając, tak nieruchoma, jakby nie musiała nawet oddychać. Już niemal zrównała się z przerażającym nieznanym, kiedy ten nagle zsunął z głowy kaptur... spod którego wyłoniła się kaskada piatynowozłotych włosów.

Portia odczuła tak wielką ulgę, że głośno westchnęła. To nie był mężczyzna, tylko kobieta. I to nie pierwsza lepsza. Dziewczyna doszła do wniosku, że dawno już nie widziała kogoś o tak oszałamiającej urodzie. Nie tylko wspaniałe, jasne włosy budziły zachwyt, ale też piękne, rubinowe usta i zielone oczy o hipnotyzującym spojrzeniu. Twarz miała pozbawioną nawet najmniejszych zmarszczek, przez co trudno było oszacować jej wiek. Na białych, szczupłych palcach skrzyły się drogie kamienie - błyszczący szmaragd, rubin w kształcie łyzy i opał wielkości małego jajka. Co też taka kobieta mogła robić w tej nędznej, niebezpiecznej dzielnicy? Mogła co prawda być rozpieszczaną kochanką jakiegoś arystokraty, ale tak niezwyklej piękności nie można było wziąć za pospolitą prostytutkę.

- Nie powinna pani przebywać w takim miejscu sama - ostrzegła ją Portia, zerkając za siebie. - Dzisiejszej nocy ta okolica nie jest bezpieczna.

- A czy kiedykolwiek jest bezpieczna? - odrzekła kobieta, spoglądając z góry na Portię.

W jej niskim głosie słyhać było lekkie rozbawienie i cień francuskiego akcentu.

- Pewnie nie - zgodziła się Portia. - Czy gdzieś w pobliżu czeka na panią woźnica z powozem?

- Nie potrzebuję powozu. - Kobieta rozejrzała się wokół, dając Portii możliwość podziwiania swojego nieskazitelnego profilu. - Czekam na kochanka.

Portia zamrugała powiekami, zaskoczona zarówno otwartością kobiety, jak i jej władcym sposobem bycia.

- Jest bardzo późno - powiedziała ostrożnie. - Jest pani pewna, że się zjawi?

Pełne, czerwone usta rozciągnęły się w uśmiechu.

- Och, jasne, że się zjawi. Nie mam co do tego wątpliwości.

Portia nie mogła oderwać wzroku od jej hipnotyzujących, kocich oczu. Czuła się trochę jak kobra, zwinięta w koszu zaklinacza węży. Gdyby kobieta zaczęła się kołysać, Portia niechybnie zaczęłaby naśladować jej ruchy.

- A co taka niewinna turkaweczka jak ty robi na ulicy o tej porze? - zapytała tajemnicza nieznajoma. - Też czekasz na kochanka?

Portia zeszywniała.

- Obawiam się, że nie. Mój ko... - Wypowiedzenie tego słowa przyszło jej z trudem. - Mój kochanek mnie zdradził. Okazało się, że mnie okłamywał.

Ku zaskoczeniu Portii kobieta wyciągnęła alabastrowobiałą dłoń o szkarłatnych paznokciach i pogładziła ją po policzku.

- Biedna mała turkaweczka - rzekła pieszczotliwie.
- Kiedyś i mnie kochanek złamał serce. Ból był straszliwy.
Pragnęłam wtedy śmierci.

Udręczone serce Portii wezbrało współczuciem.

- Naprawdę chciała pani śmierci?

Oczy kobiety rozszerzyły się ze zdumienia.

- Ależ nie własnej śmierci, moja mała. Jego. Od razu lepiej się poczułam, kiedy wyrwałam mu serce z piersi i zjadłam je.

Portia ze zdumienia rozchyliła usta, ale zanim zdążyła krzyknąć, kobieta chwyciła ją za gardło. Gwałtownie uniosła ją do góry, tak że drewniany kołek wypadł z zeszywniałej dłoni dziewczyny i potoczył się po ulicy.

Rubinowe usta kobiety rozchyliły się, ukazując parę błyszczących, białych kłów.

- Jeśli mi pozwolisz, moja droga, to skrócę również twoje cierpienia.

- Przyrzekłeś, że wkrótce wyjedziemy z Londynu - wymamrotał Cuthbert. Przykucnął tuż obok Juliana i posłał mu oskarżycielskie spojrzenie. - Zapukałeś do mojego okna w środku nocy i powiedziałeś: Przestań gnść w swoim ciepłym łóżku i jedź ze mną, Cubby. Jeśli weźmiesz ze sobą garść klejnotów ojca, spędzimy resztę zimy, grzejąc się w słońcu na plażach południowej Hiszpanii w towarzystwie jakiejś słodkiej baletnicy. - Nasunął na zaróżowione od zimna uszy kapelusz z bobrowego futra i nieufnie rozejrzał się po mrocznym wnętrzu opuszczonego magazynu. - Tymczasem zaciągnąłeś mnie do tej zakazanej dzielnicy, gdzie w każdej chwili jakiś bandyta może mi ukraść sakiewkę albo, co gorsza, poderżnąć gardło.

- Jeśli nie przestaniesz jęczeć, osobiście utnę ci język
- zagroził roztargniony Julian, wyglądając przez dziurę
w wybitym oknie.

Cuthbert zamknął usta, ale co chwila posapywał gniewnie.
Julian westchnął i odwrócił się ku niemu.

- Mówiłem ci, że mam w Londynie jeszcze jeden niedo-
kończony interes. Przysięgam, że jak tylko go załatwię,
znajdę ci tę słoneczną plażę i cholerną baletnicę.

- Twoje niedokończone interesy zwykle polegają na dys-
kretnej wyprawie do sypialni jakiejś damy, w celu zwrócenia
jej zapomnianej części bielizny, zanim jej mąż wróci do
domu. A dzisiaj pół nocy siedzimy skuleni w jakiejś norze na
Charing Cross, odmrażając sobie tyłki. - Wyrzął na ulicę,
wychylając się tak mocno, że Julian musiał go chwycić za
poły płaszcza, żeby nie wyleciał przez okno na bruk. - Cho-
dzi o Wallingforda? Czy ten łajdak znów coś knuje? Znalaz-
łeś na niego jakiś haczyk i szantażem zmusisz go do znisz-
czenia weksli?

- Tutaj chodzi o inny dług. - Julian przywołał wspo-
mnienie Portii śpiącej słodko w swojej sypialni. Tyle że
w jego wizji dziewczyna otwierała oczy i zapraszająco wy-
ciągała do niego ramiona. - Nie wyjadę z Londynu, zanim go
nie spłacę.

- Mam nadzieję, że ten niezwykły u ciebie atak skrupu-
łów nie okaże się fatalny w skutkach. Dla żadnego z nas.
- Cuthbert znów przysiadł na piętach. - Co, u diabła, robiłeś
od ostatniej nocy, kiedy to zaprowadziłeś mnie do domu
mojego ojca? Sądząc po twoim popisie w gospodzie, chyba
nie poszedłeś jeść? Jeszcze nie widziałem, żeby ktoś zjadł za
jednym posiedzeniem pięć półsurowych befsztyków. - Po-

trzasnął głową z niechętnym podziwem. - Ale muszę przyznać, że ten posiłek poprawił twój wygląd. Przedtem byłeś jakiś blady.

Julian niewyraźnie wymamrotał coś pod nosem. Nadal był tak głodny, że nawet gruby kark Cubby'ego zaczął wydawać mu się kuszący.

- Kiedy dotrzemy do Madrytu, to może...

- Ciii! - Julian ostrzegawczo unióś rękę, kiedy jakaś postać wyszła chwiejnie z jednego z zaułków.

Był to jednak tylko pijany marynarz, szukający następnej tawerny. Gdzieś w oddali dzwony kościelne zaczęły wybijać północ. Ich czyste, wysokie tony zupełnie nie pasowały do tej niebezpiecznej części miasta, gdzie smugi mgły unoszące się nad brukiem przypominały opary siarki. Julian zmrużył oczy, kiedy następna postać wyłoniła się z mgły, która już zdążyła pochłonać marynarza.

- To kobieta - stwierdził Cuthbert.

- Widzę - syknął Julian. Nerwy miał napięte do granic wytrzymałości.

Kobieta w pelerynie szła wolno ulicą, jakby poruszała się bez żadnego celu. Julian mógłby pomyśleć, że jest pijana, ale nie zataczała się ani nie potykała. Gdyby to była jakaś ulicznica szukająca zarobku, na pewno zaczęłyby marynarza i skusiła na krótką chwilę przyjemności gdzieś w zaułku lub bramie domu.

Czuł, że jego napięte nerwy nieco się rozluźniają, kiedy kobieta podeszła bliżej i spostrzegł, że nie jest wysoka i szczupła, ale niska i nie pozbawiona kobiecych krągłości. Jednak ulgę szybko zastąpiło o wiele mniej przyjemne uczucie. Było coś niepokojąco znajomego w prowokacyjnym i

ruchu bioder, błyszczących, ciemnych lokach upiętych na czubku głowy, w wyzywająco uniesionej głowie.

- Co, u diabła... - wymamrotał pod nosem.

Zamrugnął gwałtownie, w nadziei, że to tylko głód i zmęczenie rozbudziły jego wyobraźnię i sprowadziły wizję Portii Cabot, krążącej w środku nocy po zakazanych ulicach dzielnicy Charing Cross.

Choć wokół stały rozpadające się rudery, Portia szła tak, jakby spacerowała po Hyde Parku w słoneczne, niedzielne popołudnie. Peleryna zsunęła się na bok, odsłaniając jasne ramię, przez co dziewczyna wyglądała jeszcze bardziej bezbronne. Kiedy Julian, dzięki swojemu nadnaturalnie ostremu wzrokowi, dostrzegł na jej kremowej szyi czerwoną wstążkę, poczuł, że z przejścia zaschło mu w ustach.

- Ta młoda kobieta nie powinna się tu włóczyć o tej porze - stwierdził szeptem Cubby. - Czy nie powinniśmy interweniować?

Julian o niczym innym nie marzył. Chciał jednym skokiem znaleźć się na ulicy i potrząsnąć Portią tak mocno, żeby wreszcie nabrała rozumu. Najwyraźniej jego bratu to się nie udało. Jednak instynkt samozachowawczy nakazał mu się powstrzymać. Sprzeciwiła się woli Adriana i wystawiła na niebezpieczeństwo zarówno swoje życie, jak i reputację, żeby odnaleźć go w szulerni. Ale jeśli zbyt dobrze odegrał rolę złoczyńcy? Jeśli zmieniła co do niego zdanie? Brat nie mógłby wymyślić bardziej kuszącej przynęty, żeby wywabić go z ukrycia.

Cuthbert wskazał na latarnię stojącą na rogu ulicy.

- Chyba nie ma się o co martwić. Najwyraźniej z kimś się tu umówiła.

Jakaś postać zjawiła się na ulicy nie wiadomo skąd. Był to ktoś tak szczupły i wiotki, że zdawał się unosić w powietrzu. Ktoś, kto właśnie zsunął z głowy kaptur, ukazując alabastrową niczym u anioła cerę i kaskadę srebrnoblond włosów.

Julian poczuł, że krew w żyłach mu lodowacieje.

- Dobrzy Boże - wyszeptał, wymieniając imię, którego już nie miał prawa używać.

Wyprostował się szybko.

- Gdzie idziesz? - zapytał nerwowo Cuthbert. - Chyba nie chcesz mnie tu zostawić samego?

Julian chwycił towarzysza za ramiona i bez wysiłku poderwał do góry.

- Jesteś mi potrzebny, Cubby. Nie prosiłbym cię, żebyś mi dzisiaj towarzyszył, gdybym mógł sam to zrobić. Ale bałem się, że ktoś chce wciągnąć mnie w pułapkę. Chcę, żebyś robił to, co tak dobrze ci wychodzi. Chcę, żebyś mnie ochraniał.

Zaciągnął Cuthberta tam, gdzie z belki zwisały na linach dwa worki z piachem. Znajdowały się dokładnie nad drewnianymi drzwiami, stanowiącymi główne wejście do magazynu. Wcześniej tego samego dnia Julian zaczepił liny podtrzymujące worki o wbity w ścianę hak.

- Jeśli ktokolwiek oprócz mnie zechce przejść przez te drzwi, masz poluzować liny tak, żeby spadły na niego te worki. Zrozumiałeś?

Cuthbert w milczeniu skinał głową. Gardło miał tak ściśnięte ze strachu, że nie mógł wydusić z siebie ani słowa.

- Porządny z ciebie facet. - Julian klepnął go w ramię.

Potem odszedł, poruszając się niezwykle szybko. Cuthbert mógłby przysiąc, że jego stopy nawet nie dotykały szczebli

drabiny, po której uprzednio wspięli się na górny poziom magazynu. Zanim jednak zdążył się zdziwić tym widokiem, z ulicy dobiegł go cichy krzyk, natychmiast stłumiony. Rzucił się do okna, ale w tej samej chwili usłyszał krzyk jakiegoś mężczyzny i tupot kroków.

Pamiętając o zadaniu, jakie powierzył mu Julian, podbiegł do haka, do którego przymocowano linę. Przechylił głowę na bok i zmarszczył czoło. Kroki zbliżały się z niewłaściwej strony. Nie nadchodziły z ulicy, ale z niższego poziomu magazynu. Zdał sobie sprawę, że cały czas dzielili kryjówkę z kimś jeszcze, i oblał go zimny pot. Ten ktoś właśnie biegł do drzwi, których pilnowanie zlecił mu Julian.

Sięgnął po linę, ale zawahał się, rozdierany niepewnością. Czyż Julian nie kazał mu spuścić worków na każdego, kto spróbuje przejść przez drzwi? Nie określił, czy chodzi o wchodzących, czy wychodzących. Kroki zbliżały się coraz bardziej. Za kilka sekund ktoś stanie w drzwiach.

Nie dając sobie czasu do dalszego namysłu, Cuthbert zdecydowanym ruchem pociągnął za linę, odczepiając ją z haka. Worki bezwładnie spadły na dół.

Usłyszał dwa głucho uderzenia, stłumione jęki, a potem martwą ciszę.

Cuthbert skrzywił się ze współczuciem i spojrzął w dół. W słabym świetle ledwie mógł dostrzec dwie postacie, rozciągnięte na ziemi. Uderzenie nie było na tyle mocne, żeby ich zabić, ale Cuthbert miał pewność, że ci dwaj przez dłuższy czas nie będą w stanie sprawić kłopotu Julianowi - ani nikomu innemu. Uśmiechnął się do siebie i otrząpął dłonie, bardzo zadowolony, że udało mu się powalić dwóch takich olbrzymów bez pomocy Juliana.

Portia zasługiwała na pożarcie.

Uwierzyła, że Julian jest mordercą i potworem, a teraz wystawiła się na łaskę i niełaskę krwiożerczej wiedźmy, którą nawet z odległości dwudziestu kroków powinna rozpoznać jako wampira. Kiedy tak zwisała bezradna w śmiercionośnym uścisku tej istoty, ze zdziwieniem stwierdziła, że w tych ostatnich chwilach swojego życia nie czuje strachu, choć powinna, a głęboki wstyd z powodu własnej nieporadności i słodko-gorzka ulgę, że tak błędnie osądziła Juliana.

Czubkami butów usiłowała dotknąć mokrego bruku. Kobieta owinęła sobie wokół jednej ręki pukiel jej włosów i brutalnie szarpnęła, przechylając głowę Portii na bok.

Kiedy wsunęła palec pod wstążkę zawiązaną na jej szyi, żeby ją zerwać i ułatwić sobie dostęp to miękkiego, bezbronnego ciała, Portia zacisnęła powieki. Zastanawiała się, czy Julian będzie tęsknił za „pięknooką”, kiedy te oczy zgasną na zawsze.

Czekała na bezlitosne, śmiercionośne ugryzienie, na przeszywający, ostry ból, który pogrąży cały świat w czerwieni. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Otworzyła oczy. Kobieta nadal trzymała palec pod czerwoną wstążką. Kły lśniły zaledwie kilka centymetrów od szyi Portii. Ale w oczach nie było już drapieżnego głodu. Wampirzyca wpatrywała się w coś ponad prawym ramieniem swojej ofiary.

Portia wykorzystała jej nieuwagę i odwróciła się w bok. Chociaż silna dłoń nadal trzymała ją za gardło, to uścisk nieco zelżał.

Jakiś człowiek szedł ku nim ulicą. Portia szybko poznała, że nie jest to przypadkowy przechodzień, i w jej sercu rozbłysła iskra nadziei.

Julian wolno wyłonił się z mgły, jakby wcale mu się nie spieszyło. Poruszał się leniwie, z gracją. W miękkim świetle latarni, podkreślających urodę jego twarzy, z ciemną grzywą włosów rozwiewaną wiatrem, wyglądał jak upadły anioł, strącony z nieba za popełnienie grzechu, któremu nie mógł się oprzeć. Jeszcze nigdy nie wyglądał tak groźnie - ani tak pięknie - jak w tej chwili. Portia stłumiła szloch ulgi i bezwładnie opadła na pierś swojej oprawczyni.

- Witaj, najdroższa - odezwał się Julian miękkim, aksamitnym głosem, stając tuż przy nich.

Portia już otworzyła usta, żeby coś odpowiedzieć, ale zanim zdążyła to zrobić, wampirzyca zamruczała zmysłowo:

- Witaj, kochanie. Przyszedłeś w samą porę. Czas na małą przekąskę.



Chociaż Portia nadal miała otwarte usta, nie była w stanie wydusić ani słowa, nawet gdyby od tego zależało jej życie.

Julian zmierzył ją pogardliwym wzrokiem.

- To rzeczywiście mała przekąska. Tak mała, że nie warto sobie zawracać nią głowy. Na twoim miejscu wrzuciłbym ją do Tamizy.

- Miałam nadzieję, że ją zatrzymamy. - Portia wzdrygnęła się, kiedy wampirzyca pieszczotliwie polizała ją w policzek. - Jest całkiem miłutka, a ja zawsze chciałam mieć kotka.

Julian roześmiał się okrutnym śmiechem, jakiego nigdy jeszcze u niego nie słyszała.

- Dlaczego chcesz ją zatrzymać, Valentine? Żeby ją utopić w wiadrze, kiedy już ci się znudzi?

Valentine.

Portii wydało się niesprawiedliwe, że takie piękne imię należy do tak okrutnej, krwiożerczej istoty.

- Bardzo przepraszam - wychrypiała przez obolałe gardło. - Nie chciałabym przerywać tego wzruszającego spotkania, ale czy słusznie mi się wydaje...

- Cisza! - syknął Julian.

Portia drgnęła zaskoczona. W jego oczach nie widziała j

ciepłego błysku, który zawsze pojawiał się, kiedy Julian na nią patrzył. Teraz spoglądał chłodno i obojętnie. Zaciśnęła mocno wargi, żeby powstrzymać ich drżenie, i odpowiedziała mu wyzywającym spojrzeniem.

- Zawsze wiedziałam, że do mnie wrócisz - oznajmiła Valentine. W jej głosie wyraźnie było słychać triumfalną, pełną samozadowolenia nutę.

- Że wrócę? - parsknął Julian. - Przecież to ty uganiaasz się za mną po całym świecie.

- Ponieważ od początku wiedziałam, że kiedyś wreszcie odzyskasz rozum i zrozumiesz, że jesteśmy sobie przeznaczeni.

Portia poczuła, że coś ją ściska w żołądku. Nieraz wyobrażała sobie, że to ona zwraca się do Juliana dokładnie tymi samymi słowami, na dodatek wtulona w jego ramiona i spoglądając mu głęboko w oczy.

- No i zdaje się, że ten dzień wreszcie nadszedł. - Znów spojrział na Portię z niechęcią. - Może więc wypuścisz tego kociaka, żebyśmy mogli zostać sami?

- Miałabym stracić taki smakowity kasek? Pomyślałam sobie, że oboje się nią nacieszymy, żeby uczcić początek naszego nowego związku.

Portia zagryzła z bólu zęby, kiedy Valentine przesunęła krwistoczerwonym paznokciem po jej szyi, zostawiając na niej płytką ryse.

- Nie! - warknął Julian. Na chwilę obudziła się w niej nadzieja, ale on zaraz wykrzywił usta w grymasie rozdrażnienia i powiedział: - Dzisiaj nie mam ochoty niczym się dzielić. Jeśli mam się nacieszyć tą dziewczyną, to chcę ją całą dla siebie. Możesz mi ją dać w prezencie.

Valentine wyglądała na szczerze zdziwioną.

- Ależ kochanie, przecież zawsze jesteś taki wybredny, kiedy chodzi o pożywanie się ludźmi. Czyżby nagle stwardniało ci serce?

- Jak mogło mu stwardnieć coś, czego nie ma? - wymamrotała Portia, znów próbując się wyrwać z żelaznego uścisku kobiety.

Wampirzyca wzruszyła ramionami.

- A więc dobrze. Jeśli ją chcesz, jest twoja. Ale pod warunkiem, że pozwolisz mi patrzeć.

Brutalnie pchnęła Portię prosto w ramiona Juliana, podobnie jak wiele lat temu Duvalier w krypcie. Wtedy jednak Portia nie wiedziała, że Julian jest wampirem i cała drżąc, przytuliła się do niego jak do wybawiciela.

Objął ją i przyciągnął do siebie. Jego ciało płonęło od niezwykłej gorączki, którą teraz potrafiła rozpoznać jako głód. Pragnął jej.

Wzdrygnęła się, czując, że jej zdradliwe ciało zareagowało przychylnie na jego bliskość. Zaczęła się wyrwać, wierzgając i wymierzając mu ciosy pięściami, aż musiał wykręcić jej ręce i unieruchomić na plecach. Choć jego uścisk nie był na tyle silny, żeby pozostawić na jej ciele sińce, to jednak czuła, że nie ma w nim litości. Była niczym bezradna mucha, szamocząca się w lepkiej pajęczynie.

- Możesz się wyrwać, ile tylko chcesz - zamruczał. Uwodzicielski ton jego głosu wydał jej się jeszcze bardziej okrutny niż brutalność Valentine. - Tym słodsze będzie twoje poddanie.

Portia oparła się o niego bezwładnie, sparaliżowana lękiem. Co będzie, jeśli mu ulegnie? Jeśli w chwili, kiedy

wgryzie się w jej ciało i weźmie ją sobie na własność, będzie czuła nie rozpacz, ale uniesienie?

Spod opuszczonych powiek nie było widać jego oczu. Pochylił się nad nią. Już widziała ostre czubki jego kłów. Ciepłymi wargami musnął jej szyję niczym czuły kochanek, a nie potwór. Portia czuła, że jej opór słabnie z każdą chwilą, pozostawiając jedynie pożądanie i wstyd. Jeśli miała zginąć, to dla czego nie z jego ręki, w jego ramionach?

Jego rozchylone usta zawisły tuż nad pulsującą za jej uchem żyłką, a szept brzmiał tak cicho, jak najłżejszy szelest.

- Może będę musiał lekko dotknąć cię zębami, Piękno-oka, ale kiedy cię odepchnę, uciekaj, ile masz sił w nogach.

Przez chwilę miała wrażenie, że te słowa to tylko wytwór jej wyobraźni. Na dodatek Julian niemal w tej samej chwili brutalnie zerwał z jej szyi wstążkę, wystawił kły i pochylił się nad nią drapieźnie.

- Czekaaj! - Ostry krzyk Valentine sprawił, że oboje zamarli w bezruchu.

Tym razem Portia wyraźnie usłyszała krótkie, dosadne przekleństwo, które wyrwało się Julianowi.

Wyrwała rękę z jego uścisku, który nagle zelżał, i odwróciła się twarzą do Valentine. Kobieta wycelowała w jej szyję czerwonym paznokciem.

- Co to jest? - zapytała gwałtownie.

Portia zakryła ręką bliznę, choć wiedziała, że jest już za Późno. Wampirzyca spojrzała na nią oskarżycielsko.

- A więc już kiedyś zaznałaś pocałunku wampira, tak?

- Być może już kiedyś tego zaznała - warknął Julian.

~ Ale zapewniam cię, że dziś to będzie dla niej ostatni raz.

- Żeby groźba zabrzmiała jeszcze poważniej, chwycił Portię za włosy i szorstko pociągnął.

- Auu! - krzyknęła, rzucając mu przez ramię gniewne spojrzenie.

Valentine wolnym krokiem zaczęła krążyć wokół nich, powiewając połamami peleryny niczym trenem królewskiej szaty. Nie odrywała wzroku od twarzy Portii.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że nie po raz pierwszy spotykasz wampiry?

- Nie dałaś mi na to szansy. Od razu chciałaś mi rozerwać zębami gardło - odparowała Portia. Opuściła dłoń, śmiało ukazując naga szyję i jaśniejącą na niej bliznę.

Hipnotyzujące, zielone oczy wampirzycy zwięziły się.

- A więc to kociątko ma pazury. Julianie, uważaj, żeby ci nie wydrapała oczu.

Julian nie odrywał wzroku od Valentine, czujnie śledząc każdy jej ruch.

Portia odruchowo przywarła do niego, kiedy kobieta wyciągnęła dłoń i lekko, niemal czule przesunęła czubkami palców po jej bliznach.

- Kto cię tak oznakował? Kto jest twoim panem, moje kociątko.

Portia na tę noc miała już dość zastraszania i upokarzania przez wampiry, więc śmiało odtrąciła rękę wampirzycy.

- Nie mam pana i nie jestem żadnym kociątkiem. Nazywam się Portia, ale tacy jak wy mają się do mnie zwracać „panno Cabot”.

Oczy Valentine rozszerzyły się ze zdziwienia.

- Portia? - wypowiedziała to imię jak najobrzydliwsze przekleństwo. - Ty jesteś Portia?

Julian jęknął i wymamrotał z rezygnacją:

- Szkoda, że cię nie zjadłem, kiedy miałem do tego okazję.

Portia zignorowała jego słowa, całą uwagę skupiwszy na Valentine.

- Skąd pani mnie zna?

Wampirzyca z teatralnym gestem wyrzuciła ramiona w górę.

- Jak mogłabym cię nie znać, skoro Julian stale powtarza twoje imię przez sen.

- Przestań, Valentine - ostrzegawczo rzucił Julian. - Nic na tym nie zyskasz.

Kobieta mówiła dalej, jakby w ogóle go nie słyszała.

- Kochana Portia. - Jej usta wykrzywiły się z niesmakiem. - Słodka Portia. Droga Portia. Raz, kiedy się ze mną kochał, zapomniał, jak się nazywam, ale twoje imię pamiętał doskonale.

Oszołomiona Portia patrzyła na nią w milczeniu, a potem odwróciła się do Juliana. Nie wiedziała, czy ma większą ochotę pocałować go czy kopnąć.

- Wypowiedziałeś moje imię, kiedy się z nią kochałeś? Jego twarz przybrała twardy, surowy wyraz.

- Zapewne coś źle zrozumiała. Od dawna wcale o tobie nie myślę, a nigdy nie byłeś dla mnie niczym więcej niż zadurzonym dzieciakiem.

Valentine prychnęła z niedowierzaniem.

Chociaż Portia powinna czuć się urażona tymi okrutnymi słowami, odwróciła się i spojrzała prosto w jego błyszczące oczy.

- Czy to dlatego wyjechałeś na tak długo? Nie mogłeś

znieść mojego widoku? Dźwięku mojego głosu? - pytała cicho. - Mojego zapachu?

Na chwilę przymknął oczy, a nozdrza rozszerzyły mu się bezwiednie.

- Trzymałem się od ciebie z daleka, bo nie mogłem znieść twojej natrętnej adoracji. Byłaś taka nudna.

- Świetnie - radośnie odezwała się Valentine za plecami Portii. - W takim razie nie będziesz miał nic przeciwko temu, że tak, jak planowałam, wgrzęzę się w jej szyję, prawda?

Zanim Portia zdążyła zareagować na groźbę wampirzycy, Julian objął ją i przyciągnął do siebie. Przytulił ją do szerokiej piersi i zasłonił ramionami.

- Radziłbym ci trzymać kły i pazury schowane.

- Bo co? - zamruczała kobieta. - Przebijesz mnie kołkiem? Oblejesz oliwą i podpalisz? Utniesz mi głowę i nafaszujesz ją czosnkiem?

- Nie kuś mnie - syknął.

Wydęła czerwone wydatne usta w zalotnym grymasie.

- Nie powinienesz rzucać takich groźnych słów na wiatr, drogi chłopcze. Oboje wiemy, że nic takiego nie zrobisz.

- Ironicznie spoglądała to na Juliana, to na Portię. - Być może ty zdobyłaś jego serce, kociątko, ale ja mam jego duszę. I to na zawsze.



Julianowi zdarzało się w życiu stawiać czoło najróżniejszym przeciwnikom - krwiożerczym wampirom, zapamiętałym w walce żołnierzom, rozwścieczonym mężom - którzy za wszelką cenę starali się położyć kres jego nędznej egzystencji. Jednak nigdy jeszcze nie ogarnął go taki lęk, jak w chwili, kiedy Portia spokojnie uwolniła się z jego objęć i odwróciła ku niemu. Choć nawet na obcasach sięgała mu zaledwie do podbródka, mimowolnie cofnął się o krok.

Oczy miała jasne i świetliste, wyraz twarzy przyjazny. Wiedział jednak, że gdyby w tej chwili trzymała w ręku kołek, z niego pozostałaby już tylko kupka pyłu u jej stóp.

- A więc wyjechałeś, żeby odnaleźć swoją duszę, a znalazłeś ją.

Chociaż nie było to pytanie, z wolna skinął głową.

- Na sześć lat zostawiłeś bez żadnych wieści wszystkich, którzy cię kochali i martwili się o ciebie. Kiedy my modliliśmy się po nocach o twój bezpieczny powrót, ty używałaś sobie w łóżku wampirzycy, posiadającej tę jedyną rzecz, która jest w stanie przywrócić ci człowieczeństwo.

- Kiedy wyruszyłem na poszukiwania wampira, który stworzył Duvaliera, ostatnią rzeczą, jaką spodziewałem się znaleźć, była kobieta.

- Zwłaszcza tak piękna kobieta, prawda? Gdyby posiadzką twojej duszy okazała się jakaś krzywonoga stara jędza z owłosioną brodawką na brodzie, na pewno bez skrupułów przegryzłbyś jej gardło, żeby odzyskać swoją własność.

Valentine spojrział na niego czule i westchnęła.

- Jeśli chodzi o kobiety, mój Julian zachowuje się jak prawdziwy dżentelmen. Zawsze się obawiałam, że doprowadzi go to do zguby.

- Chociaż raz prawdopodobnie ma pani rację - odrzekła Portia cicho, nie odrywając wzroku od twarzy Juliana.

- A więc po co tu dzisiaj przyszedłeś? Na umówione spotkanie ze swoją kochanką? Czy po to, żeby ją unicestwić i odzyskać duszę, a potem wrócić do domu, do nas? - Uniosła głowę i przełykając resztę dumy, dodała: - Do mnie?

Postanowił wyznać jej prawdę. Chociaż tyle mógł dla niej zrobić.

- Chciałem, żeby ustały te morderstwa. Przyszedłem tu, aby jej powiedzieć, że opuszczam Londyn. Wiedziałem, że pojedzie za mną, czy tego pragnę, czy nie.

Oczy Portii gwałtownie pociemniały z żalu, a on poczuł nagłe ukłucie bólu. Ponieważ nigdy świadomie nie starał się wzbudzić w niej uczucia, nie spodziewał się, że jego wyjazd tak ją zasmuci. Po raz pierwszy od długiego czasu poczuł się jak prawdziwy potwór.

- Od początku podejrzewałeś, że to ona jest morderczynią, prawda? A jednak pozwoliłeś mi wierzyć, że to możesz być ty. Dlaczego tak postąpiłeś? Żeby ją chronić?

- Żeby chronić ciebie. Miałem nadzieję, że jeśli uwierzysz w coś tak strasznego, łatwiej ci będzie pozwolić mi odejść.

Na twarzy Portii odbiły się najróżniejsze uczucia. W końcu skinęła głową.

- Miałeś rację. Jeśli o mnie chodzi, to ty i twoja wynaturzona kochanka możecie iść prosto do diabła.

Valentine radośnie klasnęła w dłonie.

- Najdroższy, ona nam daje swoje błogosławieństwo! Czyż to nie jest słodkie?

Portia z niesmakiem potrząsnęła głową i ruszyła w głąb uliczki, lekko się chwiejąc na nadłamanym obcasie.

Julian stłumił w sobie irracjonalny gniew. Poruszając się szybko jak błyskawica, zastąpił jej drogę. Nie mogła ukryć zaskoczenia, kiedy nagle zobaczyła go tuż przed sobą.

- Obawiam się, że nie mogę pozwolić ci odejść.

- Już to zrobiłeś. - W jej oczach zbierały się łzy. - Radzę ci więc, żebyś zabrał swoją drogą Valentine i uciekł z Londynu, zanim Adrian przeszyje jej skamieniałe serce bełtem z kuszy i jakaś inna krwiożercza piękność odziedziczy twoją nieszczęsną duszę. Mam nadzieję, że będziecie żyli długo i szczęśliwie. Och, wybacz dobór słów?

Wyminęła go zrećnie, ale zanim zdążyła się oddalić, znów zastąpił jej drogę. Zdesperowany, chwycił ją za ramię.

- Proszę, Pięknooka. Musisz mnie wysłuchać.

Zanim zdążył zareagować, uniosła skraj spódnicy, pod którą ukazały się kuszące koronki halki i jedwab pończochy. Szybkim ruchem wyjęła pistolet zza podwiązki i wycelowała prosto w jego serce. Zdecydowanie odciągnęła kciukiem kurek.

- Nigdy więcej tak mnie nie nazywaj!

Julian przewrócił oczami.

- Portia, na litość boską, odłóż to! Przecież nie będziesz do mnie strzelać.

- Czyżby? - Ze słodkim uśmiechem pociągnęła za spust.

Julian zachwiał się i zrobił krok do tyłu. Odgłos wystrzału dzwonił mu w uszach. Zaciskając z bólu zęby, z pełnym niedowierzania zdumieniem spojrzął na swoją pierś. Rana już zaczynała się zablźniać, jej poszarpane brzegi schodziły się i zarastały, ale nic już nie mogło pomóc jego drogiej, jedwabnej kamizelce, na której czerniła się wyrwana przez kulę dziura.

Odzyskawszy równowagę, przeniósł zdziwiony wzrok na Portię.

- Co innego grozić komuś, że mu się przebijie serce kołkiem, a co innego zniszczyć taką piękną kamizelkę. Postąpiłaś bardzo nieładnie!

- Możesz mi przysłać rachunek od krawca. - Dmuchnęła na lufę pistoletu, schowała go za podwiązkę, a potem wskazała na Valentine, która od początku przyglądała się tej scenie ze źle skrywanym zadowoleniem. - A może poproś, żeby ta Księżna Ciemności zacerowała ci kamizelkę za pomocą zębów.

Choć nadal obolały, Julian warknął na nią wściekle, a kły instynktownie mu się wydłużyły. Tym razem Portia nawet nie drgnęła. Jej niebieskie, błyszczące oczy patrzyły na niego śmiało i wyzywająco.

- Julian! Odsuń się od niej!

Oboje odwrócili się jednocześnie, słysząc w ciemnościach nocy donośny, rozkazujący głos Adriana. Łowca wampirów wyłonił się z mgły i podążył ku nim, nie spuszczać oczu z brata. W silnych dłoniach trzymał dużą kuszę z bełtem gotowym do strzału. Od ostatniego razu, kiedy obaj bracia spotkali się twarzą w twarz, nie zmienił się ani trochę,

z wyjątkiem tego, że w jego miodowozłotej czuprynie pojawiło się kilka siwych włosów. Ręce pewnie trzymały broń, a niebieskozielone oczy spoglądały tak samo bystro, jak wtedy, gdy jako chłopcy bawili się w rycerzy i żołnierzy.

Niczym cień pojawił się za nim Alastair Larkin z błyszczącym, świeżutkim guzem na czole, ciągnąc za wykrochmalony kołnierz wystraszonego Cuthberta.

- Próbowałem ich powstrzymać, Jules - wyrzucił z siebie Cubby. - Zrzuciłem im na głowy worki z piaskiem! Stracili przytomność, ale się ocknęli, zanim zdążyłem ich skrepować. Zawsze mówiłeś, że nie potrafisz zawiązać fularu na przyzwoity węzeł. Oni chyba uciekli z jakiegoś szpitala dla wariatów. Ciągłe opowiadają jakieś bzdury o potworach i wampirach. Kiedy usłyszałem wystrzał, przestraszyłem się, że stało się jakieś nieszczęście i...

Larkin potrząsnął nim mocno, więc Cuthbert zamilkł wystraszony.

Julian bez zmrużenia oka stanął twarzą w twarz z bratem. Nocny wiatr rozwiewał mu włosy. Od dnia, w którym Duvalier ukradł mu duszę i zamienił go w wampira, wiedział, że ta chwila kiedyś nadejdzie. Może Portia miała rację. Może wrócił do Londynu, ponieważ wiedział, że nie ma sensu dłużej odwlekać tego, co nieuchronne.

Był pewien, że dziewczyna odbiegnie na bok, czyniąc z niego łatwiejszy cel dla Adriana. Ku jego wielkiemu zaskoczeniu, stanęła przed nim, zasłaniając go własnym ciałem.

- To nie on zamordował te kobiety. Ona to zrobiła. To ona... - Odwróciła się, żeby oskarżycielsko wskazać winowajczynię palcem i zamilkła w pół zdania.

W kręgu światła pod latarnią nie zobaczyła nikogo. Valentine zniknęła tak szybko, jak się pojawiła.

Zdziwiona zamrużyła powiekami, ale Juliana ucieczka wampirzycy wcale nie zdziwiła. Valentine nie przetrwałaby ponad dwustu lat, uchodząc z życiem niemal spod samego ostrza gilotyny w czasie Rewolucji Francuskiej, gdyby nie posiadała wyjątkowo silnego instynktu samozachowawczego.

- Przecież zaledwie przed sekundą jeszcze tutaj stała - bezradnie rzekła Portia, zwracając się do Adriana. - Nie widzieliście jej? - Spojrzała błagalnie na Larkina. - Musieliście ją widzieć!

Adrian patrzył na nią z czułością, ale i politowaniem.

- Wiem, że żywisz do mojego brata bardzo głębokie uczucia, ale po prostu nie możesz go dłużej ochraniać.

- Masz absolutną rację. Żywię do niego głębokie uczucia. - Zaczęła odliczać na palcach. - Niechęć, pogardę, odrazę.

- Ta panna zbyt nerwowo się tłumaczy - wymamrotał pod nosem Julian.

- Jednak mimo tych niewątpliwie głębokich uczuć, nie chcę, żeby go stracono za zbrodnie, których nie popełnił - oznajmiła stanowczo, gromiąc go wzrokiem.

Adrian potrząsnął głową.

- Zapominasz, że wiem, jaką wspaniałą jesteś aktorką. Skąd mogę wiedzieć, że to nie jest kolejny podstęp, żeby ułatwić mojemu bratu ucieczkę?

- Och, tym razem niczego nie udaje - zapewnił go Julian. - Nawet strzeliła mi w serce.

Adrian i Larkin spojrzeli na siebie z niedowierzaniem, a potem zapytali chórem:

- Strzeliła ci w serce?

- Prosto w serce? - zawtórował im Cuthbert słabym głosem.

- Prosto w samo serce - dumnie potwierdził Julian.

- Gdybym był normalnym człowiekiem, to już bym nie żył. A tak nadal jestem nieumarłym.

- Bez wątplenia nie jestem pierwszą kobietą, która do ciebie strzelała - wycodziła Portia. - W Covent Garden na pewno roi się od chętnych, żeby powtórzyć mój wyczyn.

- Spojrzała na Adriana. - Jak widzisz, nie musisz się już martwić, że emocje odbierają mi zdrowy rozsądek.

Adrian zrobił krok ku nim i czujnie zmrużył oczy.

- A więc chcesz, żebym uwierzył, że Julian jest niewinny, chociaż wszystkie dowody świadczą przeciwko niemu?

Roześmiała się z goryczą.

- Ależ skąd! Proszę cię tylko, żebyś uwierzył, że to nie on jest tym wampirem, który zabił te nieszczęsne kobiety.

- Jest wampirem? - Okrągła twarz Cuthberta gwałtownie pobladła, tak że jego samego można było wziąć za jednego z nieumarłych. Nagle oczy zaszyły mu mgłą. Bezwładnie osunął się na chodnik, pociągając za sobą Larkina.

- Zdaje się, że dotąd nie znalazłeś czasu, żeby poinformować oddanego przyjaciela o swoich krwiożerczych skłonnościach - domyśliła się Portia.

- Nie pytał - odrzekł Julian, z troską zerkając na Cuthberta. - Myślał, że po prostu lubię długo spać.

- Jeśli Julian nie zabił tych kobiet, to kto to zrobił? - spytał Adrian.

- Jego kochanka - odrzekła Portia tak lodowatym tonem, że wokół zrobiło się jeszcze zimniej.

- Ona już nie jest moją kochanką - ze złością odparował Julian. - Gdyby nią była, nie kupiłbym patentu oficera armii Jego Królewskiej Mości i nie pojechałbym do Birmy. Chciałem przed nią uciec.

Portia odwróciła się plecami do Adriana, wciąż trzymającego kuszę, spojrzała w oczy Julianowi i oparła dłonie na kształtnych biodrach.

- Chcesz powiedzieć, że do tego stopnia nie mogła się oprzeć twojemu urokowi, iż postanowiła ścigać cię choćby na końcu świata?

- Czy tak trudno w to uwierzyć. - Położył dłoń na jej policzku i zniżył głos, tak, że tylko ona go słyszała. - Kiedyś i ty postąpiłabyś tak samo.

Być może swoimi czynami zabił jej miłość, ale i tak w jej oczach pojawił się cień tęsknoty, kiedy przesunął palcem po jej aksamitnym, miękkim policzku.

W tej samej chwili Julian dokonał zaskakującego odkrycia. Zrozumiał, że nie chce skończyć jako kupka prochu u jej stóp. W jakimś sentymentalnym zakamarku duszy żywił nadzieję, że nawet jeśli kiedyś zginie, nie odzyskawszy duszy, a więc bez najmniejszych szans na niebo, to jednak będzie żył zawsze w sercu Portii. Jeśli pozwoli, żeby Adrian go teraz unicestwił, Portia z pewnością zatańczy z radości na jego grobie.

- Przepraszam - szepnął.

- Za co? - Łzy lśniły w jej oczach. - Za to, że złamałeś serce głupiej dziewczynie?

- Nie. Za to, co zaraz zrobię. - Nie zastanawiając się nad konsekwencjami, chwycił ją za kark i przyciągnął do siebie. Jednym ramieniem otoczył jej szczupłą talię i od-

wrócił tak, że oboje stali przodem do Adriana. Wiedział, że tylko wtedy jeśli użyje jej kruchego ciała jako tarczy, oboje będą bezpieczni.

Adrian rzucił się ku nim.

Julian był zmuszony użyć jedynej broni, jaką posiadał. Pochylił się ku szyi Portii i obnażył ostre kły.

Starszy brat zaklął cicho pod nosem i natychmiast stanął w miejscu. Julian czuł przy sobie dygotanie ciepłego ciała Portii. Podejrzewał, że dziewczyna trzęsie się z wściekłości, nie ze strachu.

- Powinieneś jej wysłuchać - rzekł ponuro. - Po Londynie krąży drapieжник o wiele bardziej niebezpieczny niż ja. Nazywa się Valentine Cardew. To ona zmieniła Duvaliera w wampira. Kiedy go unicestwiłeś, odziedziczyła wszystkie dusze, które ukradł i całą jego moc. Teraz, kiedy już się dowiedziała, kim jest Portia, nie spocznie, dopóki jej nie zabije.

- W takim razie oddaj mi Portię - błagalnie poprosił Adrian, spoglądając z troską na dziewczynę. - Będę ją chronił.

Julian nie mógł dłużej panować nad gniewem.

- Dotychczas świetnie ci to szło, prawda? Pozwalasz jej chodzić samej nocą po ulicach, odwiedzać podejrzane domy gry i mieszkania samotnych mężczyzn. Użyłeś jej jako przynęty dla potwora i przysłałeś tutaj, żeby paradowała po tym zaułku niczym pospolita ladacznica! Gdybyś ją chronił jak należy, to już od dawna byłaby żoną jakiegoś miłego, młodego hrabiego i zapomniała nawet, jak się nazywam.

- Ależ byłabym szczęśliwa! - Portia chciała go odepchnąć, ale w efekcie przywarła jeszcze ciaśniej pośladkami

do jego bioder. Pozycja ta była bez wątpienia trudniejsza do zniesienia dla niego niż dla niej. - Może już nie pamiętasz, ale Adrian to mój szwagier, nie ojciec. A ja potrafię doskonale zadbać o siebie sama.

- O, tak. Doskonale to widać - odrzekł cierpko i skrzywił się z bólu, kiedy jej nadłamanym obcas wbił mu się w łydkę.

- Czego ode mnie chcesz? - zapytał twardo Adrian brata.

- Nie chodzi o to, czego ja chcę. Ważniejsze jest, czego ty potrzebujesz. Jeśli chcesz zyskać choć najmniejszą szansę, żeby obronić Portię przed Valentine, to będziesz potrzebował mnie.

- Przez ostatnie lata doskonale obywaliliśmy się bez ciebie - wycedziła Portia. Julian tak mocno obejmował ją ramieniem, że kiedy chciała się wyrwać, zabrakło jej tchu. - Jakos damy sobie radę sami.

Adrian zbliżył się do nich o krok.

- Dlaczego akurat Portia? Dlaczego ta twoja Valentine upatrzyła sobie Portię na ofiarę?

Dziewczyna znieruchomiała. Nagle straciła ochotę do walki i wstrzymując oddech, czekała na odpowiedź.

Uścisk Juliana zelżał i teraz czuła się niemal tak, jakby ją obejmował.

- Ponieważ Valentine jest nie tylko szalona, ale przede wszystkim chorobliwie zazdrosna. I tak się składa, że kiedyś w przeszłości odniosła mylne wrażenie, że ja... że Portia i ja... że kiedyś byliśmy... - Urwał. Nagle opuściła go naturalna dla niego elokwencja i nie potrafił znaleźć słowa.

- Na litość boską! - zawołała Portia. - Niech ktoś zastrzeli jego albo mnie! Wtedy choć jedno z nas uwolni się od tej męczarni!

Adrian wolno opuścił kuszę, spoglądając to na nią, to na brata. Portia natychmiast uwolniła się z uścisku Juliana i podbiegła do niego. Otoczył ją ramieniem i opiekuńczo przyciągnął do siebie.

Cuthbert wydał głośny jęk i zaczął odzyskiwać świadomość, więc Julian pospieszył do niego i wraz z Larkinem pomógł mu wstać.

- Chodź, Cubby - powiedział łagodnym tonem, otrzepując jego zmięty, zabrudzony płaszcz. - Upadłeś i przekrzywiłeś sobie fular.

Cuthbert spojrział na niego przytomnie, odepchnął jego ręce i dygocząc z przerażenia, cofnął się kilka kroków.

- Nie zbliżaj się do mnie, ty diable wcielony!

- Miałem ci wszystko powiedzieć. Naprawdę. Czekałem tylko na odpowiednią chwilę.

- A kiedy miała ona nastąpić? Po tym, jak byś dopadł mnie we śnie i przegryzł mi gardło?

Julian bezwiednie zrobił ku niemu krok, bezsilnie zaciskając pięści.

- Nigdy bym cię nie skrzywdził. Jesteś moim przyjacielem.

- Nie chcę się przyjaźnić z potworem! Powinienem był słuchać ojca. Od początku miał co do ciebie rację. Naprawdę jesteś szatańskim nasieniem!

Wyrzuciwszy z siebie te słowa potępienia, odwrócił się i ruszył niemal biegiem. Julian jeszcze nigdy nie widział, żeby Cuthbert szedł tak szybko.

Przeniósł błagalny wzrok na Portię, ale ona tylko z niesmakiem potrząsnęła głową i również odeszła w głąb ulicy. Przy kolejnym kroku jej nadłamanym obcas oderwał się zupeł-

nie, więc mamrocząc coś pod nosem i podskakując raz na jednej, raz na drugiej nodze, zdjęła oba buty, cisnęła w jakiś zaułek, a potem pomaszerowała dalej w samych pończochach.

- Gdzie się wybierasz? - zawołał za nią Julian.

- Do domu - odrzekła krótko. - Do domu, gdzie zamierzam przyjąć oświadczyzny od pierwszego mężczyzny, który będzie w stanie udowodnić mi, że jeszcze ma duszę. Słyszałam, że markiz Wallingford szuka nowej narzeczonej.

Julian zaklął cicho, odprowadzając ją wzrokiem.

Podszedł do niego Adrian, z kuszą wycelowaną w ziemię.

- Widzę, że nadal wiesz, jak postępować z damami, braciszku.

Dotykając świeżej dziury w jedwabnej kamizelce, Julian posłał mu mroczne spojrzenie.

- Nie zdziwisz się pewnie, jak ci powiem, że mój krawiec również za mną przepada.

Ktoś pukał do drzwi sypialni Portii, delikatnie, ale nieustępliwie.

Portia usiadła wygodniej na ławie przy oknie i podciągnęła pod brodę puchową kołdrę, którą narzuciła sobie na ramiona. Za oknem pierwszy perłowy blask świtu zaczynał rozpraszać nocne ciemności.

Usłyszała ciche skrzypienie. Drzwi się otworzyły i zaraz znów zamknęły.

Nie odwracając się, powiedziała:

- Czasami wołałabym, żebyś była wampirzycą. Wtedy przynajmniej nie mogłabyś wejść do mojego pokoju, gdybym cię nie zaprosiła.

- Nie słyszałaś, że starsze siostry mają o wiele większą moc niż wampiry? - Caroline usiadła na przeciwnym końcu ławy we wnęce okiennej. - Nie odstraszy nas ani krucyfiks, ani czosnek, kiedy chcemy się wtrącić w twoje sprawy.

Zza gorsetu sukni wyjęła ozdobioną monogramem chusteczkę i podała ją siostrze. Była to ta sama chusteczka, którą Adrian dał Caroline podczas ich pierwszego spotkania. Portia wzięła chusteczkę od siostry i głośno wydmuchała w nią nos. W tej chwili nie miała ochoty na sentymentalne wspominki.

- Udało mi się sprowadzić do domu syna marnotrawnego. Nie powinniście teraz radośnie świętować?

- Atmosfera jakoś temu nie sprzyja. Adrian niemal całą noc spędził z Julianem w gabinecie.

- A więc to stamtąd dochodziły do mnie te krzyki. Pewnie cały tynk odpadł z sufitu.

Caroline poklepała ją po nakrytym kołdrą kolanie.

- Adrian mi opowiedział, co się zdarzyło w Charing Cross.

- Doprawdy? A czy powiedział ci, że podczas gdy ja usychałam z tęsknoty za jego bratem i robiłam z siebie kompletną idiotkę, Julian tarzał się w łóżku z wampirzycą, przy której Lukrecja Borgia to wcielenie wszelkich cnót? Na dodatek przypadkiem jest właścicielką jego duszy.

Caroline skinęła głową.

- Zdaje się, że coś o tym wspomniał. Dziś po zachodzie słońca przyjdzie do nas Larkin i wspólnie omówią, co z nią zrobić.

- Świetnie - odrzekła Portia energicznie. - Jak tylko

wampirzyca zniknie, Julian będzie mógł wrócić do takiego stylu życia, jaki sobie wybrał.

Caroline westchnęła i z wyraźną niechęcią mówiła dalej:

- Skarbie, nie próbuję go usprawiedliwiać, ale kiedy opuścił dom i wyruszył na poszukiwanie swojej duszy, byłeś jeszcze niemal...

- Przestań! - Portia ostrzegawczo pogroziła jej palcem. - Jeśli wypowiesz słowo „dziecko”, zrobię taką awanturę, że Wilbury będzie mnie musiał zamknąć w schowku na szczotki razem z bliźniakami.

- Czy naprawdę możesz mieć mu za złe, że wyjechał? Co mógł ci podarować, oprócz niebezpieczeństwa i cierpienia?

- Co chcesz powiedzieć? - Portia z wysiłkiem powstrzymała nową falę łez napływających jej do oczu. - Że wykazał się wielką szlachetnością, składając swoje ciało na ołtarzu rozwiąłości i rozpusty? Że wszystko to zrobił dla mnie?

- Wiedział, że nie może stać się kimś innym. Nawet dla ciebie.

- Ale sama wiesz, że w tym gładkim wytłumaczeniu jest jeden haczyk. Kiedy już odnalazł tę wampirzycę, mógł się zmienić. Dla mnie. Jednak tego nie zrobił. - Potrzaśnęła głową, strąsając łzę z policzka. - Zmarnowałam tyle lat, wierząc, że tylko ja mogę go uratować, a tymczasem on wcale nie chciał ratunku.

Caroline troskliwie odsunęła wilgotny kosmyk włosów z jej policzka.

- Może uważał, że nie jest wart ratunku.

Bojąc się, że pod wpływem troski i współczucia ze strony siostry znów się rozklei, Portia jeszcze ciaśniej owinęła się kołdrą i spojrzała za okno.

- Może miał rację.

Caroline wstała i w milczeniu wyszła z pokoju, a Portia patrzyła, jak znikają cienie nocy, zabierając ze sobą jej ostatnie dziewczęce marzenia.



Rozdział
IX

Tego dnia Portia nie wychodziła ze swojej sypialni aż do godzin popołudniowych. Miała ochotę zostać tam na zawsze, ale nie chciała, żeby domownicy pomyśleli sobie, że się dąsa, albo co gorsza, dramatycznie przeżywa zawód miłosny. W końcu zza chmur wyszło słońce. Do zachodu pozostało jeszcze kilka godzin, więc nie musiała się martwić, że natknie się na Juliana w jakimś odludnym zakamarku domostwa. Po sześciu latach oczekiwania na jego powrót nadal trudno jej było uwierzyć, że wreszcie przebywają pod jednym dachem.

Wdzięcznym krokiem zbiegła z półokrągłych schodów, lekko muskając dłonią balustradę. Tego dnia zupełnie przypadkowo włożyła jedną ze swoich najbardziej twarzowych sukien, uszytą z delikatnego jedwabiu w głębokim, niebieskim kolorze, dokładnie takim samym jak jej oczy. Jej krój podkreślał wąską talię i wypukłość biustu. Spod dekoltu wystawał skraj koronki zdobiącej koszulkę. Tym razem nie zawiązała na szyi czerwonej wstążki, tylko długi szal z cienkiej jak pajęczyna japońskiej gazy. Jego długie, zwiewne końce płynęły za nią niczym anielskie skrzydła.

Dotknęła dłonią włosów. Wyglądały tak, jakby pokojówka niezbyt starannie przyłożyła się dziś do wykonania jej

fryzury. Spod upiętych na czubku głowy ciężkich splotów wymykała się kaskada loczków, delikatnie ocieniając jej twarz.

Portia minęła wiszące w głównym holu lustro w pozłacanej ramie, ale po chwili zawróciła i, stojąc przed nim, uszczypnęła się kilka razy w policzki, żeby wywołać na nich rumieniec. Dlaczego miałyby nie starać się wyglądać jak najpiękniej? W końcu młoda dama w każdej chwili może się spodziewać wizyty jakiegoś interesującego kawalera.

Przechylając wdzięcznie głowę na boki, podziwiała swoje odbicie w lustrze, kiedy tuż nad swoim lewym ramieniem dostrzegła ponurą postać, odzianą w czarną liberię.

- Wilbury! - krzyknęła, przykładając dłoń do rozdygotanego serca. - Przestań mnie straszyć. Stale pojawiaasz się niespodziewanie tuż obok mnie. Gdybyś nie odbijał się w lustrze, przysięgłabym, że jesteś wampirem.

Chociaż pomarszczoną twarz lokaja jak zwykle wykrzywił niechętny grymas, to w jego załzawionych oczach migotały isierki wesołości.

- Słyszała panienska, że pan Julian wrócił do domu?

Portia odwróciła się i spojrzała na niego groźnie. Przecież Wilbury dobrze wiedział, że zdaje sobie sprawę z obecności Juliana pod tym dachem. Wiek nie osłabił ani wzroku, ani słuchu, ani dowcipu starego wścibskiego plotkarza. Na pewno dokładnie wiedział, o której w końcu przestała szlochać w poduszkę i zapadła w ciężki, głęboki sen.

- Owszem, słyszałam jakieś plotki na ten temat - odrzekła sztywno. - Czyżby właśnie drzemał w piwnicy na wino?

Nie mówiąc ani słowa, Wilbury uniósł ramię i długim, kościstym palcem wskazał na drzwi do biblioteki. Brakowa-

ło mu tylko kosa i peleryny z kapturem, żeby wyglądał jak uosobienie śmierci.

Portia nerwowo przełknęła ślinę i spojrzała na dębowe drzwi, jakby było to wejście do jej własnego grobowca. Nie oczekiwała, że tak szybko zostanie wystawiona na pokusę. Ale może tak było lepiej. Ostatecznie czy istnieje lepszy sposób, żeby udowodnić rodzinie i sobie samej, że w końcu uodporniła się na uwodzicielski urok Juliana?

Uśmiechnęła się do Wilbury'ego z pozorną beztróską.

- Chyba powinnam do niego zajrzeć, żeby się upewnić, czy nic nie przeszkadza mu w odpoczynku.

- To byłoby bardzo troskliwie ze strony panienki. - Lokaj wyszczerzył poźółkłe zęby w uśmiechu przypominającym śmiertelny grymas.

Portia z wahaniem zrobiła dwa kroki w stronę drzwi, ale zaraz się zatrzymała, żeby poinformować Wilbury'ego, że zmieniła decyzję i zapewne lepiej będzie zostawić pana Juliana w spokoju. Na następne sto lub dwieście lat.

A tymczasem lokaj zniknął. W jakiś niewytłumaczalny sposób udało mu się odejść bez najmniejszego hałasu, chociaż zwykle przy każdym ruchu skrzypiało mu w kościach. Portia westchnęła ciężko i znów ruszyła ku drzwiom.

Tłumiąc złe przeczucia, wślizgnęła się do biblioteki, cicho zamykając za sobą ciężkie drzwi. Zrozumiała, dlaczego to pomieszczenie było bardzo kuszące dla wampira, pilnie potrzebującego odpoczynku za dnia. Dwie ściany obito ciemnym mahoniem, a przy dwóch pozostałych ustawiono sięgające do sufitu półki na książki. Znajdowało się tu tylko jedno wąskie okno. Zasłaniające je ciężkie kotary starannie

spięto razem - bez wątpienia była to robota Wilbury'ego. Mała Eloisa na pewno bardzo by się przejęła, gdyby tu zawędrowała i przypadkiem je odsłoniła, zmieniając wujka w kupkę pyłu na szkarłatno-złotym tureckim dywanie.

Kiedy jej oczy przyzwyczyły się do mroku, Portia dostrzegła Juliana leżącego na jednej z dwóch kozetek w kolorze burgunda, ustawionych po obu stronach wygasłego kominika. Wolno podeszła bliżej, czując, że serce zaczyna jej szybko bić.

Miał na sobie jedynie rozpiętą pod szyją lnianą koszulę i spodnie. Leżał oparty o zagłówek, wyciągnawszy przed siebie długie nogi. Czarne, długie rzęsy opierały się o policzki. Choć jego klatka piersiowa była dziwnie nieruchoma, wyglądał jak człowiek pogrążony w głębokim śnie.

Portia poczuła, że mimo woli mięknie jej serce. Teraz Julian nie stanowił dla nikogo zagrożenia. Jego nadnaturalna siła i instynkty łowcy czyniły go niezwykczonym nocą, ale wszystkie te cechy zdradzały go, kiedy wschodziło słońce. W dzień był bezbronny niczym dziecko.

Ciekawiło ją, czy nadal coś mu się śni. Czy spacerował po zalanych słońcem łąkach, czy może cienie nocy spowijały go również podczas codziennej drzemki?

Nie mogąc się powstrzymać, wyciągnęła rękę i odsunęła niesforny kosmyk włosów, który jak zwykle opadł mu na czoło. Julian poruszył się, a ona szybko cofnęła dłoń. Wystraszyła się, widząc, że uwodzicielski urok Juliana najwyraźniej nadal na nią działa, chociaż obiecywała sobie, że pozostanie zupełnie obojętna. Stanowczym krokiem ruszyła do wyjścia, zdecydowana zostawić Juliana pogrążonego w marzeniach sennych, jakiegokolwiek by one były.

Była w połowie drogi, kiedy usłyszała za sobą jakieś odgłosy.

Odwróciła się wolno. Julian nadal leżał z zamkniętymi oczami, a rysy jego urodziwej twarzy wydawały się bardziej łagodne. Jednak Portii zdawało się, że usłyszała pogardliwy głos Valentine: Jak mogłabym cię nie znać, skoro Julian stale powtarza twoje imię przez sen.

Zawahała się, wiedząc, że dłuższe ociąganie się byłoby z jej strony głupotą. Julian znów drgnął, a jego usta poruszyły się bezgłośnie. Portia zapomniała o rozsądku i ulegając przemożnej ciekawości, na palcach wróciła do kozetki.

Julian uśmiechał się lekko.

- Och, najdroższa - szepnął. - Twoje usta są słodsze niż wino. Daj mi się napić. Jeszcze jeden łyk.

Portia spazmatycznie wciągnęła powietrze. Powinna się domyślić, że jego sny nie będą grzeczne i romantyczne, jak spacer w słońcu po łące. Z poczuciem winy zerknęła ku drzwiom. Wiedziała, że powinna niepostrzeżenie wymknąć się z tego pokoju, mimo to pochyliła się jeszcze niżej, żeby nie uronić ani jednego słowa.

Julian parsknął cichym śmiechem, a ona poczuła, że po plecach przebiega jej zimny dreszcz.

- Ty sprytna lisiczko. Dobrze wiesz, że mam łaskotki, kiedy mnie tam całujesz.

Z zastanowieniem powiodła wzrokiem po jego sylwetce, zastanawiając się, gdzie to jest „tam”.

- O, tak, mój aniele... jeszcze troszeczkę niżej... niżej... Aaaach! - Westchnienie przerodziło się w gardłowy jęk.

Portii zaschło w ustach. Powachlowała się dłonią, żeby ochłodzić rozpalone policzki. Zastanawiała się, jak to moż-

liwe, że w pokoju jest tak gorąco, skoro kominek jest zimny jak lód. Co gorsza, ciepło zdawało się rozpływać po całym jej ciele niczym rozgrzany miód.

Głos Juliana znów przeszedł w ledwo słyszalne mamrotanie. Zapominając, że ma na sobie swoją najlepszą dzienną suknię, Portia opadła na kolana i pochyliła się nad nim i wytrzymała słuch.

Jego usta niemal dotykały jej ucha, kiedy wyszeptał:

- Mój aniele... moja słodka... moja ukochana...

Wstrzymała oddech, przygotowując się na to, że za chwilę wymówi imię Valentine.

- ...moja nieznośnie wścibska Portio.

Gwałtownie uniosła głowę i zobaczyła, że Julian patrzy na nią z wyrazem rozbawienia i triumfu w ciemnych oczach.

- Ty podstępny diable! Wcale nie spałeś! I to od samego początku, prawda? - Szybko wstała z klęczek, chwyciła jeden z ozdobionych frędzlami okrągłych podgłówków i zaczęła go nim okładać.

Ze śmiechem zaśpiewał się przed jej ciosami.

- Mam nadzieję, że nie jesteś uzbrojona. Pożyczyłem tę koszulę od Adriana i głupio by było zwrócić mu ją z dziurą na wysokości serca.

- Należałoby cię zastrzelić za to, że zrobiłeś sobie ze mnie żart w taki nieszlachetny sposób.

- A czy szlachetna dama podsłuchuje dżentelmena, zwłaszcza kiedy ten jest pogrążony we śnie?

Kiedy usiadł na kozetce, Portia zdała sobie sprawę, że w dzień wcale nie jest taki bezbronny. Bładość cery podkreślała tylko wyraziste rysy szczupłej twarzy i obsydianowe błyski w ciemnych oczach. Ze zmierzwionymi włosami

i uwodzicielskimi dołeczkami w policzkach wyglądał jak uosobienie kusiciela, zaproszenie do popełnienia grzechu.

Cofała się, przyciskając zagłówek do piersi niczym tarczę.

- Ty nie spałeś, a ja wcale nie podsłuchiwałam. Ja po prostu... - urwała, gorączkowo szukając w myślach jakiegoś wytłumaczenia. - Wydawało mi się, że zostawiłam na kozetce książkę i chciałam jej poszukać.

- I podejrzewałaś, że ją połknąłem?

Spojrzała na niego z wyrzutem.

- Powinnam od razu się domyślić, że mnie nabierasz. Żadna kobieta, obdarzona odrobiną rozumu i moralności, nie uwierzyłaby w takie banalne bzdury. Usta słodsze niż wino! Akurat!

Przyłożył rękę do serca, teatralnie krzywiąc się z bólu.

- Portio, zraniłaś mnie. Co innego strzelać do mężczyzny, a co innego wyśmiewać jego umiejętności jako kochanka.

- Ku jej przerażeniu wstał i podszedł do niej. - Chcesz powiedzieć, że nie zrobiłoby na tobie żadnego wrażenia, gdybym ci powiedział, że cerę masz piękną i gładką niczym słodka brzoskwinia? - Zmysłowo przeniósł wzrok na jej usta. - Czy pozwoliłabyś skraść sobie pocałunek, gdybym wyszeptał, że twoje usta przypominają dojrzałe, dorodne wiśnie, które aż się proszą, żeby je... zerwać?

Wargi zaczęły jej drżeć, ale nie cofnęła się ani o krok, choć stanął tuż przed nią.

- Nie pozwoliłabym. Co najwyżej nabrałabym apetytu na świeże owoce.

Położył jej rękę na policzku i delikatnie przesunął opuszką kciuka po dolnej wardze. Z jego oczu zniknęły psotne iskierki i teraz spoglądał na nią bardzo poważnie.

- A zakazany owoc? Czy wydałby ci się równie kuszący?
- Na pewno nie, zwłaszcza gdyby zaproponował mi go jakiś podstępny wąż bez skrupułów. - Odsunęła się poza zasięg jego dłoni, żeby ukryć, jak bardzo podzielała na nią jego pieśczoła. - Skoro potrafisz ofiarować kobiecie tylko takie wyświechtane brednie, to może i lepiej, że masz jeszcze do dyspozycji nadnaturalne umiejętności.

Chociaż wokół panował mrok, przysięgłaby, że dostrzegła w jego oczach cień niekłamane bólu.

- Naprawdę tak uważasz? Sądzisz, że mogę uwieść kobietę, uciekając się do grzesznych uroków i sztuczek?

Wzruszyła ramionami. Jego dotyk wywołał w niej taką burzę emocji, że sama już nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć.

- A dlaczego nie? Wtedy na dachu wyznałeś, że Duvalier cię zachęcał, żebyś zaczął korzystać ze swoich mrocznych mocy. Jeśli, jak od dawna głoszą legendy, wampiry umieją wpływać na myśli i czyny śmiertelników, to co może cię powstrzymać przed użyciem tej zdolności wobec niespodziewającej się niczego złego kobiety?

Drgnęła zaskoczona, kiedy odwrócił się gwałtownie i podszedł do kominka. Nie spodziewała się tego i z irytacją stwierdziła, że czuje rozczarowanie takim obrotem akcji.

Długo stał, wpatrując się w kominek, aż wreszcie odwrócił się do niej wolno i powiedział:

- Chodź tutaj, Portio.

- Słucham?

Wolno, z rozmysłem kiwnął na nią palcem.

- Chodź tutaj, do mnie.

Zmarszczyła czoło i bezwiednie zrobiła krok naprzód.

- Co ty wyprawiasz?

Uniósł jedną brew w diabolicznym grymasie.

- Korzystam z moich mrocznych mocy. Chodź do mnie.
Natychmiast.

Zaskoczona usłyszała, że jego słowa to nie prośba, tylko rozkaz. Spojrzała mu w oczy i dostrzegła w ich ciemnej głębi hipnotyzujący płomień, który przyciągał ją do siebie. Czuła się jak ćma, lecąca wprost w płomień świecy.

Zagłówek wysunął się jej z dłoni i upadł na podłogę. Poczowała, że coś ją ciągnie, jakby ktoś przywiązał ją do Juliana niewidzialnym łańcuchem nie do zerwania. Zanim się spostrzegła, krok za krokiem sunęła w jego stronę, aż stanęła tuż przed nim.

- Dotknij mnie - polecił. W jego ciemnych oczach nie było widać ani poczucia winy, ani litości.

Wstrząsnął nią dreszcz, ale nie potrafiła powiedzieć, czy wywołał go strach, czy... niecierpliwe oczekiwanie.

- Julianie, proszę - szepnęła. - Nie rób tego.

Pochylił się do jej ucha i wyszeptał cicho:

- Dotknij mnie.

Jej ręce uniosły się do jego piersi, jakby były obdarzone własną wolą. Rozłożyła palce i pogładziła twarde, sprężyste mięśnie, kryjące się pod cienką koszulą. Nie poruszył się, nie usiłował jej dotknąć. Stał sztywno, niczym marmurowy posąg, poddający się czułemu dotykowi rzeźbiarza. Prawa ręka Portii powędrowała nieśmiało ku górze i pogładziła nagą skórę, widoczną pod rozpiętym kołnierzykiem. Delikatnie musnęła szorstkie włosy na piersi i spoczęła na szerokiej, mocnej szyi. Jego skóra wydawała się gorąca niczym rozgrzany jedwab.

Patrzyła mu głęboko w oczy, jak bezbronna niewolnica, poddana jego woli. W tej chwili dałaby mu wszystko, czego by sobie zażyczył, nawet własną krew, pulsującą w żyłkach na szyi. Jednak zanim jeszcze się odezwał, wiedziała, że nie chodzi mu o jej krew.

- Pocałuj mnie. - Wypowiedział te słowa ledwo dosłyszalnie, ale nie mogła im się oprzeć, tak jak ocean nie może się oprzeć sile przyciągania księżyca.

Przyciągnęła jego głowę niżej i delikatnie dotknęła wargami kącika jego ust. Zakazany owoc nigdy jeszcze nie był tak kuszący i tak słodki. Pomyślała, że może jeśli zamknie oczy, to uda jej się przełamać ten złowrogi urok, jaki na nią rzucił.

Ale ciemność sprawiła, że poddała mu się jeszcze łatwiej. Pokrywała delikatnymi pocałunkami jego sprężyste wargi i wzdychając, szeptała jego imię.

Nadal stał nieruchomo, nie odwzajemniając jej pieśczoć i pozwalając, żeby to ona sprawiała mu przyjemność. Jego pozorna obojętność sprawiała, że Portia z coraz większą determinacją starała się zmusić go do jakiejś reakcji. Przypomniawszy sobie, jak śmiało i władczo pocałował ją na zaśnieżonym dachu, rozchyliła usta i poczuła smak jego języka.

Kiedy skosztował słodczy jej aksamitnych, rozchylnych ust, musiał się poddać. Jęknął, otoczył ją ramionami i mocno przyciągnął do siebie, niemal odrywając od ziemi.

Nie wiedział, co go podkusiło, żeby wykonać pierwszy ruch w grze, na której wygranie nie miał najmniejszej szansy, ale nie potrafił powstrzymać uczucia triumfu, które uderzyło mu do głowy niczym alkohol, kiedy Portia poddała się jego uściskom.

Chciał ją zauroczyć i oszołomić, a tymczasem to on podał się zniewalającemu czarowi jej cichych westchnień, aksamitnej skóry i słodkich pocałunków. Nie potrzebowała ani jednego słowa, żeby rzucić na niego urok, zauroczyć go obietnicą rozkoszy, jakiej nie może się oprzeć żaden mężczyzna. Pragnął jej bardziej niż jakiegokolwiek innej kobiety, które zdarzyło mu się poznać, bardziej niż krwi, bardziej niż samego życia.

Przez sześć lat starał się zerwać więź, jaka wytworzyła się między nimi tamtej nocy w krypcie, ale przekonał się tylko, że są połączeni nierozzerwalnym łańcuchem. Nie potrafił dłużej panować nad sobą. Opadł na kozetkę, pociągając Portię na siebie. Nadal wpijając się w jej usta, zanurzył rękę w jej włosach. Spinki wysunęły się z upiętej fryzury, a ciemne loki rozsypały się wokół jej twarzy niczym jedwabista chmura.

Nie przerywając pocałunku, przesunął dłońmi po jej szczupłych plecach. Miał wielką ochotę rozwiązać tasiemki przytrzymujące gorset sukni i uwolnić jej pełne, miękkie piersi, żeby nacieszyć się ich dotykiem i smakiem. Jego zręcznym palcom nie sprawiłoby to najmniejszej trudności, ale resztki poczucia przyzwoitości sprawiły, że jego ręce znieruchomiały. Na pocieszenie przesunął dłonie niżej i objął jej krągłe pośladki.

W odpowiedzi na jego dotyk objęła go nogami i przywarła mocniej do jego ciała. Julian bał się, że za chwilę stanie w płomieniach. Czuł jednak, że chociaż taki płomień mógłby go unicestwić, to nie ma nic przeciwko takiej śmierci.

Sam również uniósł biodra, przywierając ciasniej do Portii, aż z jej gardła wydobył się cichy jęk. Wiedział, że jeszcze

chwila, a nie zdoła się powstrzymać i posiadzie ją tutaj, na kozetce w bibliotece brata.

O dziwo, kiedy to sobie uświadomił, zdołał odzyskać panowanie nad sobą. Jego pocałunki stały się łagodniejsze, uścisk nieco osłabł. Przesunął dłonie na jej plecy, oderwał wargi od ust Portii i przesunął nimi po delikatnej skórze na jej skroni. Portia opadła na niego bezwładnie, opierając policzek o jego pierś.

Przytulił ją mocno, nie chcąc rozstawać się z ciepłem jej skóry, drżącym oddechem tuż przy swojej szyi, żywym biciem serca - z tym wszystkim, co utracił, kiedy został pozbawiony duszy.

Delikatnie bawiąc się jedwabistymi kosmykami włosów, opadającymi na jej kark, wyszeptał:

- Portia?
- Mmm - zamruczała w odpowiedzi.
- Muszę coś ci wyznać.

Uniosła głowę i spojrzała na niego oczami, które nadal błyszczały z pożądania. Wilgotne usta nabrzmiały od pocałunków.

Żałując tego, co za chwilę miał powiedzieć, odgarnął kosmyk włosów z jej policzka i oznajmił:

- Nie mam żadnej władzy nad myślami i czynami innych ludzi.



Rozdział
X

Portia patrzyła na niego oszołomiona, gwałtownie mrugając powiekami. Powoli odzyskiwała jasność umysłu.

- Co to ma znaczyć?

Czule pogłodził ją po głowie.

- Nie rzuciłem na ciebie uroku, najdroższa. Wampiry nie potrafią wpływać na wolę ludzi. To tylko głupie mity i zabobony.

Szybko usiadła wyprostowana, nie pozwalając mu dłużej cieszyć się ciepłem swojego ciała.

- Nie opowiadaj bzdur. Oczywiście, że rzuciłeś na mnie urok. W przeciwnym wypadku nie zachowałabym się w tak bezwstydnym i nieprzyzwoitym sposób!

Potrząsnął głową.

- Obawiam się, że zadziałała jedynie siła sugestii.

Patrzyła na niego przez chwilę, a potem wstała sztywno i wygładziła zmiętą suknię. Ze zmierzwionymi włosami, nabrzmiałymi od pocałunków wargami i zaczerwienioną twarzą wyglądała tak, jakby rzeczywiście ją uwiódł. Jej wygląd, zamiast zawstydzić Juliana, wzbudził w nim jedynie ochotę, żeby znów przyciągnąć ją do siebie i zakończyć to, co zaczął.

Ty głupcze, gdybyś nie przyznał się do podstępu, ona już byłaby twoja, odezwał się w jego głowie przymilny, natrętny głos. Julian natychmiast go rozpoznał i zadał sobie pytanie, czy kiedykolwiek uwolni się od Duvaliera.

Patrzył czujnym wzrokiem, jak Portia układa splecione włosy w ciasny węzeł i upina go szpilkami, wbijając je z taką siłą, że aż się skrzywił.

- To niewiarygodne, że zabawiłeś się ze mną tak okrutnie.

Wstał z kozetki.

- Nie zamierzałem postąpić okrutnie. Raczej chciałem wykazać się sprytem, na swoje nieszczęście. Na pewno jednak nie chciałem być okrutny.

Unikając jego wzroku, wsunęła skraj koronkowej koszulki pod gorset sukni.

- Nie wątpię, że istnieje jakieś rozsądne wyjaśnienie tego zdarzenia. Pewnie w czasie swoich licznych podróży nauczyłeś się wpływania na podświadomość. Nieraz słyszałam, że różni łajdacy i szarlatani używają takich praktyk dla swoich egoistycznych celów.

Chwyił ją za nadgarstek i odwrócił twarzą do siebie. Nie chciał, żeby w ten sposób traktowała ich namiętne, czułe chwile.

- Może rzeczywiście istnieje rozsądne wyjaśnienie. Może po prostu dałem ci możliwość zrobienia tego, co od dawna chciałaś zrobić.

Patrzyła na niego z wyrzutem i jednocześnie tęsknotą w oczach. Widział, że nadal ma ochotę go dotknąć, zaznać smaku jego ust, poczuć jego dłonie na swoim ciele.

- Jeśli to była tylko okrutna sztuczka, to obawiam się, że

oboje daliśmy się na nią nabrać - stwierdził, wolno przesuwając dłonią po jej aksamitnym, gładkim policzku.

Zamknęła oczy, jakby nie chciała dopuścić do siebie tej prawdy. Pochylił się nad nią, żeby pocałunkiem wydobyć z niej przyznanie się do błędu, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

Portia odskoczyła od niego.

- Proszę! - zawołała, wygładzając suknię i drżącą ręką poprawiając fryzurę.

Do biblioteki wszedł Wilbury. Jego cienkie wargi wykrzywił niechętny grymas.

- Panno Cabot, ma pani gościa. Czy dzisiaj pani przyjmuje?

Zmarszczyła brwi.

- Kto przyszedł?

- Markiz Wallingford - oznajmił przeciągle kamerdyner takim tonem, jakby informował o nadejściu Dżyngis-chana i jego krwiożerczych hord. - Twierdzi, że chce się upewnić, czy nie poniosła pani żadnego uszczerbku podczas tamtej niefortunnej nocnej przygody.

- To doprawdy miłe z jego strony - wymamrotała i z namysłem spojrzała na pochmurną minę Juliana. - Proszę wprowadzić go do salonu i zadzwonić na Gracie, żeby nam przyniosła herbaty. Może Caroline będzie tak miła i zechce pełnić honory pani domu?

- A może wprowadzisz go tutaj, a ja przywitam go jako pan domu? - zaproponował Julian, obnażając groźnie kły.

- Wiesz co, Wilbury? Może jednak zaprowadzisz naszego gościa do pokoju muzycznego. Okna wychodzą tam na zachód, a przecież nie chcemy uronić ani jednego promienia

tęgo pięknęgo, zimowęgo słońca. - Uśmiechnęła się szeroko do Juliana. - Mam nadzieję, że światło słoneczne podkreśli wszystkie zalety mojej urody.

Julian spojrzął na nią gniewnie.

- Czy ja wiem? Mnie się bardziej podoba to, jak wyglądasz w ciemnościach. - Jego pełen żaru wzrok świadczył o tym, że nie tylko o wygląd mu chodziło.

Kiedy Wilbury wyszedł, Portia ruszyła w stronę drzwi ale zaraz zatrzymała się, chcąc coś powiedzieć.

- Przyszło mi do głowy, że skoro mamy mieszkać pod jednym dachem do czasu, aż zdecydujemy, co dalej robić z twoją kochanką...

- Byłą kochanką - warknął, składając ramiona na piersi.

- ...to chyba najlepiej będzie, jeśli spróbujesz myśleć o mnie jako o swojej siostrze.

Julian wzdrygnął się.

- Wolałbym myśleć o tobie jako o ślicznej pokojówce, która skradła moje... serce, kiedy miałem trzynaście lat.

- Teraz przynajmniej wiem, co się stało z twoim sercem - odrzekła szybko Portia. - A teraz proszę mi wybaczyć, ale zostawię pana samego, życząc mu słodkich snów - pożegnała go oficjalnie.

Wybiegła z biblioteki na zalany słońcem hol, słysząc za sobą bolesny jęk Juliana.

- Jeszcze jeden całusek, milordzie? - Portia, z przyklepionym do warg sztucznym uśmiechem, podsunęła gościowi talerz z eleganckiej porcelany.

Markiz Wallingford zakrztusił się herbatą, a jego wydatne jabłko Adama podskoczyło gwałtownie.

- Słucham?

Caroline mocno kopnęła siostrę w kostkę, a Portia poczuła, że policzki zaczynają jej płonąć.

- Racuszek, milordzie. Czy skusi się pan na jeszcze jeden racuszek?

- Hmm... cóż, w takim razie... - Z pełną zdziwienia miną sięgnął po mały, okrągły placuszek.

Portia odstawiła talerz na mały stolik na kółkach i spojrzała w okno. Ostre promienie słońca wpadały do pięknego wnętrza, bezlitośnie oświetlając łysiejącą głowę markiza i drwiący grymas, który nie zniknął z jego twarzy, nawet gdy się uśmiechał.

- Cieszę się, panno Cabot, że nie ucierpiała pani tamtej niefortunnej nocy. Wzdragam się na myśl, co mogło panią spotkać, kiedy szukała pani tego... tego... - markiz urwał i odchrząknął, starając się zapanować nad pełnym odrazy brzmieniem głosu. - Proszę o wybaczenie. Jakiś okrucuch uwiązał mi w gardle. Kiedy szukała pani brata wicehrabiego.

Caroline posłała Portii znaczące spojrzenie.

- Nasza Portia znana jest ze swego miękkiego serca. Nie może pan jej winić za to, że chciała sprowadzić tę czarną owcę na łono rodziny.

- Żywię wielki podziw dla pani chrześcijańskiego miłosierdzia. - Wallingford zaszczycił Portię kwaśnym uśmiechem. - Jednak niektórym zagubionym duszom nie można pomóc i najlepiej zostawić je na wątpliwą łaskę diabła.

Po ostatnim spotkaniu z Julianem w bibliotece Portia powinna ochoczo przytaknąć markizowi. Tymczasem ręce nagle zaczęły jej się trząść ze złości.

Zęby nie wylać sobie herbaty na kolana, szybko uniosła filiżankę do ust.

- Z tego, co pan mówi, wnioskuję, że nie słyszał pan jeszcze najnowszych wspaniałych wiadomości.

Uśmiech markiza przybladł.

- Jakich wiadomości?

- Julian wrócił do domu - oznajmiła, uśmiechając się szeroko. - Po tych wszystkich latach wreszcie powrócił na łono kochającej rodziny!

Z miną, jakby za chwilę miał się udusić, Wallingford uniósł się z fotela, przelotnie zerkając na dekolt Portii.

- Kane jest tutaj? W tym domu?

- Doskonale wiemy, że wykupił pan jego weksle. - Portia odstawiła filiżankę na spodek. - Ale nie musi pan wzywać policji, milordzie.

- Jestem pewna, że mój mąż z przyjemnością spłaci wszystkie długi, które zaciągnął jego brat podczas swoich licznych podróży - dodała Caroline, sięgając po kolejne ciastko.

Markiz opadł z powrotem na fotel, a po jego minie widać było, że wcale nie jest z tej informacji zadowolony.

- Nie chciałbym zepsuć tego miłego spotkania prostacką rozmową o interesach. Jednak nie mogę nie zastanawiać się nad tym, czy rozsądnym jest pozwolić, żeby człowiek o takiej reputacji przebywał pod jednym dachem z niezamężną i łatwowierną młodą damą.

Portia uniosła brew.

- A ja nie mogę nie zastanawiać się nad tym, czy pańska narzeczona też miałaby podobnie cyniczny pogląd na tę sprawę.

Nawet w słabym świetle zimowego popołudnia widać było, że Wallingford się zaczerwienił.

- Ponieważ nic mnie już nie łączy z panną Englewood, jej opinia nie ma dla mnie żadnego znaczenia. Po prostu doświadczenie podpowiada mi, że czarne owce zazwyczaj nadają się tylko na rzeź.

Portia poderwała się na równe nogi.

- Obawiam się, że muszę zostawić pana pod opieką mojej siostry, milordzie. Nagle zrobiło mi się bardzo gorąco i boję się, czy to nie jakaś nagła choroba.

- Mam nadzieję, że nic zaraźliwego - zaniepokoił się markiz. Wyjął z kieszeni kamizelki uperfumowaną chusteczkę i przyłożył ją do nosa.

Czując na sobie podejrzliwe spojrzenie Caroline, Portia uśmiechnęła się chłodno do gościa.

- Nie musi się pan niepokoić. Tylko ja mam skłonności do tej choroby.

Skłoniła się z wdziękiem i szybko wyszła z pokoju muzycznego. Miała nadzieję, że znajdzie lekarstwo na tę chorobę, zanim okaże się ona zabójcza dla jej serca.

Zimowa noc zapadła szybko i nieubłaganie, zabierając ze sobą resztki ciepła, a przynosząc mróz, który malował kwiaty na szybach sypialni Portii. Choć wiedziała, że w ciemnościach Julian mógł swobodnie krążyć po całym domu, postanowiła, że nie będzie więźniem we własnym pokoju. Jak tylko Adrian zawiadomi ją, że przybył Larkin, dołączy do nich, żeby przedyskutować przyszłość Valentine. A raczej brak przyszłości, dodała ponuro w myślach.

Coraz bardziej zniecierpliwiona, odrzuciła na bok tomik

wierszy Byrona, który usiłowała czytać, i podeszła do okna. Ostatnie spotkanie z Julianem sprawiło, że coś ją ciągnęło w ciemność nocy. Tęskniła też za jego dotykiem. Nie był to pierwszy raz, kiedy dotyk i pocałunek Juliana budziły w niej nieznane pragnienia i dręczący niepokój. Spojrzała na zegar pod szklanym kloszem, stojący na kominku. Delikatna krótsza wskazówka dochodziła do siódmej.

Przez uchylone drzwi wyjrzała na schody. Wtedy z pierwszego piętra doszedł do niej cichy odgłos rozmowy, prowadzonej przez mężczyzn.

Przepełniona nieufnością, pospiesznie zbiegła w dół, zatrzymując się na półpiętrze, żeby wyjrzeć przez okno. Bryczka Larkina stała już w zaułku za domem, a dwa zaprzęgnięte do niej gniadosze prychały energicznie, aż w mroźnym powietrzu tworzyły się białe obłoki pary.

Zdecydowanym krokiem minęła zaskoczonego lokaja, podeszła do drzwi gabinetu i otworzyła je bez pukania.

Adrian przysiadł na skraju biurka, a Larkin i Julian siedzieli wygodnie w skórzanych fotelach po obu jego stronach. Każdy z nich trzymał w jednym ręku cygaro, a w drugim szklanek z porto. Z satysfakcją zauważyła, że na jej widok Adrian i Larkin przybrali skruszone miny.

Głośno zamknęła za sobą drzwi. Zamrugała powiekami, gdyż oczy zaczęły ją szczytać od unoszącego się wokół tytoniowego dymu. Larkin i Adrian ze względu na jej obecność natychmiast zgasili cygara, ale Julian tylko leniwie przyłożył je do ust i wypuścił długą smugę dymu, która opłótła go niczym ramię kochanki. Miał zaróżowione policzki, co wzbudziło w niej podejrzenie, że Wilbury odbył wieczorną wyprawę do najbliższego rzeźnika.

- Proszę mi wybaczyć spóźnienie - oznajmiła lodowatym tonem. - Zaproszenie dla mnie najwyraźniej zaginęło wśród innej poczty.

Adrian skrzywił się lekko.

- Nie gniewaj się, Portio. Po prostu nie chcieliśmy, żebyś znów musiała się martwić.

- Jakież to miłe z waszej strony, że tak się przejmujecie moją wrażliwą naturą. Może powinnam wrócić do swojego pokoju i zająć się suszeniem kwiatów albo haftowaniem?

- Wcale nie próbuję cię odsunąć od tej sprawy, ale po tym, co przeszłaś ostatniej nocy, pomyślałem, że najlepiej będzie, jeśli pozwolisz nam się tym zająć...

- Niech zostanie. - Julian oparł stopę na kolanie drugiej nogi i zgasił cygaro na podeszwie buta, a niedopałek wrzucił do płonącego w kominku ognia. - Zapracowała sobie na to.

Larkin ustąpił jej miejsca w fotelu, więc usiadła, niechętnie skinąwszy głową Julianowi na znak podziękowania. Larkin tymczasem stanął obok, opierając się o parapet i mierzył ich uważnym, domyślnym spojrzeniem.

Adrian odstawił szklaneczkę na biurko i podrapał się po policzku z miną świadcząca o tym, że chciałby się w tej chwili znajdować zupełnie gdzie indziej.

- Julian właśnie nam opowiadał, jak doszło do tego, że... hm... poznał tę kobietę.

- To nie jest kobieta - oświadczyła stanowczo Portia.
- To potwór.

Julian spojrział na nią krytycznie, unosząc brew, więc odpowiedziała mu podobnym spojrzeniem. Zaraz jednak odwróciła wzrok, nie mogąc znieść intesywności jego spojrzenia.

Wciąż na nią patrząc, podjął opowieść.

- Jak już powiedziałem, zanim nam przerwano, kiedy pierwszy raz pojechałem do Paryża i zacząłem szukać wampira, który stworzył Duvaliera, nie byłem w tym dyskretny. Przywódcą paryskiej sfory był osobnik o paskudnym charakterze, który uważał Brytyjczyków za najgorszy gatunek ludzi. Kiedy się dowiedział, że chcę zniszczyć pobratymca, żeby odzyskać duszę, wpadł we wściekłość. Kazał mnie połać oliwą i spalić na stosie, ale wtedy zjawiła się Valentine i zaczęła go błagać, żeby darował mi życie.

Portia znacząco pociągnęła nosem.

- Jaki wspaniały akt miłosierdzia.

- Tak właśnie pomyślałem, tym bardziej że włosy już zaczynały mi się tlić - odrzekł Julian spokojnie. - Dzięki jej wstawiennictwu puścili mnie wolno, ale wygnali nas oboje z Paryża.

- Przynajmniej mieliście siebie. - Portia nachyliła się ku niemu z zainteresowaniem. - Co było dalej? Dowiedziałeś się, że jest właścicielką twojej duszy przed czy po tym, jak zostaliście kochankami?

- Portio! - Adrian z jękiem oparł głowę na dłoniach, a Larkin jednym haustem dopił resztę swojego porto i wyjrzał tęsknie przez okno.

Ale Julian śmiało patrzył jej w oczy.

- Obawiam się, że po. Gdybym wtedy odpłacił jej śmiercią za to, że mnie ocaliła, okazałbym się hipokrytą najgorszego gatunku.

- Zapomniałam, że ty zawsze spłacasz swoje długi - odrzekła łagodnym tonem. - Choć pewnie Wallingford nie zgodziłby się ze mną.

- Dość już rozmów o przeszłości - przerwał im Adrian, a Larkin podziękował mu za to spojrzeniem. - Spotkaliśmy się tu dzisiaj, żeby zapewnić Portii bezpieczną przyszłość. Jeśli ta Valentine jest takim niebezpiecznym przeciwnikiem, to dlaczego wczoraj przed nami uciekła?

Julian prychnął rozbawiony.

- Jak myślisz, dlaczego udało jej się tak długo przetrwać? Nie jest głupia. Dobrze wie, że jesteś słynnym łowcą wampirów.

- W takim razie może już wyjechała z Londynu? - wysnuł przypuszczenie Larkin.

- Ona go nie zostawi - odparła z przekonaniem Portia.

- I nie zostawi Portii, kiedy już wie, gdzie może ją znaleźć. Przynajmniej nie zostawi jej żywej - dodał ponuro Julian. - Nawet gdyby udało mi się ją odnaleźć i przekonać, żeby ze mną wyjechała, zostawiłaby tu kogoś ze swoich zaufanych pomagierów, żeby wykończył Portię. Musimy ją schwytać, zanim wyda taki rozkaz.

- A jeśli wysłałbym Portię gdzieś daleko stąd? - zaproponował Adrian. - Razem z Caroline i Eloisą mogłaby pojechać do zamku i zostać tam, dopóki nie zakończymy całej sprawy.

Portia zeszywniała.

- Nie ucieknę z Londynu! Nie dam jej takiej satysfakcji. I tak ostatniej nocy udało jej się mnie podejść. Nie pozwolę się więcej tak upokorzyć.

- A poza tym i tak by za nimi pojechała - dorzucił Julian. Larkin pogładził się po chudym podbródku.

- Skoro wiemy, że będzie chciała dobrać się do Portii, to może po prostu zaczekajmy spokojnie, aż zrobi pierwszy krok.

Julian potrząsnął głową.

- Jest sprytna, nie będzie się spieszyć. Jak na takie impulsywne stworzenie, potrafi być wyjątkowo cierpliwa. Zaczeka, aż stracimy czujność. A wtedy będzie już za późno.

- Poza tym musimy wywabić ją z ukrycia, zanim zabije kolejne niewinne kobiety - oznajmiła Portia.

Wstała i zaczęła krażyć po pokoju, świadoma faktu, że Julian śledzi każdy jej krok.

- Najwyraźniej zakłada, że Julian nadal żywi do mnie jakieś uczucia, a przecież wiemy dobrze, że to nie jest prawda.

Choć Julian zacisnął nerwowo szczęki, rozsądnie postanowił nie zdradzać swoich myśli i tylko pociągnął kolejny łyk porto.

- Gdybyśmy tylko mogli znaleźć jakiś sposób, żeby wykorzystać tę zazdrość przeciwko niej... - Portia uderzała w zamyśleniu palcem o dolną wargę. - Wciąż myślę o czymś, co powiedział Duvalier, tuż przed tym, jak zamknął w krypcie Juliana i mnie.

Adrian i Larkin wymienili zatroskane spojrzenia.

- Kochanie, o mało nie umarłaś w tej krypcie. Nie ma potrzeby, żebyś przywoływała bolesne wspomnienia.

- Twój brat również o mało tam nie umarł - przypomniała mu i zwróciła się do Juliana. - Pamiętasz, co powiedział Duvalier tuż przed tym, jak wepchnął mnie w twoje ramiona? Powiedział, że jeśli odbierzesz mi duszę, będziesz mógł „cieszyć się moim towarzystwem przez całą wieczność”.

- Jak mógłbym o tym zapomnieć? Proponował, żebym uczynił z ciebie swoją wieczną oblubienicę. - Julian zakołys-

sal płynem na dnie szklanki. - Jak na takiego krwiożerczego drania, był dość romantyczny - dodał z goryczą.

- Może więc udamy przed Valentine, że właśnie to zrobiłeś? - Portia dotknęła białego szala, który miała zawiązany na szyi. - Już wie, że zostawiłeś na mnie swój znak. Dlaczego nie mielibyśmy jej przekonać, że wróciłeś do Londynu, żeby dokończyć rozpoczęte wiele lat temu dzieło? Co innego mogłoby równie mocno ją rozwścieczyć? To tak jakbyśmy chlusnęli jej w twarz wodą święconą. - Choć bardzo się starała, Portia nie umiała całkowicie ukryć przyjemności, jaką napawała ją ta myśl.

- Zdawało mi się, że próbujemy znaleźć sposób na uratowanie ci życia, a nie sprowokowania Valentine, żeby zabiła cię szybciej - zauważył Larkin. - Czy nie będzie jeszcze bardziej niebezpieczna, jeśli ją rozwścieczymy?

- Być może. Ale w ten sposób sprawimy również, że stanie się mniej ostrożna i zacznie popełniać błędy. Jeśli naprawdę uwierzy, że Julian woli mnie od niej, nie będzie chciała dłużej czekać. Jej cierpliwość szybko się skończy.

- Tak jak twoje życie, jeśli uczynisz choć jeden fałszywy krok - uświadomił jej Adrian, a zmarszczki na jego czole jeszcze bardziej się pogłębiły.

Julian spojrział na nią równie sceptycznie.

- Naprawdę ci się wydaje, że mogłabyś udawać wampirycę na tyle przekonująco, żeby oszukać Valentine?

Portia wzruszyła ramionami.

- Dlaczego nie? Twoi pobratymcy po zachodzie słońca krążą między nami, śmiertelnikami. Jecie nasze jedzenie. Pijecie wino. Tańczycie przy dźwiękach naszej muzyki. Udajecie, że oddychacie. - Spojrzała na niego wyzywająco

i niskim, matowym głosem dodała: - A nawet obdarzacie nas miłosnymi pieścizotami.

Tym razem Adrian chwycił nie za szklanę, tylko za butelkę. Wypił długi łyk, a potem podał ją wdzięcznemu Larkinowi.

- Ale śmiertelników o wiele łatwiej oszukać - odrzekł spokojnie Julian, nie odrywając od niej hipnotyzującego wzroku. - Zwykle widzą tylko to, co chcą zobaczyć.

Przez moment Portii wydawało się, że znów jest w bibliotece. W jego ramionach.

- Może dlatego, że w dzieciństwie nauczono nas wierzyć w syrenki, krasnoludki i szlachetnych książąt na białym koniu. Dopiero w dorosłym życiu odkrywamy, że to wszystko tylko głupie mrzonki.

- Valentine niełatwo jest oszukać. Nie tylko będziesz musiała ją przekonać, że zmieniłaś się w wampirycę. Będziesz również musiała postarać się, żeby uwierzyła, że mnie kochasz.

- To nie będzie zbyt trudne - odparła zdenerwowana.
- Sam kiedyś stwierdziłeś, że jestem doskonałą aktorką.

Adrian westchnął. Wyraźnie zabrakło mu argumentów.

- Myślisz, że ten plan ma jakiejkolwiek szanse na powodzenia? - zapytał brata. - Znasz tę... kobietę lepiej niż ktokolwiek inny.

- I to w każdym znaczeniu tego słowa. - Portia nie mogła się powstrzymać od uszczypliwego komentarza.

Julian posłał jej spojrzenie, które wystraszyłoby każdego przechodnia napotkanego w ciemnym zaułku.

- Istnieje szansa, że plan zadziała - potwierdził.

Larkin odchrząknął.

- A jak Valentine ma się dowiedzieć, że zaszła taka doniosła przemiana? Mamy wykupić ogłoszenie w Kurierze Codziennym dla Wampirów?

Julian spojrział na ogień, przybierając znaną już Portii zaciętą minę.

- Sądzę, że znajdę na to sposób.

Wszyscy spojrzeli na niego wyczekująco.

- Adrian wypędził wszystkie wampiry z Londynu, ale nie z całej Anglii. Cała ich sfera mieszka w wiejskiej posiadłości w Colney, niecałą godzinę drogi stąd.

- Słyszałem plotki o istnieniu takiego miejsca - przyznał Adrian. - Już dawno powinienem był złożyć im wizytę, ale od narodzin Eloisy... - Wzruszył ramionami, najwyraźniej nie chcąc otwarcie przyznać, że pojawienie się na świecie córki skłoniło go do większej dbałości o własne życie.

- Schroniłem się tam na krótko, kiedy Cuthbert wrócił do domu ojca - powiedział Julian. - Ich przywódca wygrał ten dom od jakiegoś zapijaczonego nieszczęśnika, który już dawniej przehulał resztki rodzinnej fortuny. Wampiry to jeszcze gorsi plotkarze niż śmiertelnicy. Zapewniam, że jeśli tam się pojawimy, Valentine dowie się o tym jeszcze przed świtem.

- Świetnie! - wykrzyknęła Portia z ironią. - Uwielbiam przyjęcia na wsi. Kiedy wyruszamy?

- Nie spiesz się z wybieraniem kreacji - ostrzegł ją Adrian. - Nie myśl sobie, że pozwolę ci wejść do tego siedliska krwiożerczych potworów zupełnie samej...

- Nie będzie sama. - Julian wstał z fotela i stanął obok Portii. Władczy ton jego głosu sprawił, że Adrian zamilkł. - Ja z nią tam będę.

Brat spojrział na niego z niedowierzaniem.

- Czy to nie ty przez całą noc suszyłeś mi głowę za to, że pozwoliłem Portii służyć za przynętę?

- Tym razem nie będzie przynętą. Ja nią będę. Kiedy Valentine dowie się, że ją „zdradziłem”, będzie myślała tylko o tym, jak mnie zniszczyć i zapomni o innych. - Wziął Portię za rękę i przyciągnął ją do siebie. -I przyrzekam ci, że prędzej sam sobie wbiję kołek w serce, niż pozwolę komukolwiek, żywemu czy nieumarłemu, skrzywdzić Portię. Nie dopuszczę do tego, żeby włos spadł jej z głowy.

Zanim Portia zdążyła zareagować na tę zaskakującą obietnicę i na dotyk jego ręki, Adrian powiedział:

- Jeśli się spodziewasz, że zaaprobuję ten ryzykowny plan, musisz mi dokładnie wyjaśnić, co zamierzasz zrobić z naszą zwierzyną, kiedy tylko wpadnie w twoje sidła.

Portia wstrzymała oddech. Od odpowiedzi Juliana zależała cała jej przyszłość.

- Zabiorę ją daleko stąd - powiedział po chwili milczenia. - Tak daleko, że nigdy nie będzie już w stanie nikogo skrzywdzić. - Urwał i ścisnął dłoń Portii niemal do bólu.
- Nikogo.

Portia nagle poczuła się krucha niczym figurka z saskiej porcelany. Szybko uwolniła rękę z jego uścisku.

- Proszę mi wybaczyć - powiedziała. - Chyba muszę poinformować siostrę, że jutro wieczorem wybieram się na przyjęcie, które w wiejskiej rezydencji wydaje sfera krwiożerczych wampirów.

Kiedy zamknęły się za nią drzwi gabinetu, Adrian potrząsnął głową. Na jego twarzy malowało się zdziwienie i gniew.

- Jules, co ty, u diabła, wyprawiasz? Nie rozumiem,

dłaczego tak się wzbraniasz przed unicestwieniem tej wampirzycy.

Julian spojrział na niego błyszczącymi z gniewu oczami.

- Cóż, może ja nie rozumiem, dlaczego ty się wzbraniasz przed unicestwieniem mnie. - Odwrócił się na pięcie i ruszył do wyjścia.

- Dokąd się wybierasz? - zapytał Adrian stanowczym tonem, zastępując mu drogę.

- Wychodzę - odrzekł krótko brat. Nie cofnął się ani o krok. Kiedyś wystarczyło jedno spojrzenie z góry, żeby Adrian przywołał go do porządku. Teraz jednak stali twarzą w twarz, równi wzrostem i determinacją.

- Naprawdę sądzisz, że to rozsądne?

- Nie wiem. Zależy, czy przebywam tutaj jako twój gość... czy więzień.

Widząc, że brat się nie ugnie, Adrian niechętnie odstąpił na bok, a Julian wyszedł z gabinetu i skierował się prosto do frontowych drzwi.



Julian krążył po gwarnych londyńskich ulicach, jakby noc i miasto należały do niego. Ci, którzy odważyli się spojrzeć mu w twarz, szybko schodzili mu z drogi. Niektórzy instynktownie rozpoznawali w nim potwora, inni po prostu wiedzieli, że lepiej nie prowokować mężczyzny, który choć najwyraźniej był bogaty i wpływowy, nie wahał się wędrować nocą niczym niebezpieczny drapieżnik.

Kiedy na ulicy Threadneedle jakiś urzędnik o nalanej twarzy, wychodząc ze swojego biura, nierozważnie potrącił go ramieniem, Julian tylko stłumił głucho warknięcie. Powinien się cieszyć, że ulice z wolna pustoszeją, ale na myśl, że wszyscy ci ludzie spieszą do przytulnych domów, wracają do swoich bliskich, ogarniał go gniew. Nie miał już przy sobie statecznego i nudnego Cuthberta, którego obecność zwykle rozweselała go. Tego dnia po południu kazał lokajowi zanieść wiadomość pod adres przyjaciela, ale list wrócił nienaruszony.

Chociaż szedł lekkim krokiem, miał wrażenie, że wciąż ciągnie za sobą łańcuchy, którymi był skuty w krypcie. Bezustannie słyszał drwiące zaczepki Duvaliera.

Rozczarowałeś mnie, Jules. Spodziewałem się po tobie

o wiele więcej. Nie chcesz być wampirem, ale też nie jesteś człowiekiem.

Duvalier się pomylił. Julian czuł się jednocześnie wampirem i człowiekiem. Cierpiał podwójnie. Za każdym razem, kiedy patrzył na Portię, pieścił jej mlecznobiałą skórę, kosztował zakazanej słodczy ust, budził się w nim ból wywołany utratą duszy.

Duvalier ucieszyłby się na wieść, że nawet po tylu latach Julian pragnął zarówno ciała Portii, jak i jej krwi.

Ktoś go popchnął z tyłu, więc odwrócił się błyskawicznie, z głuchym pomrukiem obnażając kły.

Stała za nim jakaś kobieta, o ładnej twarzy, okolonej burzą rudych loków.

- Przepraszam, szefie. Mama zawsze mi powtarzała, że straszna ze mnie niezdara. Potykam się o własne stopy.

Chociaż płaszcz miała zniszczony, widać było, że stara się dbać o swój wygląd. Jaskrawe plamy różu zdobiły jej policzki, a za ucho wetknęła przywiedły bratek.

- Nic się nie stało - zapewnił sztywno. - To na pewno była moja wina.

Zanim zdążył odwrócić się i odejść, śmiało wsunęła mu dłoń pod ramię.

- Taka mroźna noc. Pomyślałam sobie, że może szuka pan jakiegoś przyjemniejszego towarzystwa do łóżka niż rozgrzana cegła.

Przechyliła pytająco głowę i z aprobatą oszacowała go wzrokiem. Widziała w nim dżentelmena, nie bestię.

Nie było żadnych przeszkód, żeby przyjął jej propozycję i zaprowadził ją do którejś z pobliskich gospod ze zniszczoną, ale czystą pościelą. Mógł ją omamić słodkimi słów-

kami, które wyśmiała Portia, a potem sycić się nią w dowolny sposób. Jego wprawne pieszczoty zatarłyby jej wspomnienia o prostackich, spoconych, sapiących mężczyznach, którzy z nią byli przed nim, i zapewne cała przyjemność nie kosztowałaby go ani pensa.

Nie potrafił jednak pozbyć się myśli, że cena, jaką przyszłoby za nią zapłacić, byłaby o wiele wyższa.

Tłumiąc ukłucie żalu, wyjął z kieszeni płaszcz moneta i wcisnął jej do ręki.

- Weź to, wracaj do domu i rozgrzej się przy kominku, dobrze?

Dotknął palcami kapelusza i ruszył dalej, w stronę sklepu rzeźnika, którego właściciel właśnie zaczynał zamykać na noc drzwi.

Portia znów była w krypcie.

Wilgotna woń miątkiej ziemi i wielowiekowej zgnilizny wypełniania jej nozdrza. Gdyby nie obecność Juliana, ogarnąłby ją paraliżujący strach. Objął ją mocnymi ramionami, Żeby przestała drżeć. Już wcześniej wyjął jej knebel z ust i rozwiązał sznury, których użył Duvalier, żeby ją skrepować. Rozmasował jej dłonie, więc powoli odzyskiwała w nich czucie.

*- Dlaczego Duvalier mówił te wszystkie straszne rzeczy?
- Szloch uwiązał jej w gardle, kiedy Julian objął ją w talii i przycisnął jej policzek do swojej piersi. - Dlaczego powiedział, że mnie zabijesz?*

Odepchnął ją od siebie, odszedł chwiejnym krokiem i stanął w rogu krypty. Spuścił głowę i dłonią osłonił oczy przed światłem pochodni.

- Duvalier miał rację - warknął. - Trzymaj się ode mnie z daleka!

Mimo tego ostrzeżenia, zrobiła krok w jego stronę.

- Ale dlaczego? Dlaczego miałabym wierzyć w to, co mówi ten obrzydliwy potwór?

- Owszem, Duvalier to potwór. Ale ja też nim jestem.

- Julian wolno uniósł głowę i opuścił rękę, a jej oczom ukazały się połyskujące w świetle pochodni wampirze kły.

Przycisnęła dłoń do ust, ale nie zdążyła stłumić okrzyku przerażenia. Skóra na jego szczupłej twarzy stała się bardziej napięta niż zwykle, wzrok miał pusty, ale płonął w nim, ogień prymitywnego głodu. Wyglądał teraz jednocześnie pięknie i strasznie. Zahipnotyzowana jego zwierzęcym urokiem Portia patrzyła, jak jego zęby zaostrajają się i wydłużają, zmieniając się w parę błyszczących kłów.

- Adrian nigdy nie był wampirem, prawda? - spytała cicho, choć już znała odpowiedź.

Julian wolno potrząsnął głową.

- Ty nim jesteś.

Przytaknął.

Jej wzrok przyciągnęło coś jeszcze dziwniejszego niż wampirze kły. Podarta koszula rozchyliła się na piersiach Juliana, obnażając wypalony na ciele znajomy kształt krzyża.

Dziewczyna wydała zduszony okrzyk i podbiegła do niego. Obwiodła palcami zwęglony zarys krucyfiksu, jakby w ten sposób mogła przejąć ból, który musiał odczuwać Julian. Podniosła na niego oczy wypełnione łzami.

- Dobry Boże, kto ci to zrobił?

Julian przetłknął ślinę i przesunął językiem po zeschniętych wargach, na próżno starając się je zwilżyć. Ochryplym głosem powiedział:

- Tym krucyfiksem odebrał mi wszystkie siły. Wygłodził mnie. Nie pozwolił mi nic wypić.

Chciał się od niej odsunąć, ale stracił równowagę i upadł na kolana. Jego ciałem zaczęły wstrząsać dreszcze.

Portia ukłękła obok niego.

- Umierasz - wyszeptała. Dłużej nie potrafiła udawać, że nie rozumie tego, co widzi.

Skinął głową.

- Nie zostało mi... wiele czasu. Kiedy to się skończy, będziesz bezpieczna. Duvalier na pewno zadba o to, żeby nas tu znalezione. - Rozciągnął wargi w gorzkim uśmiechu.

- Ten sukinsyn nigdy nie mógł się powstrzymać, żeby się nie pochwalić swoim dziełem. Widzisz te okowy? - zapytał, wskazując na zardzewiałe łańcuchy, mocno przytwierdzone do kamiennej ściany. - Musisz mnie w nie zakuć.

Wzdrygnęła się na tę prośbę.

- Miałabym cię przykuć do ściany jak jakieś wściekłe zwierzę?

- Jestem zwierzęciem. Im szybciej się z tym pogodzisz, tym będziesz bezpieczniejsza.

Potrząsnęła głową. Jej głos brzmiał spokojnie, chociaż po policzkach płynęły łzy.

- Nie zrobię tego. Nie zostawię cię tu, skrepowanego łańcuchami, żebyś umarł z głodu.

Chwycił ją za ramiona, mocno wbijając palce w jej delikatne ciało.

- Dziewczyno, posłuchaj mnie, do cholery! Nie wiem, jak

długo jeszcze dam radę się powstrzymać, żeby cię... nie skrzywdzić.

- Możesz się napić mojej krwi - zachęciła. - Tylko tyle, żebyś dożył chwili, w której ktoś nas tu odnajdzie.

Zjego gardła wydobył się zduszony jęk. Po raz pierwszy pojęła, że chodzi tu o coś więcej niż o zaspokojenie pragnienia porcją krwi.

- Czy ty niczego nie rozumiesz? Jeśli sobie na to pozwolę, nie będę potrafił nad sobą zapanować. A wtedy będzie za późno dla nas obojga.

Podniósł rękę do jej twarzy i drżącymi palcami, z niezmierną czułością odgarnął z jej policzka kosmyk włosów.

- Proszę cię, Pięknooka. Błagam...

Portia zamknęła oczy, żeby nie widzieć jego błagalnego spojrzenia. Wiedziała już, co musi zrobić. Kiedy znów je otworzyła, zdobyła się na uśmiech przez łzy.

- Julianie, przecież wiesz, Że zrobię dla ciebie wszystko. Naprawdę wszystko.

Nie zwracając uwagi na śmiercionośne kły, objęła jego twarz dłońmi i przycisnęła miękkie wargi do jego ust...

Portia obudziła się z uczuciem tęsknoty i bólu w sercu. Pragnęła wrócić do tamtej krypty i znów być taka, jak dawniej. Tamta dziewczyna była pewna siebie, gotowa poświęcić wszystko - nawet życie - dla pięknego chłopca, którego kochała.

Sen przypomniał jej też o tym, że kiedyś Julian gotów był zrobić dla niej to samo. Chciał zakończyć swoje istnienie jako pozbawiona duszy skorupa człowieka, bez cienia nadziei na zbawienie, żeby tylko jej nie skrzywdzić. Odwróciła

się na bok i przycisnęła poduszkę do piersi, bezskutecznie próbując przytępić ból serca. Zastanawiała się, co się zmieniło. Jaką władzę nad Julianem miała Valentine?

Zacisnęła powieki, bojąc się, co jeszcze może się jej przyśnić. Ale zanim zdążyła zasnąć, usłyszała odległe dźwięki melodii. Zdziwiona, usiadła w pościeli, nadal obejmując poduszkę, zamrugała powiekami. Czyżby jej sen przywołał jeszcze jednego ducha z przeszłości?

Narzuciła jedwabny szlafrok, wstała z łóżka i podeszła do drzwi. Otworzyła je ostrożnie, nasłuchując, jakby się spodziewała, że muzyka rozbrzmiewa tylko w jej wyobraźni. Jednak ktoś grał słodko-gorzką kołysankę dla mieszkańców tego domu.

Zawiązała pasek szlafroka i szybko zbiegła po schodach. Mrok, spowijający opustoszałe korytarze, nie onieśmiał jej, ale z każdym krokiem zdawał się wciągać ją coraz głębiej. Zanim się spostrzegła, już otwierała drzwi do pokoju muzycznego, z przyjemnością chłonąc melodię wygrywaną na ustawionym pod oknem fortepianie.

Julian siedział przy klawiaturze, a jego palce tańczyły po klawiszach z gracją kochanka, wydobywając z nich czułe i pełne pasji dźwięki. Światło słoneczne było jego śmiertelnym wrogiem, ale blask księżyca, wpadający przez duże okno, wcale mu nie przeszkadzał. Srebrzyste promienie zdawały się pieścić jego jedwabiste włosy i silny, męski profil.

Dopiero po chwili Portia uświadomiła sobie, że słyszy pierwszą część Requiem Mozarta, którą kompozytor ukończył przed swoją tragiczną śmiercią w wieku trzydziestu pięciu lat. Nieraz słyszała ten utwór wykonywany na wielkich organach w niejednej katedrze, ale jeszcze nigdy na

fortepianie. Nikt też nie zagrał go z taką pasją. W jego wykonaniu był to jednocześnie marsz triumfalny i pieśń żałobna - dzieło człowieka, który świętował i jednocześnie opłakiwał swoją śmiertelność.

Julian włożył w to wykonanie cały swój głód i namiętność, kończąc utwór w dramatycznym napięciu. Ostatnia nuta zawisła w powietrzu niczym dźwięk katedralnego dzwonu w mroźnym, nocnym powietrzu.

Kiedy ostatnie echo umilkło, Portia powiedziała cicho:

- Jak na człowieka, którego dusza podobno należy do diabła, grasz niczym anioł.

Wcale nie wydawał się zaskoczony widokiem Portii, stojącej w drzwiach.

- To jeden z moich ulubionych utworów. Pamiętasz słowa, które znalaziono na marginesie partytury? *Fac eas, Domine, de morte transire ad vitam?* - wyrecytował bez trudu łacińską sentencję.

- Pozwól, o Panie, przez śmierć przejść do życia wiecznego - wyszeptała.

- Szkoda, że nie mogłem ostrzec tego nieszczęśnika, bo dobrze wiem, że życie wieczne wcale nie jest takie wspaniałe, jak się zwykle uważa. Pięknooka, przyszłaś, żeby przewracać mi kartki z nutami? - zapytał. Jego zaczepny uśmiech przypomniał jej niezliczone szczęśliwe godziny, które spędzili razem w zamku Trevelyan, zanim odkryła, że Julian jest wampirem.

- Mogłabym przysiąc, że grałeś z pamięci.

- Tak było. - Skinął głową w stronę nut leżących na stojaku. - Ale następnego utworu nie znam tak dobrze. Przydałaby mi się jakaś pomocna dłoń... albo dwie. - Przesu-

nał się, robiąc jej miejsce na mahoniowej ławeczce. - Jako moja wieczna oblubienica, nie musisz się przejmować wymogami dziewiczej skromności.

Nie mogąc nie zareagować na jego wyzywające spojrzenie, Portia śmiało weszła do pokoju i usiadła obok. Sięgnęła ręką do nut, nic sobie nie robiąc z bliskości ich ciał.

Kiedy patrzyła, jak czułymi uderzeniami wydobywa z instrumentu dźwięki utworu Beethovena, natychmiast zaczęła sobie wyobrażać, że jego długie palce z równą wprawą wędrują po jej nagim ciele. Ciekawe, jaką pieśń wydobyłby z jej ust? Poczowała, że na jej policzki wpełza rumieniec. Zerknęła z ukosa na Juliana i stwierdziła, że wcale nie patrzy na nuty, tylko na nią.

Palce Juliana znieruchomiały na klawiszach, muzyka urwała się gwałtownie.

- Ojej. Zdaje się, że zostałem zdemaskowany. - Pochylił się i wyszeptał jej prosto do ucha: - Skoro już musisz wiedzieć, zawsze grałem z pamięci. Nawet w zamku. Po prostu bardzo lubiłem, kiedy się do mnie przysuwałaś, żeby przewrócić strony, no i nie mogłem się oprzeć zapachowi twoich włosów.

Natychmiast się od niego odsunęła.

- Julianie Kane, ależ z ciebie niepoprawny nicpoń! - Bardzo się starała zaciskać usta w surowym grymasie dezaprobaty, ale wargi same rozciągały jej się w uśmiechu.

Uszczypnął ją w czubek nosa.

- Tylko kiedy ty jesteś w pobliżu, Portio Cabot.

Tak bardzo chciała mu uwierzyć, że nie zaprotestowała, kiedy, patrząc na jej usta, delikatnie ujął ją za podbródek

i uniósł jej twarz ku sobie. Pochylił głowę i dotknął jej ustami tak delikatnie, jakby to było muśnięcie skrzydeł motyla.

- Wujek Jules! Wujek Jules!

Odskoczyli od siebie i odwrócili się jednocześnie. W drzwiach stała Eloisa. Z bosymi nogami, w poplamionej marmoladą koszulce wyglądała jak umorusany cherubinek. Portia wiedziała, że powinna być jej wdzięczna za to nagłe pojawienie się, ale była zła na siebie, że zostawiła otwarte drzwi.

Zanim którekolwiek z nich zdążyło zareagować, dziewczynka wbiegła do środka i wspięła się na kolana Juliana.

Początkowo wydawał się zaskoczony widokiem nieznanego mu dziecka, podskakującego na jego kolanach, ale zaraz na jego twarzy pojawił się szeroki, radosny uśmiech.

- Ty pewnie jesteś Eloisa! Te oczy poznałbym wszędzie.

- Pytająco spojrzął na Portię. - Ale skąd ona wie, kim jestem?

Portia wzruszyła ramionami z udawaną obojętnością. Wiedziała, że i tak musi powiedzieć prawdę.

- Zdaje się, że pokazywałam jej twój portret w miniaturze, dwa czy trzy... tysiące razy.

Ku jej wielkiej uldze, w tej samej chwili Eloisa pociągnęła wuja za koszulę, domagając się jego uwagi. Ze zmarszczonym nosem mierzyła deprimująco uważnym spojrzeniem jego twarz.

- Czy ona gryzie? - zapytał, spoglądając nerwowo na dziecko.

- Na ogół tylko guziki, frędzle przy poduszkach, sznury pereł, a czasami kocięta. Jednak te ostatnie odpowiadają jej tym samym, co ją nieco zniechęca.

Eloisa pogładziła go po twarzy pulchnymi paluszkami.

- Ładny - zaszcebiotała z uśmiechem, który sprawiał, że na jej okrągłych policzkach ukazywały się śliczne dołeczki.

Portia wybuchnęła śmiechem.

- Nie rób takiej przerażonej miny. To tylko dowód, że żadna istota płci żeńskiej nie może się oprzeć twojemu urokowi.

- Z wyjątkiem ciebie - odparował.

- Eloiso!

Tym razem w drzwiach ukazała się pobladła Caroline, a za nią załamująca ręce niańka dziewczynki. Kiedy Caroline spostrzegła, że córka siedzi na kolanach Juliana, jej twarz zrobiła się jeszcze bledsza.

Przeszła przez pokój i chwyciła Eloisę w ramiona.

- Ellie, jesteś bardzo niegrzeczną dziewczynką - zganiła córkę, zanurzając twarz w jej jasnych lokach. - Bardzo wystraszyłaś mamusię i nianię.

- Wujek Jules! - wysepleniła Eloisa, wyswobadzając rączki z uścisku matki, żeby je wyciągnąć w stronę Juliana.

- Ładny!

- Oczywiście, skarbie. - Matka uśmiechnęła się do niej serdecznie. - A teraz niania położy cię do łóżeczka, zanim zmarzną ci nóżki.

Niechętnie przekazała córkę czekającej obok niańce. Julian patrzył na to, starannie kontrolując wyraz twarzy.

Kiedy niania wyniosła niezadowoloną dziewczynkę z pokoju, odezwała się Portia:

- Pewnie zbudziła ją muzyka. To moja wina, nie Juliana. Zostawiłam otwarte drzwi.

- A ja powinienem znaleźć sobie bardziej stosowną porę

na muzykowanie. Tylko że godziny między zmierzchem a świtem potrafią być takie długie i samotne. - Julian wstał z fortepianu i stanął twarzą w twarz z bratową, uśmiechając się nieco ironicznie. - Caro, naprawdę nie masz się czego obawiać. Taki maleńki kąsek na pewno nie rozbudzi mojego apetytu.

Uklonił się sztywno obu kobietom i wyszedł z pokoju.

Twarz Caroline znieruchomiała, oświetlona blaskiem księżyca.

- Przepraszam, Portio. Kiedy zobaczyłam, że łóżeczko jest puste, pomyślałam...

- Wiem, co sobie pomyślałaś. On też to wie.

Nie mówiąc nic więcej, Portia minęła siostrę i wyszła. Na myśl o długich, samotnych godzinach, które będzie musiała spędzić w pustym łóżku, ogarnął ją smutek i niepokój.



Rozdział
XII

Następnego wieczora Portia stała w głównym holu domu i spoglądała na swoje odbicie w lustrze z taką fascynacją, z jaką przyglądałaby się wyjątkowo pięknemu pająkowi w ogrodzie.

Była zadowolona, że Adrian zabrał żonę i córkę do domu Larkina i Vivienne, żeby zaoszczędzić Caroline widoku młodszej siostry, wyruszającej na taką niebezpieczną misję. Cieszyła się, że nikt z jej rodziny nie może zobaczyć zaskakującej zmiany, jaka zaszła w jej wyglądzie.

Pod grubą warstwą jasnego pudru ukryła naturalne rumieńce na policzkach. Na tle tej białej maski szkarłat uszminekowanych ust i ciemne łuki rzęs jeszcze bardziej rzucały się w oczy. Zgodnie z jej instrukcjami, pokojówka zaczesła jej włosy gładko do góry i spięła je dwoma grzebieniami z macicy perłowej, pozwalając kaskadzie połyskliwych loków opaść swobodnie na plecy. Ta fryzura podkreśliła linię jej czoła i wydatne kości policzkowe, dzięki czemu Portia wyglądała na starszą i bardziej doświadczoną kobietę.

Uderzająca błądź twarzy i dekoltu kontrastowała z połyskliwą suknią z czarnego jedwabiu. Ozdobiony misternymi falbankami gorset o głębokim wycięciu odsłaniał ra-

miona i dużą część piersi, a szyja, na której zawiązała czarną, aksamitną wstążkę, nabrała łabędziej gracji.

Oczy gorączkowo błyszcząły jej z przejęcia i z trudem poznawała samą siebie w lustrze. Co dziwniejsze, nigdy nie wyglądała i nie czuła się bardziej pełna życia.

- Ze śmiercią ci do twarzy, moja droga.

Słyszając niski, męski głos, Portia odwróciła się szybko. Julian stał tuż za nią i przyglądał się jej z wyraźnym zachwytem. Nie mogła się oprzeć i jeszcze raz zerknęła w lustro, które odbijało jedynie jej postać.

Spojrzała na Juliana, starając się nie zwracać uwagi na to, jak przystojnie prezentował się w białej koszuli z żabotem, czarnej jedwabnej kamizelce i dopasowanym surducie. Spodnie w kolorze kości słoniowej opinały jego kształtne biodra. Na nogach miał wysokie buty z czarnej skóry wypolerowane na błysk.

Poprawiła mu nieskazitelnie zawiązany fular, mając nadzieję, że odbierze ten gest jako siostrzany.

- Czy to ty nauczyłeś Wilbury'ego zakradać się niepostrzeżenie i straszyć ludzi niemal na śmierć?

- Daj spokój. To ten chytry, podstępny staruszek nauczył mnie wszystkiego, co umiem.

- Wszystko słyszałem! - usłyszeli drżący głos z sąsiedniego pokoju.

Portia potrząsnęła głową i znów spojrzała w lustro.

- Wydaje mi się, że ten styl bardzo do mnie pasuje. Może noszę w sobie naturalną skłonność do zła?

- Od dawna to podejrzewałem - odrzekł rozbawiony Julian.

Zawinęła pasmo włosów wokół palca.

- Po prostu jesteś zazdrosny, bo nie możesz zobaczyć własnego odbicia. Zanim stałeś się wampirem, na pewno spędzałeś całe godziny przed lustrem.

- Kiedy cię poznałem, już nie potrzebowałem lustra. Patrząc w twoje oczy, widziałem wszystko, co chciałem o sobie wiedzieć.

Zaskoczona Portia spojrzała tam, gdzie powinno znajdować się jego odbicie. Gdy zebrała myśli i odwróciła się, Julian jak gdyby nigdy nic sięgnął do kieszeni i wyjął z niej szklany flakonik z perfumami.

- Domyślam się, że nie jest to woda święcona - oznajmiła Portia, patrząc, jak Julian odkorkowuje buteleczkę. W nozdrza uderzyła ją ostra woń orchidei. Zapach był tak silny i zmysłowy, że zakreśliło jej się w głowie.

- To powinno pomóc stłumić twój własny zapach. - Przechylił flakonik i wylał sobie kroplę perfum na palec. - Wampiry doskonale wyczuwają zapach ludzkiego ciała.

- A jak ja pachnę? - zapytała.

Spuściwszy powieki, dotknął zwilżonym perfumami palcem zagłębienia u podstawy jej szyi.

- Pachniesz jak świeża bułeczka z jagodami, prosto z pieca, tak słodka i chrupiąca, że już nie można się doczekać, żeby wbić w nią zęby. - Szybkim ruchem uperfumował ją za uszami. - Pachniesz jak płatki rozkwitłej róży, rozgrzane w słońcu. - Jednym palcem śmiało nałożył kroplę perfum w zagłębienie między jej piersiami. Nozdrza mu się rozszerzyły, jakby nawet przez ich silną woń wyczuwał naturalny zapach Portii. - Pachniesz jak kobieta... - spojrzał jej prosto w oczy - która potrzebuje mężczyzny.

W tej chwili Portia najbardziej potrzebowała powietrza,

ponieważ na chwilę zapomniała o oddychaniu. Zanim zdążyła chwycić oddech, Julian odsunął się, żeby wziąć z rąk czekającego obok lokaja jej podbitą futrem z norek pelerynę. Portia cieszyła się, że służba w domu Adriana jest dobrze opłacana, zarówno za wykonywanie obowiązków, jak i za całkowitą dyskrecję.

Julian narzucił jej pelerynę na ramiona i zręcznie zapiął pod szyją.

- Jeśli mamy być dziś przekonującą parą, musisz patrzeć na mnie z uwielbieniem. - Spojrzał na nią trochę kpiąco.

- O ile pamiętam, kiedyś bardzo dobrze ci to wychodziło.

- Postaram się udawać sama przed sobą, że jesteś wyjątkowo smacznym ciastkiem. - Westchnęła tęsknie. - Uwielbiam takie z kremem.

- Czy to znaczy, że będziesz próbowała mnie ugryźć, zanim ta noc dobiegnie końca?

Spojrzała na niego i odsłoniła zęby.

Przyjrzał się im krytycznym wzrokiem.

- Wiem, że będzie to dla ciebie bardzo trudne, ale staraj się dziś trzymać zamknięte usta.

Znów wyszczerzyła zęby, sycząc przy tym ze złością.

- O, to wygląda o wiele bardziej przekonująco. - Podał jej ramię. - Czy możemy już iść? Pierwszą rzeczą, jakiej musi zapamiętać wampir, jest to, żeby nie marnować ani chwili nocy.

Portia wsunęła dłonie głębiej w mufkę i ukradkiem zerknęła na Juliana. Jego dobry humor gdzieś zniknął. Z każdym obrotem kół powozu wydawał się coraz odleglejszy. Choć ich kolana stykały się za każdym razem, kiedy powóz podskakiwał na wybojach, wydawał się nie zwracać na to

uwagi. Spoglądał przez okno na oszronione pole, lśniące w świetle księżyca, a jego władczy profil przypominał jej, że noc jest jego domeną, a ona w nią wkracza na własne ryzyko.

Kiedy powóz się zatrzymał, atmosfera między nimi była tak napięta, że Portia niemal z radością przyjęła pojawienie się stajennego, który otworzył im drzwi powozu.

- Zostaw nas - polecił Julian, zatraskując zaskoczonemu służącemu drzwi przed nosem.

Lampa we wnętrzu powozu rzucała złowrogi cień na jego twarz.

- Obawiam się, że nie byłem z tobą całkiem szczery - oznajmił Portii.

- Chyba żartujesz! - zawołała, chwytając się za serce w symulowanym przerażeniu. Poczowała, że serce zaczęło jej bić dwa razy szybciej.

Nie zwrócił uwagi na jej sarkastyczny ton.

- Jest coś, co powinnaś wiedzieć, zanim tam wejdziemy. Chociaż wampiry uwielbiają wprowadzać chaos w życie śmiertelników, w swoim towarzystwie przestrzegają ścisłej hierarchii. - Chwycił ją za rękę i opuszkami kciuka zaczął delikatnie gładzić wnętrze jej dłoni, jakby chciał złagodzić brzmienie swoich słów. - Jeśli chcemy, żeby uwierzyli, że dobrowolnie oddałaś mi duszę, nie mogą odgrywać roli jedynie twojego kochanka. Dzisiaj wieczorem będę twoim panem.

Słyszając te słowa, poczuła dreszczyk podniecenia. Wyobraziła sobie prowokujący obraz siebie klęczącej u jego stóp, z radością poddającej się jego woli i słuchającej każdego rozkazu. Była pewna, że wypełnianie jego żądań i jej przyniosłoby niewysłowioną przyjemność.

Przerażona własną wybujałą wyobraźnią, powiedziała:

- Czy to znaczy, że mam się do ciebie zwracać „wasza wysokość” albo „najwspanialszy i najłaskawszy władco mojego wszechświata”?

Uśmiechnął się lekko.

- „Mój panie” powinno wystarczyć. Obawiam się jednak, że wampiry będą potrzebować bardziej widocznej oznaki twojego... poddania. - Wypuścił jej dłoń, sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął szeroką, złotą obręcz z długim łańcuchem.

Zmarszczyła brwi.

- Hm, to chyba za duże na moją rękę.

- Owszem, ale ma pasować nie na rękę, tylko na szyję.

Patrzyła z niedowierzaniem.

- Oczekujesz, że będę nosiła obrozę? Jak jeden z królewskich piesków?

- Spróbuj nie myśleć o tym jak o obroży. Wyobraź sobie, że to jest...

Sceptycznie uniosła brew.

- Łańcuch i kula u nogi?

Jego cierpliwość była na wyczerpaniu.

- Nawet jeśli, to prawie niczym się nie różni od łańcucha, który krępuje większość par zwykłych śmiertelników.

- Dobrze wiedzieć, że masz taki romantyczny pogląd na małżeństwo.

Z rezygnacją przeczesał palcami włosy.

- Może potraktuj to jako coś w rodzaju wampirzego pasa cnoty? Dopóki będziesz to nosić i tylko ja będę miał klucz, żaden inny wampir nie dobierze się do twojej szyi.

- O, to jest dla mnie wspaniałe pocieszenie. - Złożyła ramiona na piersi. - Czy to nie ty mówiłeś mi, że są inne miejsca na ciele, z których wampiry mogą pić krew? Na

przykład ta mała, soczysta żyłka na kobiecym udzie, tuż pod...

Julian uciszył ją, przykładając jej dwa palce do ust. Jego spojrzenie świadczyło o tym, że jeśli powie jeszcze słowo, dużo zaryzykuje. Przez chwilę patrzyła na niego gniewnie, ale potem zdjęła z szyi aksamitną wstążkę. Odwróciła się do niego plecami i uniosła włosy, odsłaniając kark.

Julian nie wykonał żadnego ruchu i przez chwilę miała wrażenie, że wymknął się z powozu, korzystając z tego, że siedzi odwrócona. Zerknęła przez ramię i zobaczyła, że przygląda się jej szyi. Twarz miał nieruchomą i zaciętą, ale w oczach błyszczała czuła tęsknota. Zrozumiała, że ta trudna dla niej eskapada dla niego jest jeszcze trudniejsza.

Odwróciła twarz i drżąc wciągnęła powietrze, niemal się spodziewając, że poczuje na karku aksamitny dotyk jego ust... a zaraz potem ostre zęby przebiją jej delikatną skórę. Ale Julian tylko zapiął złotą obręcz wokół jej szyi.

Kiedy opuściła włosy i odwróciła się ku niemu, spostrzegła, że wsuwa maleńki złoty kluczyk do kieszeni kamizelki.

- Zawsze masz to przy sobie? - zapytała. - Na wypadek gdybyś niespodziewanie spotkał kobietę, z której miałbyś ochotę uczynić swoją niewolnicę?

Spojrzał na nią ponuro.

- Zdobyłem ją dzisiaj, tuż po zachodzie słońca. Zdziwiłaś się, co można kupić od chińskich handlarzy w dokach.

Dotknęła swojego nowego klejnotu. Chociaż złota blacha, z której wykonano obręcz, była cienka i delikatna jak pergamin, ciążyła niczym ołów. Zwłaszcza kiedy Julian wziął łańcuch i okręcił sobie jego koniec wokół nadgarstka.

- Gotowa? - spytał łagodnie.

- Tak, panie - odrzekła, patrząc na niego ponuro.

Spojrzał na nią uważnie.

- W tej chwili twoje spojrzenie wcale nie wygląda na pełne uwielbienia.

Zatrzepotała rzęsami i popatrzyła na niego cielejącym wzrokiem.

- Teraz natomiast wyglądasz tak, jakbyś dostała mdłości.

- Bo chyba tak jest - wymamrotała. Julian otworzył drzwi od powozu i podał jej ramię.

Nie mogła mu powiedzieć, że obroża i łańcuch wydały jej się widocznym dowodem na to, co, chociaż niewidzialne, złączyło jej serce z jego sercem w chwili, w której pierwszy raz ujrzała go w salonie jego brata, kiedy recytował poezję Byrona. I chociaż dziewczęce fantazje bywają bardzo ryzykowne, teraz wiedziała, że kobiece pragnienia potrafią być dwa razy bardziej niebezpieczne.

Chillingsworth Manor, olbrzymia, podupadająca budowla z kamienia, majaczyła w ciemnościach nocy. Sądząc z rozmiarów zniszczeń, majątek rodzinny byłych właścicieli zaczął topnieć już długo przed tym, jak jakiś daleki krewny przegrał rodową siedzibę, grając po pijanemu w karty z wampirem.

Postrzępione chmury co chwila przesłaniały tarczę księżyca, jednak w pewnej chwili rozstały się na tak długo, że na nocnym niebie można było dostrzec rząd kominów, przypominających krzywe zęby starca. Wszystkie okna domu przesłonięto czarną krepa, co sprawiało, że wyglądał tak, jakby pograżył się w żałobie, opłakiwał utracony splendor i chciał obudzić wyrzuty sumienia w tych, którzy w swojej

głupocie przyczynili się do jego upadku. Już na pierwszy rzut oka wydawał się doskonałą siedzibą dla sfory nieumarłych.

Kiedy Julian prowadził Portię pod drzwi wejściowe, skraj jej peleryny stale zaczepiał o pokryte szronem chwasty, wyrastające między kamieniami, którymi wybrukowano podjazd.

- Muszę cię ostrzec, że wampiry nie zawsze porozumiewają się tak samo jak ludzie - oznajmił Julian. - Warczenie, syki i lekkie ugryzienia to całkiem normalny sposób okazywania uczuć partnerowi.

- Jakie to słodkie - wymamrotała, jeszcze mocniej przywierając do jego ramienia. - Zupełnie jak zwierzęta.

Dotarli już niemal do drzwi, kiedy Julian zatrzymał się gwałtownie.

- Od tej chwili powinnaś iść kilka kroków za mną - poradził.

Przez chwilę patrzyła na niego chłodno, ale zaraz odrzekła przymilnym, melodyjnym głosem:

- Jak sobie życzysz, mój panie.

Jego usta rozciągnął diaboliczny uśmiech.

- O, do takiego tonu mógłbym się łatwo przyzwycząić.

- Lepiej tego nie rób - ostrzegła go.

Zrobił kilka kroków, ona jednak nadal stała w miejscu, dopóki nie pociągnął za łańcuch. Z westchnieniem ruszyła przed siebie, zachowując odpowiedni dystans.

Kiedy pchnął frontowe drzwi, uchyliły się z głośnym skrzypieniem. Przeszedł przez próg i natychmiast pochłonał go mrok, więc Portia przyspieszyła kroku, nagle czując się bardzo nieswojo bez jego obecności tuż przy swoim boku. Podążając za nim, szeroko otwierała oczy i czekała, aż wzrok przyzwyczai się do ciemności.

Omali nie krzyknęła na głos, kiedy nie wiadomo skąd pojawił się jakiś osobnik o pustym spojrzeniu, żeby odebrać od niej mufkę i pelerynę.

- Nie wiedziałam, że wampiry miewają lokajów - szepnęła, kiedy odszedł, głaszcząc jej mufkę z norek, jakby to był kot.

- Nie miewają - odrzekł Julian, również szeptem.

Portia otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale w tej samej chwili osobnik szybkim ruchem zarzucił sobie pelerynę na kościste ramiona, wybiegł z domu i zniknął w ciemnościach.

Julian przeprowadził ją przez łukowato sklepione wejście do długiej, wąskiej sali, która zapewne kiedyś służyła jako sala balowa. Portia objęła ramiona dłońmi, mając nadzieję, że w słabym świetle nikt nie zobaczy jej gęsiej skórki, która mogłaby ją zdradzić.

Przysunęła się bliżej do Juliana i szepnęła:

- Widzę, że jak na istoty, które można zniszczyć ogniem, wampiry mają niezwykłą słabość do świec.

Dziesiątki woskowych świec oświetlało wielką komnatę. Płomienie tańczyły w niewidocznym przeciągu i rzucały drżące cienie na trzydziestu czy czterdziestu gości. Zaskoczona Portia stwierdziła, że większość wampirów po prostu stoi i gawędzi między sobą. Inni zgromadzili się wokół stołów, przy których grano w karty. Widać było, że wielu jest znudzonych i sobą, i tym przyjęciem. Na drugim końcu sali zobaczyła szerokie, marmurowe schody prowadzące na galerię otaczającą całą komnatę.

Cztery wampiry, najwyraźniej kwartet muzyczny, siedziały na krzesłach w rogu sali i stroiły instrumenty. Jeden wyjątkowo bład gość o orlim nosie, z dołkiem w podbródku

i ze starannie zakręconym lokiem opadającym na czoło, stał z jedną stopą opartą o zakurzone palenisko kominka, zabawiając swoich towarzyszy recytacją. Jego dźwięczny głos rozbrzmiewał w całym pomieszczeniu:

Choć dla miłości ciemność trwa
I nazbyt wczesnie wstaje świt,
Już się spacerów skończył czas,
Księżycą prysnął mit.*

Portia potknęła się i wpadła na plecy Juliana.

- Czy jest lord B... B... B...

- Cześć, Georgie! - zawołał Julian.

Kiedy wampir odpowiedział na jego pozdrowienie zniechęcającym ruchem dłoni, oczy Portii rozszerzyły się ze zdumienia.

- Chcesz powiedzieć, że te wszystkie plotki były prawdą? Lord Byron to rzeczywiście w... w... w...

- Wierszokleta? Nudny i zakochany w sobie? Tak, obawiam się, że to prawda. I chociaż trudno uwierzyć, że to możliwe, po śmierci jest jeszcze nudniejszy niż za życia. Wyobraź sobie, co to musi być za męka, słuchać takich bzdur przez całą wieczność. Od razu ma się ochotę przebić serce kołkiem. Sobie albo jemu.

Potrząsając z niesmakiem głową, Julian przepchnął się przez otaczający Byrona zasłuchany tłumek. Portia stała, gapiąc się na legendarnego poetę, dopóki Julian znacząco nie pociągnął za łańcuch.

Podbiegając do niego, żeby nie zostać za bardzo w tyle, wymamrotała:

- Muszę przyznać, że nie tak sobie wyobrażałam to przyjęcie. Spodziewałam się jakiejś wyuzdanej zabawy, w której składa się ofiary z dziewic i kociąt na zalanym krwią ołtarzu.

Odwrócił się i spojrzał jej prosto w oczy. Głos miał drżący z emocji.

- Dziwi mnie ten ton rozczarowania. Wampiry wcale nie mają monopolu na zło. Jeśli chcesz zobaczyć czyny naprawdę zasługujące na wieczne potępienie, wstąp do armii Jego Królewskiej Mości albo odwiedź jedną ze spelunek przy Pall Mail, gdzie niewinne dziewice są regularnie składane na ołtarzu pożądania pozbawionych skrupułów bogaczy o kamiennych sercach. Wampiry niszczą i zabijają, żeby przetrwać. Śmiertelnicy często robią to wyłącznie dla przyjemności.

Cofnęła się o krok, wytrącona z równowagi siłą energii, jaka zabrzmiała w jego słowach.

- Kłótnia kochanków? - Melodyjny głos spłynął na nich niczym płynny jedwab.

Jakiś wampir wyłonił się z cienia i stanął obok nich. Miał na sobie strój sprzed wieku - spodnie do kolan i ciemnoniebieski kaftan *a la francaise* o błyszczących złotych zapinkach i rozkloszowanej baskince. Eleganckie, koronkowe falbany zdobiły kołnierz i rękawy. Nie nosił pudrowanej peruki, ale jedwabiste, złote włosy związał na karku aksamitną wstążką. Jego anielskie rysy i niebieskie oczy wyglądałyby doskonale na fresku we florenckiej katedrze.

Julian skłonił mu się głęboko.

- Moja droga, to jest Rafael, gospodarz dzisiejszego przy-

jęcia. Był tak miły, że ugościł mnie pod swoim dachem, kiedy wróciłem z kontynentu.

- Ma pan piękny dom - odezwała się Portia niepewnie, starając się nie patrzeć na postrzępione jedwabne kotary, na zwisające pod świecznikami sople z wosku, pajęczyny spowijające kryształowe żyrandole, na zeschnięte liście zaścielające podłogę, ani na wróble, fruujące między belkami pod sufitem, i na potłuczone lustra, wiszące między oknami.

- Teraz jest jeszcze piękniejszy, kiedy zaszczyliła go pani swoją obecnością. - Rafael wziął ją za rękę i uniósł do ust. Nie pocałował jednak jej grzbietu, tylko przysunął usta do wrażliwej skóry po wewnętrznej stronie nadgarstka. Kątem oka Portia spostrzegła, że Julian z niezadowoleniem zaciska usta.

- Dziękuję - odparła krótko, obdarzając go bladym uśmiechem. Kiedy poczuła dotyk jego kła, szybko wyrwała dłoń, bojąc się, że wyczuje jej szybko bijący puls.

Spojrzał na nią z troską.

- Wygląda pani trochę blado. Czy mogę zaproponować coś do zjedzenia?

Przełknęła ślinę, ale zanim zdołała wydusić z siebie odpowiedź, Julian objął ją ramieniem w talii.

- To nie będzie konieczne. Zjedliśmy kolację przed przyjazdem tutaj.

Rafael nie odrywał od niej wzroku. Jego spojrzenie nie było już tak życzliwe.

- Nigdy nie zapominał pięknej twarzy i przysięgłbym, że już kiedyś panią widziałem.

Julian rozejrzał się ukradkiem, jakby sprawdzał, czy nikt nie podsłuchuje ich rozmowy, potem nachylił się i wyszeptał coś Rafaelowi prosto do ucha.

- Nie! - wykrzyknął wampir. Niebieskie oczy rozszerzyły mu się ze zdumienia.

- Ależ tak - odparł Julian na tyle głośno, że słyszały go wampiry zgromadzone przy stoliku karcianym w rogu.
- I możesz sobie wyobrazić rozpacz mojego brata, kiedy z własnej woli oddała mi ciało i duszę.

Rafael z uradowaną miną klasnął w wypięlgnowane dłonie.

- Wykradłeś ją sprzed nosa łowcy wampirów, tak? Co za wspaniały wyczyn! Będzie o tobie głośno we wszystkich wampirzych sforach w Anglii.

Julian skromnie pochylił głowę.

Wzrok Rafaela spoczął na widocznych w głęboko wyciętym dekolcie jasnych piersiach Portii.

- Mając na uwadze jej pochodzenie, skąd możesz mieć pewność, że nie ukryła gdzieś kołka albo krucyfiksu?

- Och, zapewniam cię, że bardzo dokładnie ją przeszukałem. Jeśli ktoś dzisiaj ma tu kogoś przebić, to raczej ja ją.

- Pogładził ją po szyi tuż nad obrozą, a Portia miała nadzieję, że puder ukryje ciemny rumieniec, który wykwitł jej na policzkach.

Rafael uśmiechnął się i połaskotał ją pod brodą niczym małego pieska.

- Jest bardzo milcząca, prawda? Uwielbiam, kiedy kobieta wie, że usta powinna trzymać zamknięte, a nogi rozstawione.

Portia rzuciła się w jego stronę, a jej zęby niemal dosięgły jego palca. Odskokzył zaskoczony.

Julian owinał sobie koniec łańcucha wokół nadgarstka i przyciągnął ją mocno do siebie, aż stanęli oko w oko.

- Zachowuj się przyzwoicie - wysyczał, obnażając kły.
- Bo inaczej będę musiał cię ukarać na oczach wszystkich gości, a tego bym nie chciał.

Portia zapomniała, jak to jest być skazanym na łaskę i niełaskę silnego mężczyzny. Zanim zdołała się opanować, z jej ust wydobył się gardłowy pomruk. Napięcie, które się między nimi wytworzyło, było silniejsze niż błyskawica. Czowała, że każdy fragment jej ciała budzi się do życia, a krew zaczyna szybciej pulsować w żyłach. Nagle wydało jej się, że są sami w tej wielkiej sali, a może nawet na całym świecie.

Nie wiedziała, co by się stało, gdyby w tej samej chwili muzycy nie zaczęli grać.

Kilka par z ochotą ruszyło na parkiet, a Julian wolno poluzował łańcuch.

- Zatańczymy?
- Jak sobie życzysz, mój panie - odrzekła, spuszczać powieki, żeby ukryć buntownicze spojrzenie.

Władczym gestem położył jej dłoń na karku i porwał do walca. Rafael i reszta zgromadzonych wokół świadków zdarzenia patrzyła na tę scenę z niemałą fascynacją.

Kiedy wirowali po parkiecie w takt jednego z weselszych utworów Mozarta, Portia trzymała się tak sztywno, jak tylko pozwalał jej mocny uścisk ramion Juliana.

- Jak mogłeś pozwolić, żeby mówił mi takie okropne rzeczy?

- Czego się spodziewałaś? Że wyzwę go na pojedynek na śmierć i życie?

- A jak ty mogłeś powiedzieć coś tak strasznego? Nie przypuszczałam, że tak przekonująco odegrasz swoją rolę łajdaka.

- Ja? A co powiesz o sobie? Przecież ja jestem łajdakiem. Ty natomiast od kilku minut tylko udajesz czarny charakter, a już chciałaś komuś odgryźć palec i warczysz jak wściekły wilkołak.

Odrzuciła głowę w tył, aż zafalowała kaskada loków, opadająca jej na plecy.

- Myślałam, że wy, wampiry, lubicie takie kobiety.

Przyciągnął ją bliżej do siebie - tak blisko, że nie mogła nie zauważyć oznak jego podniecenia - i powiedział jej ochryple do ucha:

- Owszem, lubimy.

Stanowczo przeprowadził ją przez następne figury tańca, tak że nie miała wyboru i musiała mu ulec. Tamtej nocy, kiedy porwał ją Duvalier, śniła właśnie o takim tańcu w jego ramionach. W swojej naiwności wierzyła wtedy, że taki taniec może doprowadzić do wymiany czułych słówek albo nawet do skromnego pocałunku w świetle księżyca. Nie podejrzewała nawet, że w tańcu można się tak zapomnieć i poddać nieodpartej pokusie ruszenia w taniec jeszcze bardziej niebezpieczny, taki, który od początku dziejów dostarczał kobietom rozkoszy, ale też przywodził je do zguby.

Uniosła głowę i śmiało spojrzała mu w oczy. Z każdym krokiem nabierała większej pewności siebie. Może byli do siebie bardziej podobni, niż przypuszczali. Oboje lubili ryzykowną grę i przypływ adrenaliny, który przyprawia o zawrót głowy, kiedy się czuje, że nasz los, choć niepewny, spoczywa w naszych rękach.

- Powinniśmy niedługo stąd wyjść - powiedział cicho, zbliżając usta do jej ucha. - Rafael to okropny plotkarz, nie zna dyskrecji. Podobno to właśnie on powiadomił Henryka

VIII, że Anna Boleyn zabawia się z czterema kochankami, którzy zawiązali spisek w celu pozbawienia go tronu. Oczywiście nie była to prawda, ale za te plotki nieszczęsna Anna zapłaciła głową.

Kiedy się wyprostował, Portia powędrowała wzrokiem za jego spojrzeniem. Pan domu krążył między grupkami gości, z zapałem przekazując dalej to, czego się właśnie dowiedział. Wysłuchawszy jego opowieści, mężczyźni uśmiechali się lubieżnie, a kobiety zaczynały szeptać między sobą, skrywając twarze za wachlarzami. Najwyraźniej wampiry uwielbiały plotki i skandale równie mocno jak śmiertelnicy. Wkrótce wszystkie oczy na sali zwróciły się w ich stronę. Portia nie potrzebowała lustra, żeby wiedzieć, jak piękną tworzą parę.

Oczy Juliana lśniły triumfalnie.

- Sądzę, że nasza misja przebiegła wyjątkowo pomyślnie. Zanim słońce wzejdzie, Valentine będzie już wiedziała o naszym niecnym związku.

Nagle przez salę przeleciał silny powiew wiatru, niosąc przed sobą wir suchych liści. Portia spojrzała ponad ramieniem Juliana. Dobrze, że miała na policzkach grubą warstwę pudru, ponieważ dzięki temu nikt nie zauważył, jak nagle pobladła. Czuła, że z twarzy odpływa jej ostatnia kropla krwi.

- Coś mi mówi, że nie będziesz musiał czekać do wschodu słońca.

Kiedy zamilkła muzyka, a tancerze znieruchomieli, zatrzymani w pół kroku, Julian odwrócił się i na szczycie schodów zobaczył swoją dawną kochankę.

Rozdział XIII

Diabli nadali - syknął Julian.
Valentine szybko zeszła po schodach. Ze srebrzysto-blond włosami, upiętymi na czubku głowy i w śnieżnobiałej sukni, której tren płynął za nią po podłodze, wyglądała jak anioł.

- Cóż, przecież chcieliśmy ją znaleźć, prawda? - szepnęła słabym głosem Portia.

- Ale nie tutaj, na jej gruncie, gdzie na dodatek jesteśmy w mniejszości. - Obejrzał się i oszacował odległość do drzwi. - Muszę cię stąd zabrać.

Valentine sunęła przez tłum gości, którzy na widok jej chłodnej, wyniosłej postawy rozstępowali się bez słowa. Portia starała się zapomnieć o niespotykanej urodzie tej kobiety, ale teraz, kiedy widziała ją idącą w ich stronę, w ozdobionych drogimi kamieniami pantofelkach, które ledwie dotykały marmurowej posadzki, czuła się tak, jakby nagle zamieniła się w brzydkiego, przysadzistego gнома.

Valentine zatrzymała się tuż przed nimi, kocim wzrokiem spoglądając to na obrożę, to na łańcuch.

- A cóż to takiego, *mon cher*? - zapytała, mierząc Portię wzgardliwym spojrzeniem. - Propozycja zawarcia pokoju? Znudzili ci się już wdzięki tego kociaka i jednak postanowiłeś mi ją podarować?

- Obawiam się, że nie - odrzekł Julian, owijając sobie łańcuch wokół zaciśniętej w pięść dłoni i przyciągając Portię bliżej. - Wręcz przeciwnie. Zdecydowałem, że zachowam ją dla siebie.

Valentine wdzięcznie ściągnęła wydatne, czerwone usta.

- Dlaczego jesteś taki chciwy? Gdybym to ja złowiła takie śliczne stworzenie, podzieliłabym się z tobą.

Julian prychnął z powątpiewaniem.

- Gdybyś ty złowiła takie śliczne stworzenie, nie zostało by z niego nic, czym by się można podzielić.

Niski śmiech Valentine sprawił, że Portia poczuła na karku zimny dreszcz.

- Dobrze mnie znasz, najdroższy. Po co więc tu dzisiaj przyszedłeś? Żeby mnie błagać o wybaczenie za to, jak się zachowałeś, kiedy spotkaliśmy się ostatnim razem?

- Szczerze mówiąc, nie spodziewałem się, że cię tu dzisiaj spotkam. Przecież zawsze uważałaś się za coś lepszego niż... to. - Julian lekko wzruszył ramionami, dając do zrozumienia, że ma na myśli Rafaela i zbieraninę wampirów, których gościł. Większość przysłuchiwała się ich rozmowie z niepokojącą mieszaniną wrogości i satysfakcji.

Valentine westchnęła.

- Skoro już musisz wiedzieć, bez ciebie noce stały się nieznośnie długie i bardzo się nudzę. Rafael trzyma na górze paru przystojnych służących, przykutych łańcuchami do ściany. Z radością pomagają mi mile spędzić noc i zabić nudę.

Portia nie mogła się oprzeć i zerknęła na minę Juliana, ale na jego twarzy nie odbijały się żadne uczucia, jakby był posąg z marmuru.

- Jeśli chcesz, mogą zająć się twoim kociakiem przez resztę nocy, a my tymczasem odnowimy naszą znajomość.

Portia przysunęła się bliżej do Juliana, a on nakazał jej spojrzaniem, żeby się nie odzywała.

- Mój „kociak” ma imię. A może już zapomniałaś?

- Zaraz, zaraz... Jak to było? Penelope? Prudence? Prunella?

- A może Portia? - podsunął jej uprzejmie Julian.

- Ach, rzeczywiście. Portia. - Uśmiechnęła się drwiąco.

- Nazywa się Portia. I jest sentymentalną pamiątką twojej zmarnowanej młodości. Mam szczerą nadzieję, że już się nią nasyciłeś. Sądząc po jej bladej cerze, niedługo wyssiesz z niej wszystkie soki. - Siostrzanym gestem poklepała Portię po ramieniu. - Szczerze ci współczuję, kochana. Wiem, jak trudno zaspokoić apetyt Juliana. Na dodatek zwykle ma apetyt na wiele rzeczy jednocześnie.

Ten złośliwy komentarz zdenerwował Portię. Mocno zagryzła dolną wargę i przez chwilę obawiała się, że ją sobie rozkrwawi i zdradzi się.

Julian tylko się roześmiał.

- Nie musisz się o nią martwić. Zapewniam cię, że ona również ma niezły apetyt i też na wiele rzeczy jednocześnie.

Tym razem Valentine miała przerażoną minę.

- No chyba nie... Czyżbyś chciał mi powiedzieć, że...

- Zgadza się - potwierdził jej domysły. Uśmiechnął się tak lodowato, że Portia spodziewała się zobaczyć szron na jego wargach. - Teraz jest jedną z nas. - Władczym gestem objął jej talię ramieniem i przyciągnął do siebie.

- I należy do mnie.

Nie była przygotowana na to, że jego słowa obudzą w niej

take pierwotne instynkty. Przez jedną niebezpieczną chwilę niemal wierzyła, że słowa Juliana płyną prosto z serca.

Valentine potrząsnęła głową, najwyraźniej oburzona tymi wiadomościami.

- Dlaczego postąpiłeś tak niemądrze? Dotychczas jeszcze nigdy nie odebrałeś duszy żadnemu śmiertelnikowi.

Julian pieszczotliwie pogładził wierzchem dłoni policzek Portii.

- Może dotychczas nie spotkałem duszy, która byłaby tego warta. Tak odważnej, czulej i słodkiej jak ta. Jaki człowiek czy wampir nie chciałby spędzić całej wieczności w jej ramionach? - Odsunął jej włosy na bok i przycisnął usta do wrażliwego miejsca tuż za uchem, wywołując rozkoszne dreszcze w całym jej ciele. Nie musiała udawać jęku satysfakcji. - Albo w jej łóżku? - dokończył Julian.

Valentine prychnęła, tracąc swoje zwykłe opanowanie. Przez krótki moment Portii było jej prawie żal.

- Być może jest czuła i słodka, ale nigdy nie zadowolili cię tak jak ja - odparła Valentine nieprzyjemnym głosem. - Czy była kochanką królów i cesarzy? Czy spędziła rok życia w haremie sułtana, ucząc się tysiąca sposobów zapewniania przyjemności mężczyźnie?

- Ja jestem jedynym mężczyzną, któremu będzie musiała dawać przyjemność. I zapewniam cię, że doskonale da sobie z tym radę. - Odwrócił się plecami do Valentine i lekko pociągnął za łańcuch. - Chodź, kochanie. Wyjdźmy stąd, póki noc jeszcze młoda.

Byli w połowie drogi do drzwi, kiedy w sali balowej rozległ się przeraźliwy krzyk.

- Ona nie może cię zabrać. To ja cię ocaliłam przed stosem w Paryżu! Należysz do mnie!

Portia zatrzymała się i odwróciła tak szybko, że wyrwała Julianowi łańcuch z ręki. Zanim zdążył go znów chwycić, dziewczyna wróciła do Valentine. Kiedy zatrzymała się przed nią, kilka przyglądających się temu wszystkiemu wampirów pospiesznie cofnęło się o parę kroków.

- Nie obchodzi mnie, ilu sułtanów obsłużyłaś i którego króla byłaś kochanicą - zaczęła Portia. - Być może znasz tysiąc sposobów zaspokajania mężczyzny, ale ja mogę dać Julianowi coś, czego ty nigdy nie będziesz mu mogła dać.

Valentine spoglądała na nią z pogardą.

- A cóż to takiego?

- Miłość. Ocaliłaś go przed stosem, ale to moja miłość utrzymała go przy życiu, kiedy wiele lat temu Duvalier chciał go zniszczyć. A to znaczy, że najpierw był mój. I nadal należy do mnie. Być może masz jego duszę. - Przysunęła się bliżej i rzuciła wampirzycy prosto w twarz: - Ale ja jego serce, i to na zawsze.

Chociaż Portii wydawało się niemożliwe, żeby alabastrowa cera Valentine jeszcze bardziej pobladła, tak jednak się stało. Wampirzyca z okrzykiem wściekłości wyjęła zza paska małą, szklaną buteleczkę i chlusnęła jej zawartością w oczy Portii.

Portia krzyknęła i zakryła twarz rękami. Usłyszała przerażone okrzyki i zawodzenia wampirów, więc niemal się spodziewała, że jej ciało zacznie skwierczeć i palić się. Ale kiedy poczuła jedynie lekkie pieczenie, opuściła ręce i zamrugała powiekami.

Z niedowierzaniem spojrzała na Valentine. Ogarnęła ją tak wielka ulga, że nie potrafiła stłumić wybuchu śmiechu.

- Nie rozumiem, o co tyle krzyku. Przecież to tylko woda!

Już po ułamku sekundy zdała sobie sprawę, co zrobiła. Nigdy jeszcze wyrażenie „martwa cisza” nie wydawało jej się stosowniejsze. Rozejrzała się szybko wokół. Wszędzie widziała wrogie spojrzenia zmrużonych oczu i przerażający błysk długich kłów. Spojrzała pytająco na Rafaela, ale gospodarz odpowiedział jej tylko węzowym sykiem.

Potem zaczęło się prawdziwe zamieszanie.

- Oszukał nas!

- To zwykła śmiertelniczka!

- Od samego początku mi się wydawało, że czuję zapach świeżego ciała.

- Nie mogę się doczekać, kiedy wbiję w nią zęby!

- Zaczekasz na swoją kolej, jak wszyscy inni!

Wampiry otaczały ją coraz ciasniejszym kręgiem, którego nawet Julian nie mógł przebić. A na ich czele stała Valentine. Jej zielone oczy płonęły, wydatne rubinowe usta wykrzywiały triumfalny uśmiech.

- Portia! Woda! - krzyknął Julian.

Nie rozumiejąc, o co mu chodzi, spojrzała na swoje mokre ręce. Nagle ją olśniło. Otrząsnęła się niczym pies, rozpraszając wokół krople święconej wody.

Valentine i inne wampiry cofnęły się z krzykiem, osłaniając oczy i twarze rękami. Powietrze wypełnił odór palonego ciała.

To zamieszanie wystarczyło Julianowi. Jednym skokiem przedarł się przez tłum spanikowanych wampirów i wziął

Portię na ręce. Krzyknęła i instynktownie zarzuciła mu ramiona na szyję, a on ugiął kolana, wybił się mocno do skoku i wylądował wysoko, na otaczającej salę galerii.

Z dołu dobiegały ich pełne furii okrzyki i przekleństwa.

Julian wyprostował się, gorączkowo szukając drogi ucieczki.

Portia podażyła za jego wzrokiem ku witrażowemu oknu w przeciwległym końcu galerii i ze zdumienia otworzyła usta.

- Chyba nie zamierzasz... Wiesz przecież, że nie potrafię się zmienić w nietoperza.

- Mam nadzieję, że nie będziesz musiała - odrzekł ponuro. - Trzymaj się mnie z całych sił, jakby od tego zależało twoje życie. Co zresztą może okazać się prawdą.

Nie zostawiając jej w tej sprawie większego wyboru, zerwał się do biegu. Mknął ku oknu, sadząc długie susy. Ciche jęki Portii zmieniły się w głośne zawodzenie. Zaciśnięła powieki i ukryła twarz na jego szyi dokładnie w chwili, kiedy wybił się i skoczył, a witraże w oknie eksplodowały tysiącem kawałków szkła we wszystkich kolorach tęczy.



Portia otworzyła oczy i zobaczyła nad sobą anielski chór. Cherubinki siedziały na płynących po błękitnym niebie białych obłoczkach i pulchnymi palcami uderzały w struny złotych lir.

- O, dobry Boże - szepnęła. - Umarłam!

Szybko przycisnęła dłoń do ust. W tych okolicznościach wzywanie imienia Boga nie było mądrym pomysłem.

Cherubinki drwiąco uśmiechały się do niej z góry, a dołeczki w ich rumianych policzkach stawały się coraz głębsze. Dusza Portii być może przebywała teraz na jakiejś osobnej chmurce, w zacisznym kącie tego raju, ale jej ciało najprawdopodobniej spoczywało na środku zarośniętego chwastami dziedzińca w Chillingsworth Manor, nienaturalnie poskręcanie i połamane. Przynajmniej Julianowi nie grozi ponura perspektywa śmierci, pomyślała z żalosnym westchnieniem. Pewnie zaraz po tym, jak spadli bezwładnie na ziemię i ona zginęła, Julian skoczył na równe nogi, otrzepał się i ruszył do Londynu, żeby rozpocząć nową butelkę porto i zagrać w pokera.

Z niewiadomego powodu nagle zirytowana wesolutkimi minami aniołków, oderwała od nich wzrok.

- O, dobry Boże! - powtórzyła, tym razem zupełnie innym tonem.

Obraz, na który padł jej wzrok, miał zdecydowanie pogańską naturę. Najbardziej interesująca z postaci - pół człowiek, pół łabędź - najwyraźniej narzucał się krągłej, niemal nagiej młodej kobiecie. Choć z panięńską skromnością przyciskała do piersi strzępy podartej sukni, jej rozchyłone usta i nieprzytomny wzrok dawały patrzącemu jednoznacznie do zrozumienia, że drapieżne awanse napastnika sprawiają jej przyjemność.

- Ojej - wyszeptała Portia. Musiała odwrócić głowę na bok, żeby w pełni docenić wszystkie elementy tej sceny. Poczowała, że jej policzki oraz inne, mniej przyzwoite części ciała robią się gorące. Nie mogła tego opanować, chociaż się starała.

To uczucie ostatecznie ją otrzeźwiło i przegoniło z jej głowy resztki snu. W tej samej chwili zdała sobie sprawę, że nie płynie na obłoku, spoglądając w niebo, ale leży na puchowym materacu i patrzy na wyblakły fresk na kopułowato sklepionym suficie, namalowany przez jakiegoś artystę, który zapewne już od dawna nie żył. Niewinne aniołki przysiadły obok wielu innych, o wiele mniej niewinnych postaci z greckiej mitologii, włączając w to podstępного boga Zeusa, który zamienił się w łabędzia, żeby uwieść niczego się niespodziewającą, ale też nie całkiem oporną Ledę.

Portia usiadła na łóżku i z przerażeniem zdała sobie sprawę, że ma na sobie jedynie cienką, jedwabną halkę. Głęboko wycięty dekolot obnażał jasne ramiona i dużą część piersi. Przyłożyła rękę do szyi i stwierdziła, że złota obroza również zniknęła. Najwyraźniej ktoś uwolnił ją z łańcuchów, ale też pozbawił ubrania.

Ten ktoś także wyjął grzebienie z jej włosów i stał z twarzy pudrową maskę. Co dziwne, bardziej poruszała Portię wizja Juliana delikatnie ścierającego puder z jej policzków niż rozsznurowującego sztywny gorset jej sukni.

W pobliżu łóżka stało kilka świec, ale ich płomienie bardzo nieznacznie rozjaśniały panujący w pomieszczeniu mrok. Gęste kurtyny pajęczyn zwisały ze szerniałych mosiężnych kandelabrow, kołyszac się jak postrzępiona koronka w podmuchach niewidocznego przeciągu. Zastygła na niebie perła księżycza zaglądała przez okno o małych szybkach, umieszczone tuż pod sufitem w odległym końcu pokoju.

Podskoczyła, kiedy drzwi się otworzyły i do środka zajrzał Julian, z przerzuconym przez ramię wełnianym kocem.

- To chyba jest odpowiedź na jedno z moich pytań - powiedziała, podciągając wyżej dekolt halki. - Na pewno nie trafiłam do nieba, bo tam nie spotkałabym ciebie.

Uklonił się z żartobliwą przesadą.

- Księżę ciemności do pani usług, milady.

Wzburzone wiatrem włosy i błyszczące, ciemne oczy sprawiały, że doskonale nadawał się do odgrywania tej roli. Złośliwy chochlik, który skradł jej suknię, najwyraźniej zabrał Julianowi surdut, kamizelkę i buty, zostawiając go tylko w białej, płóciennej koszuli i kremowych spodniach. Rozwiązany fular zwisał luźno pod jego szeroką, mocną szyją.

Z przepaszającym uśmiechem rzucił jej koc.

- Rozpaliłbym ogień w kominku, ale obawiam się, że to nie jest moja najmocniejsza strona.

Portia zrozumiała, co chciał powiedzieć. Przecież jedna

zabłąkana iskra mogła sprawić, że cały stanąłby w płomieniach.

Zarzuciła koc na ramiona, a Julian usadowił się w pozłacanym fotelu o miękkich oparciach, stojącym niedaleko łóżka. Gdyby nie to, że pozłota się łuszczyła, a z oparcia wychodziło włosie, fotel przypominałby królewski tron.

- Gdzie jesteśmy? - zapytała, nerwowo rozglądając się po mrocznym pokoju.

- Pomyślałem sobie, że najlepiej będzie, jeśli na kilka godzin gdzieś się przyczaimy. Na szczęście ChiUingsworth Manor nie jest jedynym opuszczonym domostwem w tej parafii. Sądząc po prześcieradłach zarzuconych na meble, mieszkańcy tego domu planują kiedyś tu wrócić, mam jednak nadzieję, że nie stanie się to dzisiaj.

- Jak tu weszliśmy?

- Przez wybite przeze mnie okno. - Uśmiechnął się, widząc wyraz jej twarzy. - Nie rób takiej zgorzzonej miny. Zapewniam cię, że włamanie do opuszczonego domu to jeden z moich lżejszych grzechów.

- Cóż, na pewno nie zamierzam się z tobą spierać na ten temat. - Przez długą chwilę patrzyli sobie w oczy. Portia pierwsza odwróciła wzrok. - Sądziłam, że bez zaproszenia żaden wampir nie może wejść do cudzego domu.

- Ale tylko jeśli ktoś jest wewnątrz.

Zmarszczyła czoło.

- Dlaczego nie pamiętam, jak się tu znaleźliśmy?

- Jeśli nie przypominasz sobie, jak ukradliśmy konia ze stajni Rafaela i bohatercko uciekliśmy naszym prześladowcom, to pewnie dlatego, że leżałaś przerzucona przez siodło jak worek ziemniaków. Po prostu zemdłałaś.

Jęknęła boleśnie.

- Co za wstyd! Wiele razy w życiu udawałam omdlenie, ale do tej pory nigdy nie zdarzyło mi się to naprawdę.

- Rozsunęła koc i spojrzała na swój niekonwencjonalny strój. - To dziwne, ale nie przypominam sobie też, jak zniknęła moja suknia. Czyżby przypadkiem zsunęła się ze mnie, kiedy galopowaliśmy przez wrzosowiska?

- Nie, ale była mokra od święconej wody i miałem już dość tego, że parzyłem sobie skórę za każdym razem, kiedy cię dotknąłem. - Podwinął mankiet koszuli i pokazał szerniałe ślady po oparzeniach, biegnące wzdłuż całego ramienia.

- Och! - Portia była szczerze poruszona tym widokiem. Musiała zwalczyć absurdalną chęć, żeby do niego podejść i pocałunkiem postarać się zmniejszyć ból, który musiał odczuwać.

Julian wzruszył ramionami.

- Zagoi się. Oczywiście nie tak szybko, jak rana postrzałowa, ale w końcu z czasem wszystko zniknie.

- Oparł się wygodniej i skrzyżował długie nogi. - Czy kiedy zobaczyłaś, że nie masz na sobie sukni, przestraszyłaś się, że moje intencje względem ciebie nie są zbyt szlachetne?

Portia odpowiedziała mu równie drwiącym tonem.

- Zwykle kiedy mężczyzna porwuje kobietę w ramiona i uwozi w dal na koniu, to robi tak dla bardzo nikczemnych celów.

- Starałem się uratować ci życie, a nie zmusić do szybkiego ślubu w Gretna Green.

Przechyliła głowę i patrzyła na niego spod gęstych rzęs.

- Pomyślałam sobie, że może naprawdę postanowiłeś sobie zrobić ze mnie swojego kota.

- Gdybym chciał mieć jakieś zwierzę, wybrałbym psa. Psy nie mają takich ostrych pazurów i łatwiej się przywiązują do swojego pana.

- Nie wydaje ci się, że nie jest to zbyt miłe porównanie? Tym bardziej że na samym początku naszej znajomości wciąż chodziłam za tobą niczym wierny, zakochany psiak. - Dotknęła ręką szyi. - Może powinieneś być zostawić łańcuch i obrozę, żeby łatwiej przywołać mnie do nogi.

- Owszem, taka możliwość bardzo mnie kusiła. Zastanawiałem się nawet, czy nie skłamać i nie powiedzieć ci, że podczas naszej ucieczki zgubiłem kluczyk.

- Cóż, trudno byłoby mi ganić cię za nieostrożność, skoro to ja sama wywołałam wściekłość i żądzę mordy u całej wampirzej sfory.

Julian na chwilę zacisnął szczęki.

- To był bardzo udany występ. Przez chwilę sam miałem ochotę cię zamordować.

Portia spuściła wzrok. Nie mogła sobie przypomnieć ich dramatycznej ucieczki, ale aż nazbyt dobrze zapamiętała chwilę, kiedy przeszła przez całą salę balową, żeby stawić czoło jego byłej kochance.

- Ależ Valentine była wściekła, kiedy połała mnie wodą święconą, prawda?

- Teraz schwytanie jej nie powinno być trudne. Zapewne, kiedy wrócimy do Londynu, będzie czekała u drzwi domu Adriana. Dzisiejszej nocy byłaś wspaniała - dodał cicho. - Jesteś jeszcze lepszą aktorką, niż się spodziewałem. Gdy-

bym nie był takim pozbawionym serca cynikiem, uwierzył-
bym w każde wypowiedziane przez ciebie słowo.

Podniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

- Może dlatego, że mówiłam prawdę?



Julian zacisnął dłonie na oparciu fotela, czując, że napina się każdy mięsień jego ciała.

Portia wzruszyła ramionami i okrywający ją cienki koc zsunął się na posłanie.

- Oczywiście próbowałam stłumić to uczucie. Naprawdę próbowałam. Kiedy wyjechałaś, szczerze cię nie znosiłam prawie przez tydzień, a kiedy dowiedziałam się o Valentine, udało mi się nawet trochę cię zniechęcić. Obawiam się jednak, że trudno się pozbyć dawnych nawyków, zwłaszcza tych nabytych we wczesnej młodości. Kiedy dzisiaj Valentine oznajmiła, że należysz do niej, postanowiłam, że nie poddam się tak łatwo. Jeśli chciała o ciebie walczyć, to i ja się na to zdecydowałam.

Wyprostowała długie, szczupłe nogi i wstała z łóżka. Kiedy szła ku niemu, niczym postać z jego najśrodszych i najtajniejszych fantazji, światło świec tańczyło na przeswitujących fałdach halki, wydobywając spod nich zarys piersi i ciemny trójkąt między kształtnymi udami.

Natychmiast podniósł się z fotela, stanął za nim i cofnął się, jakby to Portia mogła go unicestwić.

- Co ty robisz, Portio? Miałaś wywołać szaleńczą zamięszanie u Valentine, a nie doprowadzać mnie do szaleństwa.

- Czyżbyś już zapomniał, że mam być twoją wieczną oblubienicą? A przecież każda oblubienica zasługuje na noc poślubną, prawda?

Wyciągnął przed siebie palec, ze zdziwieniem zauważając, że ręka mu drży.

- Jeśli dzisiaj dotknę cię choć jednym palcem, to nie będę musiał się martwić o to, że Valentine mnie zlikwiduje. Adrian ją w tym wyręczy.

Uśmiechnęła się i zbliżyła się do niego o krok. Była tak blisko, że mógł jej dotknąć.

- A może się okaże, że warto było zaryzykować?

Julian poczuł, że za plecami ma już tylko ścianę. Zaciśnął zęby, starając się stłumić uczucie tęsknoty i pragnienia.

- Właśnie tego się obawiam.

Położyła mu ręce na ramionach, wspięła się na palce i wycisnęła pocałunek na jego szyi, dotykając miękkimi piersiami jego ciała.

- Ocaliłam cię wtedy, w krypcie - szepnęła. - Jesteś mi coś winien.

- Wiem o tym - jęknął. - Dlatego przez długie lata trzymałem się od ciebie z daleka. Właśnie po to, żeby ci się odwdzięczyć za dobre serce.

Spojrzała na niego łagodnym, jasnym wzrokiem.

- Pamiętasz, co się wtedy wydarzyło?

- Jak mógłbym zapomnieć? Niemal cię wtedy zabiłem.

- Zapamiętałam to zupełnie inaczej.

Chcąc zetrzeć czuły wyraz z jej twarzy, chwycił ją za ramiona, odwrócił się i przyparł ją mocno do ściany, przywierając do niej całym ciałem.

- Pozwól, aniołku, że odświeżę ci pamięć. Pocałowałaś

mnie. Potem przykułaś mnie łańcuchem do ściany, tak jak cię o to błagałem. Ale nie zrobiłaś tego po to, żeby chronić siebie. Zrobiłaś to dlatego, że chciałaś, żebym się znalazł na twojej łasce i niełasce. Żeby mnie zmusić do zrobienia tego, co niewyobrażalne.

- Nie miałam wyboru. Umierałeś.

- Powinnaś była pozwolić mi umrzeć! - Kiedy umilkło echo jego krzyku, odskoczył od Portii i odgarnął włosy z czoła. - Z duszą czy bez duszy, już zawsze będę potworem po tym, co ci wtedy zrobiłem.

Chwyciła go za ramię i znów przyciągnęła do siebie, patrząc mu prosto w oczy.

- Zrobiłeś wszystko, co było w twojej mocy, żeby mnie uratować. To ja cię uwiodłam. To ja usiadłam ci na kolanach, choć byłeś zakuty w łańcuchy. Całowałam cię, dotykałam, używając wszystkich tych mizernych umiejętności, które jako naiwna panienska posiadałam, czytając śmiałe gotyckie powieści. Zrobiłam wszystko, żebyś się skusił i wbił kły w moją szyję.

- Byłaś wtedy niewinną dziewczyną! Nie zdawałaś sobie sprawy, jaką bestię możesz we mnie wyzwolić.

- Może byłam niewinna, ale nie głupia. Dobrze wiedziałam, ile będzie mnie kosztować to, że cię ocale. I miałam wielką ochotę zapłacić tę cenę. - Bezradnie potrząsnęła głową. - Nigdy nie byłeś potworem, Julianie. Nie pamiętasz? Zerwałeś łańcuchy. Wyrwałeś je ze ściany i rzuciłeś się na mnie. Ale mnie nie zabiłeś. - Chociaż łzy błyszczały w jej oczach, głos miała spokojny i opanowany. - Ani mnie nie zgwałciłeś.

- Tylko dlatego, że sama mi się z własnej woli oddałaś.

Gdybyś tego nie zrobiła... - Nie dokończył zdania, przypominając sobie smak jej krwi na wargach i przerażenie, jakie go ogarnęło, kiedy już zaspokoił swoje żądze i zobaczył pod sobą jej jasne, nieruchome ciało.

- I tak byś mnie posiadł? Tak ci się wydaje?

- A tobie nie? - zapytał, nie uciekając wzrokiem od jej śmiałego spojrzenia. - Jedyнным moim pocieszeniem była myśl, że nie zajdziesz ze mną w ciążę, a więc nie będziesz musiała znosić upokorzeń. - Roześmiał się gorzko. - Cieszyłem się z faktu, że nie potrafię tworzyć życia, tylko śmierć. Kto by pomyślał?

Uniosła głowę.

- Zrobiłam, co musiałam, tak samo jak ty. Nigdy nawet przez chwilę tego nie żałowałam.

- Cóż, ja tego żałowałem w każdej minucie mojego życia. I będę tego żałował przez całą wieczność. To jest moje przekleństwo. - Złapał ją za ramiona i mocno potrząsnął.

- Naprawdę uważasz, że jeśli teraz odzyskam duszę, to zostanę oczyszczony ze wszystkich grzechów? Czy w ogóle masz pojęcie, co musiałem robić, żeby przetrwać? Nawet z duszą nie będę godny takiej kobiety jak ty bardziej niż stary, brudny łachman, który przez wszystkie te lata leżał gdzieś w rynsztoku.

Patrzyła na niego z zastanowieniem. W jej oczach widać było coraz większe zdziwienie.

- Pozwoliłeś Valentine zachować twoją duszę nie dlatego, że ją kochałeś, prawda?

Chociaż wyglądał na udręczonego, uścisk jego rąk trochę zelżał.

- Nie, Bóg mi świadkiem. Pozwoliłem jej zatrzymać

moją duszę z miłości do ciebie. Wiedziałem, że nigdy nie będę ciebie wart, i wierzyłem, że dopóki jestem wampirem, to nie będę nawet próbował cię zdobyć. - Dotknął jej szyi, delikatnie pieścąc blizny, które tam zostawił. - Kiedy w krypcie otworzyłaś przede mną ramiona, to był najwspanialszy dar, jaki mogłem dostać. Ale ty od pierwszego kochanka powinnaś dostać o wiele więcej. Cierpliwość, czułość... i rozkosz.

Nakryła jego rękę swoją dłonią.

- Jeszcze nie jest za późno. Wciąż możesz mi dać to, na co zasługuję.

- Nie wiem, czy potrafię - wyznał ochryple. - Przy tobie, Portio, nie mogę sobie ufać. Nigdy nie mogłem. Z innymi kobietami potrafię panować nad... nad swoimi nienaturalnymi żądzami. Ale przy tobie... - Potrząsnął głową. Jego ciało już zaczęła ogarniać dzika, słodka gorączka.

- Nie musisz sobie ufać. Ja ci ufam za nas oboje.

Powiedziawszy to, ujęła jego twarz w dłonie i przycisnęła usta do jego ust, tak samo jak wiele lat temu w krypcie. Julian jęknął głucho, ale przestał się opierać. Otoczyła ją ramionami i przyciągnął mocniej do siebie, czując, że nigdy nie będzie miał dość jej pocałunków. Zamierzał być łagodny i delikatny, ale Portia chętnie zareagowała na śmiałe ruchy jego języka, całując go równie namiętnie.

Cały czas miał ochotę przyprzeć ją do drzwi, podwinąć jej cienką, jedwabną halkę i pojąć ją z taką samą prymitywną pasją, jak za pierwszym razem.

Jednak kiedy wsunęła palce w jego włosy, jej dotyk, jej szept i westchnienia sprawiły, że Julian złagodniał. W jej ramionach nie czuł się jak potwór. Dzięki niej znów czuł się człowiekiem.

Nie przerywając słodkiego pocałunku, wziął ją na ręce. Kiedy ją niósł do łóżka, oplótł ją w pasie nogami, a z jego gardła wydobył się głęboki jęk.

Położył ją na materacu, pozerając wzrokiem. Kiedy się podniósł, żeby zrzucić fular i koszulę, patrzyła na niego zamglonymi oczami, w których odbijało się światło świec. Z przerażeniem zobaczył, że na jej ciemnych rzęsach lśni łza.

- Nie płacz, Pięknooka - poprosił, opadając na łóżko obok niej. Wytarł krystaliczną kroplę opuszkami kciuka.
- Zastrzel mnie, spal, przebij kołkiem moje serce, jeśli już musisz, ale nie płacz. Wszystko zniosę, tylko nie twoje łzy.

- To dlatego, że tak długo na ciebie czekałam - wyszeptwała.

- Całą wieczność - odrzekł cicho.

Nadal jednak się wahał. Był od niej o wiele większy, silniejszy. Już raz ją zranił i jeśli weźmie w nim górę wampirza natura, nic go nie powstrzyma przed zrobieniem tego jeszcze raz. Ale nie chciał sprawiać jej bólu. Chciał jej dać przyjemność. Chciał wykorzystać każdą bezcenną minutę nocy, wszystkie swoje umiejętności i siły, żeby doprowadzić ją do ekstazy. Pragnął się z nią kochać, dopóki nie wykrzyczy jego imienia i nie zapomni swojego własnego; dopóki nie zniknie przeszłość i przyszłość, a zostaną tylko długie godziny między północą a świtem.

Czuł ciepło i zapach jej tętniącego życiem ciała. Przewędrował pół świata, ale przekonał się, że wszystko, czego pragnie, jest tutaj, w jej ramionach. Nawet jeśli teraz Portia wyrzuci go ze swojego łóżka, nie dając mu szansy nawet na następny pocałunek, to już i tak nie znajdzie szczęścia w ramionach żadnej innej kobiety.

Głaskała go po włosach, przeplatając je między palcami.

- Kiedy szeptałeś moje imię przez sen, o czym śniłeś?
- zapytała.

- O tym. - Pochylił się i pocałował ją z czułością, jakiej kiedyś mu zabrakło.

Portia jęknęła, kiedy jego język rozchylił jej wargi i badał wnętrze ust. Poczowała, że niczym płynny miód zalewa ją słodycz, krążąc w jej żyłach i docierając do najgłębszych zakamarków ciała.

- Czyżbyś próbował mnie uwieść? - zapytała, kiedy pozwolił jej chwycić oddech.

- Chciałaś, żebym ci dał to, na co zasługujesz - wyszeptał. Jego niski, hipnotyczny głos sam był jak pieśzcota.

- Tak piękną kobietę jak ty należy uwodzić co najmniej trzykrotnie w ciągu nocy, może nawet częściej.

Kiedy jego usta wędrowały po jej twarzy i szyi, zamknęła oczy i westchnęła drżąco. Teraz cieszył ją fakt, że Julian jest stworzeniem, które w nocy odzyskuje siły.

Zawędrował ustami do jej piersi, sprawiając, że w jej ciele zapłonął ogień. Przez cienki materiał halki pieścił je językiem, skazując ją na rozkoszne męki. Nie prosiła go jednak, żeby przestał, tylko wsunęła palce w jego włosy, zachęcając do dalszych pieśzcot.

Kiedy usiadł, obejmując ją kolanami, z jej ust wydarł się jęk protestu. Otworzyła oczy w chwili, kiedy rozdzierał jej halkę. Delikatny jedwab ustąpił niczym pergamin, wystawiając jej nagie, bezbronne ciało na jego spojrzenie.

Julian cieszył się wspaniałym widokiem ciała Portii. W krypcie, oślepiiony głodem i pożądaniem, nie zwrócił na nie uwagi. Spadł na nią jak drapieżna bestia, w jednej sekun-

dzie wbijając w nią zęby i wnikając w głąb jej młodego, delikatnego ciała. Taką jak teraz widywał ją tylko w niezliczonych marzeniach, nawiedzających go dniem i nocą.

Wyglądała piękniej niż w jego najśmielszych snach. Ciemne włosy rozsypały się na poduszce, podkreślając rumieniec na policzkach i czerwień ust. Pełne piersi zaróżowiły się i nabrzmiały od pieszczot. Powędrował wzrokiem niżej, chłonąc zarys szczupłej talii, pełnych bioder i lśniący, ciemny trójkąt między udami.

Nie mogąc dłużej opierać się pokusie, położył się obok niej i zaczął ją pieścić coraz śmielej. Portia zadrżała pod jego dotykiem. W tej chwili rzeczywiście czuła się jak kociak, mruzczała i wyginała się pod ręką swojego pana. Kiedy po dłuższym czasie otworzyła oczy, na widok jego twarzy głośno wciągnęła powietrze.

Julian wiedział, że kły mu się wydłużyły, a w oczach błyszczał mroczny ogień. Obawiał się, że Portię przerazi ten widok, ale dziewczyna wcale nie wzdrygnęła się z obrzydzenia.

- Jesteś głodny? - zapytała.

Leniwy uśmiech wykwitł mu na wargach.

- O, tak, i zamierzam zaspokoić głód.

Teraz jego usta powtórzyły te same pieszczoty, które przed chwilą wykonały jego palce. Chwyciła go za włosy, czując, że rozkosz zalewa ją gorącymi falami i eksploduje we wnętrzu jej ciała. Kiedy w końcu otworzyła oczy, Julian górował nad nią, patrząc jej prosto w twarz.

- Przez chwilę się bałem, że znów zemdlałaś.

Uśmiechnęła się do niego, półprzytomna i oszołomiona. Jej ciałem nadal wstrząsały dreszcze po wybuchu rozkoszy.

- Nie chcę stracić ani sekundy tej nocy. Bez względu na to, jakie niecne cielesne sztuczki zechcesz mi dziś pokazać, na pewno nie zemdleję.

Uniósł brew.

- Czy to jest wyzwanie?

- Skoro tak to chcesz traktować, to przecież nie mogę cię powstrzymać - odrzekła poważnie.

- Świetnie. - Usiadł na łóżku i zdjął spodnie, na co zresztą była już najwyższa pora.

Portia wzięła go za rękę.

- Czy mogę cię prosić o zgaszenie świec? A może już za późno, żebym się zachowywała jak skromna dziewica?

W jego oczach widać było trochę żalu, ale ucałował czule jej rękę i odrzekł:

- Dla ciebie, moja pani, zgaszę nawet księżyc.

Portia niemal pożałowała swojej prośby, kiedy podszedł do kandelabru, rzucając przez ramię ostatnie spojrzenie na jej nagie ciało. Kiedy jedna po drugiej gasił świece, napawała się kocią gracją jego ruchów, widokiem silnych mięśni na klatce piersiowej i brzuchu. Kiedy ostatnia świeczka zamigotała i zgasła, ogarnęła ich przytulna ciemność. Portia ze zdumieniem odkryła, że mrok dodał jej śmiałości. Kiedy Julian wrócił w jej objęcia, pierwsza dotknęła go śmiało.

- Nic dziwnego, że za pierwszym razem czułam ból - stwierdziła po chwili z drżącym śmiechem. - Gdyby nie fakt, że to już się kiedyś stało, nie uwierzyłabym, że to w ogóle jest możliwe.

Wsparł czoło o jej czoło.

- Bolało, ponieważ zachowałem się jak ostatni barbarzyńca, który po raz pierwszy zobaczył kobietę. Gdybym był

w pełni przytomny, potrafiłbym sprawić, że... przyjęłabyś mnie bez trudności.

Pieściła go delikatnie, sprawiając mu tym przyjemność.

- Pokaż mi, jak - zażądała Portia.

Nie musiała dwa razy powtarzać. Zanim zdążyła chwycić oddech, już wziął ją w ramiona.

- Julianie?

- Mm? - wymamrotał, pieszcząc językiem czubki jej piersi.

- Zanim zaczniemy, chciałabym ci wyznać coś szokującego.

- Myślałem, że tylko mnie wolno czynić szokujące wyznania.

Usiadła, opierając głowę na kolanach. W ciemnościach czuła, że palą ją policzki. Julian usiadł obok niej i delikatnie odsunął jej włosy z czoła.

- Co takiego chcesz mi powiedzieć, Pięknooka. Policzki ci płoną.

Westchnęła ciężko. Zapomniała, że wampiry doskonale widzą w ciemnościach.

- Chodzi o tę noc w krypcie.

Znieruchomiał jak skamieniały i po raz pierwszy tej nocy widać było, że wcale nie musi oddychać. Po długiej chwili powiedział:

- Jeśli z powodu tego, co się tam wydarzyło, chcesz, żebym przestał, to zrozumieć. Do niczego nie będę cię zmuszał. Aż takim potworem nie jestem.

- Nie będę kłamała. Wtedy zadałeś mi ból. Ale jest coś jeszcze. To... co wywołałeś we mnie, pieszcząc mnie rękami i językiem, kiedy już myślałam, że umrę z rozkoszy. -Zawa-

hała się. - Wtedy też to czułam. Kiedy wbiłeś we mnie zęby... kiedy... - Spojrzała nie niego, wiedząc, że nic się przed nim nie ukryje, nawet w ciemnościach. - Strasznie się bałam, że mimo wszystko mnie zabijesz. Ale przez te kilka sekund nawet to mnie nie obchodziło.

Tym razem zamilkł na dłuższą chwilę.

- Ja muszę ci wyznać coś jeszcze bardziej wstrząsającego.

Portia zamknęła oczy, czując, że ze strachu ściska ją w gardle.

- Kocham cię, Portio Cabot. - Objął jej twarz rękami i dotknął ustami jej ust, całując ją z taką czułością, że aż zaparło jej dech w piersiach. - Czy będę wampirem, czy znów stanę się śmiertelnikiem, będę cię kochał przez całą wieczność.

Otworzyła przed nim ramiona i oboje opadli na puchowy materac. Portia czuła się tak, jakby od czasów nocy w krypcie nic się nie zmieniło, jakby Julian nigdy nie poznał innych kobiet podczas swoich długich, samotnych podróży.

Czując na sobie ciężar jego ciała, Portia zadrżała, spodziewając się, że tak jak poprzednim razem wniknie w nią szybko i szorstko. Tymczasem on długo i z zapamiętaniem przygotowywał ją na swoje wejście, aż w końcu jęknęła ponaglająco:

- Julianie, proszę... już...

- Jesteś gotowa, najdroższa? - wyszeptał ochryple, przywierając do niej.

W odpowiedzi oplótła go ramionami i nogami, unosząc w górę biodra tak, że zanim się spostrzegł, był już w jej wnętrzu.

Julian zadrżał z emocji. Choć wiedział, że to niesprawied-

hwe, dodatkową przyjemność sprawiało mu, że jest jedynym mężczyzną, któremu kiedykolwiek oddała swoje ciało.

Myślał, że już i tak zupełnie zatracił się w pieszczotach, ale dopiero teraz, czując jej aksamitne, gorące wnętrze i przyprawiający o zawrót głowy zapach, doświadczył dzielnego zapamiętania. To było jak przedsmak nieba, za który chętnie oddałby wszystko, nawet szansę na zbawienie.

Poruszali się w hipnotycznym rytmie, jakby wiedzieli, że tak zawsze miało być. Nic ich nie powstrzymywało. Łączyła ich pierwotna namiętność, silna i niezniszczalna.

Otworzył oczy i zobaczył, że ponad jego ramieniem Portia patrzy na fresk na suficie. Teraz, kiedy sama dała się uwieść i zdobyć, rozumiała nieprzytomne spojrzenie oczu i wyraz ekstazy na twarzy Ledy. Każdym ruchem bioder Julian doprowadzał ją coraz bliżej do słodkiego szaleństwa.

Zdziwiła się, kiedy nagle znieruchomiał, nadal pozostając głęboko w jej ciele.

- Co się stało? - wyszeptła.

Spojrzał na nią. Nawet w ciemności dostrzegła błysk jego kłów i czerwony blask oczu.

- Boję się tego, co mogę ci zrobić, jeśli... a raczej kiedy stracę panowanie nad sobą.

Wzięła głęboki oddech i powiedziała:

- Nie bój się. Chcę, żebyś mi dał to samo, co innym kobietom, które spotykałeś, walcząc o przetrwanie. I chcę, żebyś wziął ode mnie to, co od nich brałeś.

Gwałtowny dreszcz wstrząsnął jego ciałem.

- Nie zrobię ci tego drugi raz! Nie możesz mnie o to prosić.

- Czyżby? - Uniosła głowę, chwyciła zębami jego dolną wargę i lekko ukaśiła.

- Ugryzłaś mnie! - zawołał zdziwiony.

Spojrzała na niego, niewinnie trzepocząc rzęsami.

- Przecież sam mi mówiłeś, że takie lekkie ugryzienia to powszechnie przyjęty sposób okazywania uczucia.

- Tak, ale między wampirami!

- Przecież ty nim jesteś. - Chwyciła go za włosy. - Gdybym pragnęła dobrze ułożonego dżentelmena, to już dawno bym jakiegoś znalazła. Ale pragnęłam ciebie. I nie chcę, żebyś udawał kogoś, kim nie jesteś. Zwłaszcza przede mną.

Odsunęła się nieco od niego i odchyliła głowę, obnażając jasny łuk szyi.

Opadł na nią z chrapliwym pomrukiem. Nie wtopił jednak zębów w jej szyję, tylko objął ją ramionami, oparł o zagłówek łóżka i z nową siłą zaczął w dzikim rytmie poruszać biodrami, doprowadzając ją do nowych spazmów rozkoszy.

Była jednak na tyle przytomna, że czuła jego gorący oddech tuż przy swojej szyi i dotyk ostrych kłów. Kiedy odnalazł pulsującą delikatnie żyłkę, wysunął język, żeby skosztować słodyczy jej skóry.

Portia zadrzała, choć sama nie potrafiłaby powiedzieć, czy ze strachu, czy z radosnego oczekiwania. Wiedziała tylko, że jej głód jest równie wielki i pierwotny, jak jego. Pragnęła, żeby jej uległ, równie mocno jak on pragnął, żeby ona uległa jemu.

Nie musiała długo czekać. Kiedy poczuła, że doszła do szczytu napięcia i za chwilę cały jej świat miał stanąć w płomieniach, jego kły wbiły się w jej delikatne ciało. Odczuła przelotny ból, ale zaraz potem zalały ją gigantycz-

ne, długotrwałe fale rozkoszy, przetaczając się jedna za drugą, oślepiając ją i odbierając świadomość. Wiedziała tylko, że Julian utonął w nich tak samo jak ona.



To było całkiem przyjemne - zamruczała Portia jakiś czas później, moszcząc się wygodniej w ramionach Juliana i opierając policzek na jego piersi. Blask księżyca spływał na łóżko, zalewając ich splecione ciała srebrną poświatą.

- Być może byłoby dla ciebie jeszcze przyjemniejsze, gdybyś mnie nie nakłoniła, żebym cię ugryzł. - W jego głosie słyszała przyganę. Julian ostrożnie dotknął świeżych śladów na jej szyi. - Następnym razem to ja zakuję ciebie w łańcuchy.

- Aż drzę na myśl, jakie rzeczy mógłbyś ze mną wyprawiać, gdybym znalazła się na twojej łasce i niełasce - odrzekła, choć dobrze wiedziała, że tak już się stało. - Nie wiem, dlaczego miałeś takie opory. Nawet nie czuję się osłabiona, co najwyżej trochę jak pijana.

- To dlatego, że wypilem tylko tyle krwi, żeby mi starczyło do powrotu do Londynu, gdzie będę mógł poszukać sklepu rzeźnika. - Urwał. - Albo znajdę jakiegoś ślicznego, tłuściutkiego szczeniaka.

Spojrzała na niego z przerażeniem.

- Żartowałem! Nigdy nie zjadłem żadnego szczeniaka. - Zaczekał, aż znów opadnie na poduszkę, i dodał: - Kocięta są o wiele delikatniejsze i bardziej smakowite.

Uszczypnęła go żartobliwie.

- Wiesz, nie powinieneś się winić za to, że uległeś pokusie. Nie znasz starych legend? Śmiertelnicy dysponują ponadnaturalną mocą władzy nad wampirami - oznajmiła poważnie. Oparła się o jego pierś i spojrzała mu w oczy, trzepocząc rzęsami. - Oczywiście tylko nad wampirami o słabej woli.

Odgarnął kosmyk włosów z jej policzka. W jego oczach nadal tliło się pożądanie.

- Przy tobie mam tak słabą wolę jak noworodek - przyznał.

- Naprawdę? Może sprawdzimy, czy mówisz prawdę?

Ignorując jego protesty, wysunęła się z jego objęć i usiadła na drugim końcu łóżka.

Czując na sobie pełen zachwytu wzrok, jakim mierzył krągłości jej nagiego, skąpanego w księżycowym blasku ciała, ułożyła się między poduszkami i przeciągnęła jak kot, a potem kiwnęła na niego palcem.

- Chodź do mnie, Julianie.

- Chcesz, żebym przyszedł do ciebie? - Przesunął się w jej stronę z gracją dzikiego drapieznika i wyszeptał jej do ucha: - A może wolisz, żebym wszedł w ciebie?

Wyniosłe machnęła ręką, żeby ukryć dreszcz podniecenia.

- Dotknij mnie - nakazała.

Spodziewała się, że położy jej dłonie na piersiach, ale on zaczął wodzić palcami po całym jej ciele, unikając jednak najwrażliwszych okolic. Gładził ją i pieścił, aż wszystkie jej nerwy obudziły się do życia i domagały się dalszych pieszczoł. Odwróciła twarz i zagryzła wargi, starając się zachować obojętny wyraz twarzy.

- Pocałuj mnie - rozkazała, kiedy nie mogła już dłużej znieść tej słodkiej tortury.

Delikatnie rozsunął jej uda i zaczął obsypywać słodkimi, frywolnymi pocałunkami jej rozdygotane cało. Wbiła paznokcie w materac, wygięła się w łuk i zanim się spostrzegła, doszła do szczytu rozkoszy.

Pociągnęła go za ramiona, przewróciła na plecy i usiadła na nim, obejmując go nogami. Ruchem głowy odrzuciła włosy z twarzy.

- Julianie Kane, jesteś złym, nieposłusznym wampirem. Widzę, że żeby cię poskromić, trzeba czegoś więcej, niż tylko siła mojej perswazji.

Dobrowolnie złożył ręce nad głową, uśmiechając się groźnie i obiecująco, niczym pirat.

- Jesteś gotowa założyć mi kajdany?

Uniosła głowę, rozciągając wargi w kusicielskim uśmiechu.

- Chyba nie będą mi potrzebne.

Pochyliła się i dotknęła językiem jego piersi. Spojrzał na nią zaskoczony.

- Czy to także skutek czytania śmiałych, gotyckich powieści?

Zerknęła na niego figlarnie.

- To raczej skutek oglądania pewnych nieprzyzwoitych rysunków, które znalazłam schowane między kartkami jednej z książek w bibliotece Adriana. Byłby zdruzgotany, gdyby się dowiedział, że na nie natrafiłam. Ale ty przecież zawsze twierdziłeś, że jestem nieznośnie wścibska.

Pochyliła się jeszcze niżej i zaczęła go pieścić śmieiej. Julian głośno przełknął ślinę i odezwał się drżącym głosem:

- Zaczynam się przekonywać, że to jedna z twoich lepszych cech.

Leżała bezwładna w jego ramionach, niczym szmaciana lalka. We wszystkich mięśniach czuła przyjemne zmęczenie. Już prawie spała, kiedy poczuła, że ktoś Julian dotyka jej pośladków.

Zamruczała cicho, nie otwierając oczu i odruchowo przywarła mocniej do Juliana.

- Myślałam, że zamierzasz mnie uwieść trzy razy w ciągu nocy. A to już jest... sama nie wiem, który raz. Siedem? Siedemnaście?

Zmysłowy szept Juliana rozległ się tuż przy jej uchu.

- Sześć i pół. Ale po co liczyć. Może powinienem cię ostrzec, że jeśli ktoś w młodości zamieni się w wampira, ma z tego jedną korzyść.

- Taak? A niby jaką?

Położył jej ręce na piersiach i wszedł w nią gładko.

- Jest wyjątkowo wytrzymały.

Po raz pierwszy od długiego czasu Julian pozwolił, żeby coś mu się przyśniło.

Znajdował się w kościele, do którego wstępu już nic mu nie zabraniało. Słońce wpadało przez witrażowe okna, ogrzewając mu twarz i błyszcząc na lśniących lokach Portii. Uśmiechnęła się do niego, a jej niebieskie oczy przepełniała miłość i czułość. Na szyi miała zawiązaną białą wstążkę, we włosy wpięte pączki białych róż. Wyglądała jak prawdziwy anioł.

Jego wzrok powędrował niżej i zatrzymał się na chwilę na jej lekko wypukłym brzuchu. Radość przepełniła mu serce,

kiedy zdał sobie sprawę, że Portia jest w ciąży - nosi w sobie ich dziecko.

Podniósł głowę i napotkał wzrok Adriana. Brat patrzył na niego z dumą. Obok niego stała Caroline, trzymając na ramieniu małą Eloisę.

Julian puścił do niej oczko, a dziewczynka zaklaskała w pulchne rączki.

- Wujek Jules! Wujek Jules!

Wesoły śmiech Portii rozległ się jak dźwięczny dzwonek. Objął ją mocno i zanim ją czułe pocałował, jeszcze chwilę cieszył wzrok urodą swojej oblubienicy.

Kiedy Portia otworzyła niepewnie oczy, z początku była przekonana, że śni. To pewnie znów był jeden z tysiąca tych poranków, kiedy się budziła, wyobrażając sobie, że otaczają ją ramiona Juliana.

Leżał wyciągnięty obok niej, oczy miał zamknięte, a jedną nogę przerzucił przez jej nogi, jakby chciał się upewnić, że nigdzie nie ucieknie. W perłowym świetle poranka wyglądał jak uosobienie męskiej urody - wysoki, szczupły, doskonale umięśniony. Odwróciła się na bok i przyglądała mu się z przyjemnością, zadowolona, że tym razem sen trwa dłużej niż zwykle.

Kosmyk włosów opadł Julianowi na czoło. Chociaż miała wielką ochotę odsunąć go na bok, powstrzymała się, nie chcąc mu zakłócać spokojnego snu, którym na pewno cieszył się dość rzadko. Najego kształtnych wargach pojawił się lekki uśmiech, upodabiając jego twarz do pięknej rzeźby. Wzrok Portii powędrował niżej. Syciła się widokiem jego szerokiej piersi, wąskich bioder, smużek dymu unoszących się z jego skóry.

Wyskoczyła szybko z łóżka, momentalnie przytomniejąc. Spojrzała w okno. Wpadały przez nie pierwsze promienie słońca i już docierały do nóg łóżka.

Działając instynktownie, mocno pchnęła Juliana, dzięki czemu udało jej się zrzucić go z łóżka.

Wylądował na podłodze z głośnym hukiem.

- Co u diabła...?

Przez kilka sekund w panice szukała koca. Chociaż na szybach w oknie wykwitły lodowe kwiaty, koc w nocy wcale nie był im obojgu potrzebny. W końcu znalazła go. Leżał zwinięty u wezgłowia, razem ze strzępami jej halki. Jeszcze raz spojrzała z rozpaczą w okno. Słońce wznosiło się coraz wyżej nad horyzont, złotymi palcami malując niebo na różowo. Nie zwracając uwagi na przekleństwa Juliana, narzuciła na niego koc.

Usiadł, ale zanim zdążył się odkryć i wystawić się na mordercze promienie, rzuciła się na niego, powalając go z powrotem na podłogę.

Niespodziewanie zamarł w bezruchu. Dopiero kiedy spostrzegła tuż przed swoim nosem wystającą spod koca nagą stopę, zrozumiała, że usiadła mu na głowie.

- Byłoby to dla nas obojga o wiele przyjemniejsze, gdybyśmy mogli obyć się bez koca - odezwał się w końcu. Jego głos tłumiała wełniana tkanina.

Wstała, odwróciła się w odpowiednim tym razem kierunku i wsunęła głowę pod koc. Patrzył na nią groźnie, jak wielki, rozżłoszczony kot, któremu przerwano drzemkę.

- Zaspaliśmy i nie zauważyliśmy świtu! Słońce już wschodzi. Zaczynałeś się dymić!

Tym razem zaklął o wiele soczyściej i mocniej. Bez

ostrzeżenia przetoczył się na bok i zniknął pod łóżkiem, ciągnąc za sobą koc.

Zawahała się na chwilę, nie wiedząc, co dalej robić, ale wsunęła głowę pod łóżko i rozejrzała się. Julian nadal patrzył na nią nieprzyjawnie, a na jego włosach osiadł kurz. Na szczęście łóżko było na tyle wysokie, że zmieścił się pod nim bez problemu.

- Miną długie godziny, zanim słońce zajdzie i będziemy mogli ruszyć w drogę - stwierdziła. Było jej żal Juliana. - Co mam zrobić?

Chwycił ją za nadgarstek i przyciągnął do siebie. Zagniewany grymas ustąpił miejsca kuszącemu uśmiechowi.

- Dotrzymaj mi towarzystwa.

W świetle księżyca Portia wkładała jedwabne pończochy, przysiadłszy na skraju łóżka.

- Mogłeś mi wcześniej powiedzieć, że te nieprzyzwoite rysunki, które znalazłam w bibliotece, były twoje, a nie Adriana.

Julian uniósł jej włosy i pocałował ją w kark, od czego przebiegł ją dreszcz na nowo budzące się pożądania.

- Dlaczego miałbym ci o tym mówić, skoro mogłem ci to pokazać, co było o wiele bardziej interesujące? Kupiłem je na pierwszym roku studiów w Oxfordzie, od starszego studenta. Oglądałem je kiedyś, zastanawiając się, gdzie jest góra, a gdzie dół, aż tu nagle usłyszałem, że Adrian wchodzi po schodach. Włożyłem je między kartki pierwszej lepszej książki, której udało mi się dosięgnąć, i szybko zapomniałem o całym zdarzeniu. Dopóki ty mi nie przypomniałaś w taki miły sposób o ich istnieniu.

- Owszem, zapomniałeś, gdzie je schowałeś, ale najwyraźniej dobrze zapamiętałeś, co na nich było. - Włożyła pantofelki z cienkiej, koźlej skóry. Wspięła się na palce i czerwieniąc się, szepnęła mu do ucha: - Wątpiałam, czy niektóre z tych rzeczy leżą w ludzkich możliwościach.

Z uśmiechem pogładził ją po zaróżowionym policzku.

- Nie zapominaj, że nie jestem człowiekiem.

W towarzystwie Juliana dzień upłynął jej bardzo szybko. Gdy tylko ognista kula słońca skryła się za horyzontem, Julian przyniósł trochę drewna, więc mogła rozpalić ogień w kamiennym kominku. W piwniczce domostwa znalazł też kilka zapomnianych ziemniaków. Kiedy poszedł po wodę do studni, upiekła ziemniaki, ponieważ z głodu już zaczynało burczeć jej w brzuchu. Siedziała przy kominku boso, ze skrzyżowanymi nogami i miała na sobie tylko koszulę Juliana, ale kiedy karmił ją kawałkami pieczonego ziemniaka, czuła się niczym królowa. Zagrzała też na ogniu wodę, żeby mogli się umyć.

Oczywiście kiedy oboje byli mokrzy, śliscy i nadzy...

Portia westchnęła tęsknie i odgarnęła mu kosmyk z czoła. Musiała niechętnie przyznać, że ich idylla w świetle księżycy dobiegała końca. Włożyła suknię, wygładziła jej fałdy i stwierdziła, że woda święcona wyschła, nie zostawiając żadnego śladu.

Julian zawiązał na jej szyi fular, żeby ukryć świeże ślady zębów.

- Adrian i Caroline pewnie zamartwiają się o nas na śmierć. Jeśli wkrótce nie odwozę cię do domu, mój brat może mnie wyzwąć na pojedynek o świcie, A oboje wiemy, jak fatalnie by się to skończyło.

- Kiedy się przekona, że nic nam nie grozi, pewnie tylko cię zapyta, czy masz uczciwe zamiary wobec mnie. - Portia mówiła lekkim tonem, żeby nie zdradzić, ile kosztowało ją to pytanie. Nie mogła jednak ukryć powątpiewania, które było widać w jej spojrzeniu. - Właśnie, czy twoje zamiary są uczciwe?

Jego mina przypomniwała jej znów o tym, co wydarzyło się w krypcie. I ostatniej nocy. Pogładził ją po ramionach i spojrział głęboko w oczy.

- Kiedy wrócimy do Londynu, mam szczerzy zamiar przełknąć głupią dumę i błagać mojego brata o pomoc w schwytaniu Valentine, żebym mógł odzyskać jedyną rzecz, która może być darem dla takiej kobiety jak ty.

- Mówisz o swojej duszy? - wyszeptała, zebrawszy się na odwagę, żeby wymówić te słowa.

- To nie jest moja dusza, aniele. Jak tylko wyrwę ją ze szponów Valentine, zamierzam powierzyć ją tobie, wraz z sercem i resztą swojego życia.

Portia przez chwilę nic nie widziała, bo do oczu napłynęły jej łzy. Zarzuciła mu ramiona na szyję.

- Jak na człowieka pozbawionego duszy, straszny z ciebie romantyk.

Ukrył twarz w jej włosach i delikatnie pogładził po plecach.

- W takim razie nie będziesz chyba miała nic przeciwko temu, że nazwiemy naszą pierwszą córkę twoim imieniem.

- Chcesz, żeby nazywała się Portia?

Odsunął się od niej z łobuzerskim uśmiechem.

- Portia? A przysiągłbym, że nazywasz się Prunella!

Portia nadal go ganiła za to, że jej dokuczał, kiedy szli po zamarzniętym polu w stronę światła najbliższego domostwa. Choć Julian otulił ją swoim płaszczem i otoczył ramieniem, gorzko żałowała utraty podbitej futrem peleryny i mufki.

Kiedy zniknęła w kamiennej stajni domostwa, przycupnęła za krzakiem, zaciskając zęby, żeby nie szczękały. Julian pojawił się chwilę później, prowadząc zwawą klacz, zaprzęgniętą do niewielkiego, eleganckiego powoziku, nadającego się akurat dla dwóch osób.

Kiedy objął ją w talii i bez wysiłku posadził na wysięlanej ławeczce, szepnęła:

- Czy zostawiłeś wiadomość, że tylko pożyczamy konia i powóz, i że jutro wróci do właściciela?

Spojrzał na nią spod spuszczonej powiek.

- Po co mi dusza, skoro ty jesteś moim sumieniem?

- Po prostu nie chcę, żebyś zaraz po odzyskaniu duszy został powieszony za kradzież konia. Wallingford nie posiadałby się z radości.

- Moja ukochana jak zwykle praktyczna. - Wsiadł do powozu i usadowił się obok niej. - Jak tylko dojedziemy do domu Adriana, wyciągnę któregoś ze stajennych z ciepłego łóżka i każę biedakowi zwrócić konia i powóz naszemu anonimowemu dobroczyńcy.

Chociaż powinni byli jechać jak najszybciej, również dla własnego bezpieczeństwa, Julian nie ruszył z miejsca, dopóki nie otulił Portii kilkoma kocami. Powoli dojechał do głównej drogi, a potem ponaglił konia do szybszego biegu.

Portia roześmiała się radośnie, kiedy płatki śniegu zaczęły spadać z nocnego nieba. Julian otoczył ją ramieniem i przyciągnął bliżej, ona zaś oparła mu głowę na ramieniu. Nie

pamiętała już, kiedy ostatni raz była taka szczęśliwa, pełna nadziei na przyszłość. Wiedziała, że będą jeszcze musieli stawić czoło niebezpieczeństwom, ale w tej chwili, w ramionach ukochanego, czuła się całkowicie bezpieczna.

Wszystkie dźwięki brzmiały w jej uszach jak muzyka - tętent końskich kopyt, brzęczenie dzwonek przy uprzęży w mroźnym powietrzu, cichy szepc padającego śniegu. W głębi duszy pragnęła, żeby nigdy nie dotarli do Londynu, żeby ta podróż trwała wiecznie.

Chociaż bardzo chciała świadomie cieszyć się każdą chwilę, monotonne kołysanie powozu i radość przebywania z Julianem sprawiły, że wyczerpana zapadła w sen.

Kiedy wyprostowała się i otworzyła oczy, powożony przez Juliana kabriolet skręcał właśnie w brukowaną ulicę, przy której stały eleganckie domy.

- Obawiam się, że nie zastaniemy Adriana w zbyt przyjaznym nastroju - powiedziała, ziewając i przeciągając się.

Julian spowolnił konia.

- Mam tylko nadzieję, że pozwoli mi się wytłumaczyć, zanim wyjmie tę swoją piekielną kuszę.

- Nie bądź niemądry. - Pocieszająco poklepała go po kolanie. - Nie ośmieli się do ciebie strzelić, zanim nie zapyta mnie o zgodę.

Spojrzał na nią rozbawiony.

- Muszę się trzymać blisko ciebie, ty chytra, krwiożercza lisiczko.

- Możesz od razu zacząć - odrzekła, wystawiając usta do długiego pocałunku.

Kiedy odsunęli się od siebie, zauważyli, że śnieg pada coraz gęściej. Portia spojrzała w niebo.

- Jeszcze nie widziałam takich dużych płatków - stwierdziła.

Julian startł jeden z nich z jej policzka, a następnie potarł o siebie czubkami palców. Pojawiła się na nich czarna plama. Wolno podniósł wzrok.

- To nie śnieg, tylko sadza.

Twarz mu spoważniała. Strzelił lejcami, żeby ponaglić klacz do szybszego biegu. Portia trzymała się oparcia powozu, kiedy mknęli przez ostatni odcinek ulicy. Kiedy podjechali bliżej, od razu zdali sobie sprawę, że coś się stało.

Coś strasznego.

Domu już nie było. Na tle nieba czerniły się tylko wypalone ruiny.

Szare chmury popiołu i sadzy płynęły w powietrzu, czerniąc spadający śnieg. Woń spalonego drewna wisiała nad dymiącymi ruinami domu. Tu i tam słupy dymu wciąż wyrastały niczym duchy spomiędzy zwalonych belek i czarnych ścian. Na pogorzeliśku leżał przewrócony koń na biegunach, straciwszy w ogniu jaskrawe barwy. Portia przyglądała się temu w niemym przerażeniu, kiedy w fontannie iskier zawałiła się ocalała resztką schodów na piętrze, grzebiąc pod sobą fortepian.

Przed domem, na wypalonej trawie, leżały przewrócone kubły z wodą. Porzucony wóz strażacki z ręczną pompą stał na rogu ulicy. Skórzane węże leżały wokół w nieładzie, świadcząc o tym, że strażacy przyjechali zbyt późno lub zbyt szybko się poddali.

Sąsiedzi Adriana i kilkoro zapłakanych służących stało w ciasnej grupce po drugiej stronie ulicy, niektórzy wciąż w szlafrokach i szlafmycach. Kiedy Portia wyszła z powozu, poruszając się w zwolnionym tempie, niczym w jakimś złym śnie, poczuła na sobie ich pełne litości spojrzenia.

Poszła w stronę domu, a Julian jak cień podążył za nią.

- Portia!

Radosny okrzyk tak ją zaskoczył, że niemal krzyknęła ze

strachu. Staneła w miejscu jak wryta, patrząc na biegnącą do niej Vivienne. Spalony dom tak bardzo przykuwał jej wzrok, że nie dostrzegła powozu Larkina stojącego po drugiej stronie ulicy, pod ogołocionymi z liści gałęziami dębu.

Siostra zarzuciła jej ręce na szyję i wybuchnęła płaczem.

- Och, Portio, tak się cieszę, że jesteś cała i zdrowa. Bardzo się o ciebie baliśmy.

- My? - szepnęła. Nie śmiała zapytać, czy nikomu nic się nie stało.

Vivienne chwyciła ją za rękę i próbowała pociągnąć do powozu, ale Portia stała jak zamurowana.

Nie dostrzegając jej przerażenia, Vivienne nie przestawała mówić.

- Kiedy do dziś nie dotarła do nas żadna wiadomość od was, obawialiśmy się najgorszego. Próbowałam ich przekonać, że wszystko na pewno będzie dobrze, bo tak zwykle bywa. Tuż przed północą zapukał do naszych drzwi jeden z służących Adriana, żeby nas zawiadomić o pożarze. Muszę wyznać, że kiedy tu przyjechaliliśmy i zobaczyłam, jak to wszystko strasznie wygląda, sama niemal przestałam wierzyć, że wrócisz. Ale jesteś z nami, więc wiem, że wszystko będzie... - Umilkła wreszcie zauważwszy, że choć cały czas ciągnie siostrę do powozu, ta nie rusza się ani o krok. - Portia wróciła! - zawołała przez ramię.

Zza powozu wyłoniło się kilka postaci. Gałęzie drzewa rzucały na ich twarze roztańczone cienie.

Rozpoznała Larkina. Wzrok miał jeszcze smutniejszy i bardziej skupiony niż zwykle. Wilbury miał na sobie nocną koszulę, powiewającą wokół jego chudego ciała niczym

całun. Na końcu dostrzegła Adriana. Obejmował Caroline tak mocno, jakby już nigdy nie chciał jej wypuścić.

Ogarnęła ją tak wielka ulga, że kolana się pod nią ugięły. Julian chwycił ją, zanim upadła na ziemię i podtrzymał, dopóki nie odzyskała równowagi i siły.

Wolno szła w stronę rodziny, niewiele widząc, ponieważ oczy miała zalane łzami. Kiedy podeszła bliżej, zauważyła, że twarze mają pobladłe i smutne. Wyglądali jak cienie samych siebie sprzed kilku dni. Nagle wydało jej się, że minęły całe wieki, odkąd widziała ich ostatni raz.

Caroline miała na sobie powłóczystą nocną koszulę, a na ramionach zarzucony płaszcz Larkina. Adrian był ubrany jedynie w spodnie, wysokie buty i pobrudzoną sadzą koszulę. Kiedy Portia się zbliżyła, żadne z nich nie zrobiło kroku w jej stronę. Spojrzała zdziwiona na Larkina, ale on tylko złożył ramiona na piersi i wbił wzrok w czubki swoich zniszczonych butów.

Spojrzała na Wilbury'ego i zobaczyła widok jeszcze bardziej przerażający niż ruiny spalonego domu. Staruszkowi trzęsła się broda, a po pergaminowych policzkach spływały łzy.

Chociaż Adrian delikatnie gładził żonę po głowie, jej oczy błyszczały nieprzytomnie. Portia nigdy jeszcze nie widziała jej w takim stanie. Natomiast oblicze siostry nie wyrażało żadnych uczuć, przypominało malowane twarze lalek Eloisy.

Portia lekko dotknęła rękawa siostry. Ręka już zaczynała jej drżeć.

- Caro, gdzie jest Ellie? Spi w powozie?

Caroline spazmatycznie wciągnęła powietrze.

- Zniknęła. Zabrali ze sobą Eloisę. Zabrali moją córeczkę - powiedziała, patrząc na siostrę martwym wzrokiem.

Z początku Portii wydawało się, że nieludzki okrzyk rozpacz i wściekłości wydobył się z jej własnego gardła. Ale to krzyknął Julian, stojący nieopodal nich i patrzący na ruiny domu, jakby to był grób, w którym spoczęły wszystkie jego marzenia.

- Wasz plan musiał powieść się znakomicie - powiedział Adrian głosem ochrypłym od wdychanego dymu. - Najwyraźniej udało wam się wywołać u Valentine morderczy szał. Jak dobrze wiecie, wampiry nienawidzą ognia, więc wysłała swoich pomagierów, żeby zrobili za nią brudną robotę. Gdyby Wilbury nie wyczuł dymu i nie wszczął alarmu, zginęlibyśmy w płomieniach we własnych łóżkach. Kiedy Caroline wpadła do pokoju dziecinnego, było już za późno. Eloisa zniknęła. Ci dranie ją zabrali.

Julian potrząsnął głową. Jego głos brzmiał niemal równie ochryple, jak głos brata.

- Przez myśl mi nie przeszło, że zechce wam zrobić coś złego. Przecież to mnie chciała dopaść. To ja powinienem tu być... i czekać na nią. Albo powinienem był ją unicestwić, kiedy miałem szansę.

Vivienne zacisnęła dłoń na ramieniu Portii.

- Gdzie byliście tyle czasu? Bałam się, że Valentine porwała i was.

Portia spojrzała w ufne, niebieskie oczy siostry, nie mogąc znaleźć odpowiednich słów. Jak mogła wyjaśnić, że to nie Valentine ją porwała, ale Julian? I że bardzo chętnie poddała się tej niewoli? Wiele razy. Kiedy jacyś zwyrodnialcy porywali małą Eloisę z jej własnego łóżka i rodzinny dom zamie-

niał się w pogorzelnisko, ona tuliła się w powozie do Juliana, wciąż pijana od rozkoszy, których zaznała poprzedniej nocy.

Gorączkowo szukała w myślach dobrej odpowiedzi, kiedy Adrian przekazał Caroline pod opiekę Wilbury'ego i podszedł do niej. Zanim się zorientowała, co chce zrobić, pociągnął za koniec fularu, który miała na szyi, rozwiązał go i ukazał całemu światu świeże ślady po ukąszeniu na jej szyi.

Larkin zaklął, a Vivienne jęknęła głucho. Wilbury tylko pochylił głowę, a w jego załzawionych oczach ukazał się bezbrzeżny smutek. Caroline nawet nie mrugnęła okiem.

Przez chwilę wszystkim się wydawało, że nawet śnieg przestał padać. Potem Adrian rzucił się na Juliana, przebijając dzielącą ich przestrzeń w trzech długich susach. Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, jego potężna pięść wylądowała na szczęce brata.

Julian zachwiał się, ale nie upadł. Nie próbował też się bronić. Rozłożył tylko ramiona, jakby chciał zrobić z siebie łatwiejszy cel. Portia wątpiła, czy kiwnąłby palcem, żeby ratować swoje życie, nawet gdyby Adrian chwycił jeden z kawałków zwęglonego drewna, które leżały na ulicy, i wbił mu go prosto w serce.

Adrian nie zdążył tego zrobić, ponieważ Portia i Larkin powstrzymali go, chwytając z obu stron za ramiona. Mógłby łatwo strząsnąć ją z siebie, niczym dokuczliwą muchę, ale wiedziała, że tego nie zrobi. Nigdy celowo by jej nie skrzywdził.

- Ty draniu! - rzucił Julianowi w twarz. - Powinienem był wiedzieć, że nie dasz rady utrzymać swoich krwiożerczych kłów i pazernych łap z dala od tej dziewczyny!

- Adrianie, przestań! - zawołała Portia, nadal kurczowo

trzymając go za ramię. - To nie było tak! On nie chciał tego zrobić. To ja nalegałam, żeby się napił mojej krwi.

Adrian odwrócił się ku niej gwałtownie, strząsając z ramienia rękę Larkina.

- Dlaczego to zrobiłaś? Czyżby znów był na skraju śmierci? A może po prostu zabrakło mu porto, który pije szklan-
kami, jak wodę. - Z obrzydzeniem spojrzął na Juliana. - Czy już nie dość ją skrzywdziłeś w krypcie? Znów musiałeś zrobić z niej ofiarę swoich przeklętych żądz? Czy twoja pazerność, pożądanie i egoizm nie mają granic?

Julian tylko na niego patrzył. Twarz miał niemal równie pozbawioną wyrazu jak Caroline.

Na twarzy Adriana malowała się teraz tragiczna rezygnacja. Dłonie już nie zaciskały się w pięści, ale zwisały bezradnie po bokach.

- Jules, jesteś moim młodszym bratem. Kocham cię od dnia, w którym udało ci się samemu wyjść z łóżeczka i wdrapać się na moje kolana. Potem całymi dniami dreptałeś za mną jak mały psiak. Robiłem wszystko, co w mojej mocy, żeby cię chronić i ocalić. Ale jakim kosztem? Kosztem niewinności Portii? Życia mojej córki?

- Nie wiń się o nic - powiedział Julian cicho. - Jedynym twoim grzechem jest miłosierdzie, więc mam nadzieję, że Bóg ci wybaczy.

Portia patrzyła z niedowierzaniem, jak odwraca się i odchodzi.

- To nie była twoja wina - oznajmiła z mocą, podążając za nim. - Valentine nie ośmieli się skrzywdzić Eloisy w jakikolwiek sposób, dopóki wierzy, że ma szansę odzyskać cię. Znajdziemy Eloisę. Razem sprowadzimy ją z powrotem do

domu! - Z każdym krokiem mówiła coraz bardziej gorąco. Chwyliła go za rękaw, próbując zatrzymać.

Odwrócił się i zobaczyła, że kły ma wydłużone i ostre, a oczy płoną mu dziko, niczym dwa rozżarzone węgle. Odruchowo cofnęła się o krok, zanim zdążyła zapanować nad sobą.

- Nie widzisz, że Adrian ma rację! Właśnie przed tym usiłowałem cię ostrzec. Dlatego przez tak długie lata trzymałem się od ciebie z daleka.

Gorące łzy popłynęły jej po policzkach.

- Ale przecież wyznałeś, że przez cały ten czas nigdy nie przestałeś mnie kochać.

- Moja miłość zatruwa wszystko, czego się dotknę. Gdybym pozwolił, żeby zniszczyła i ciebie, byłbym jeszcze bardziej przeklęty niż teraz. - Chociaż był zły, wyciągnął rękę i opuszkami palca czule otarł łzę z jej twarzy. - Wtedy, w krypcie, powinnaś była pozwolić mi umrzeć.

Znów ruszył przed siebie, a Portia ku własnemu zaskoczeniu poczuła, że ogarnia ją furia.

- Wiesz co? Masz absolutną rację. Żałuję, że pomogłam ci przeżyć. I żałuję, że w ogóle cię poznałam, bo od tego dnia codziennie, bez przerwy, dźwigam ciężar miłości do ciebie. Nie zaczerpnęłam ani jednego oddechu, który nie byłby zatruty tą miłością.

Nadal szedł przed siebie.

- Jeśli tym razem odejdziesz z mojego życia, to nigdy możesz już nie wracać.

Zatrzymał się, a potem szybko podszedł do niej. Chwytiwszy ją za ramiona, złożył najej ustach gorzko-słodki pocałunek, w którym zawarł całą swoją tęsknotę i żal za popełnione czyny.

Potem znów odszedł, zostawiając ją ze smakiem swojego pocałunku na wargach i wspomnieniem namiętności, której mogła już nigdy więcej nie zaznać.

Zrobiła chwiejny krok naprzód, ale powstrzymał ją gorączkowy krzyk Caroline:

- Portio, pozwól mu odejść! On nie potrafi się zmienić. Sprowadził na nas tylko cierpienie i klęski. Żałuję, że w ogóle do nas wrócił! - Jej głos przeszedł w pełne bólu łkanie. Osunęła się na kolana i chwyciła się za brzuch.

- Larkin, sprowadź lekarza! - zawołał Adrian, przyklękając obok żony.

Portia bez ruchu stała na chodniku, rozdarta między chęcią niesienia pomocy cierpiącej siostrze i miłością do najdroższego człowieka. Jeszcze raz spojrzała na oddalającego się Juliana, a potem uniosła suknię i pobiegła do Caroline.

Opadła na kolana i przycisnęła lodowatą rękę siostry do swojej piersi.

- Wszystko będzie dobrze. Znajdziemy Ellie i sprowadzimy ją do domu. Przysięgam ci na własne życie.

Kiedy znów się obejrzała, śnieg i popiół przysypywały pusty chodnik. Julian zniknął.

XVIII

uthbert umościł się wygodniej w łóżku, posapując z satysfakcją. W nogach łóżka, zawinięta w kawałek flaneli, leżała rozgrzana cegła i ogrzewała mu nogi, zjedzony na kolację pudding śliwkowy rozgrzał mu żołądek, więc Cuthbert już się cieszył na myśl o spokojnie przespanej długiej, zimowej nocy.

Już prawie spał, kiedy coś zaczęło pukać w okno jego sypialni. Półprzyciennie pomyślał, że pewnie śnieg zamienił się w grad. Przewrócił się na drugi bok i podciągnął kołdrę pod brodę. Pukanie nie ustawało, było coraz bardziej uporczywe i rytmiczne.

Usiadł gwałtownie na łóżku, aż frędzel szlafmicy opadł mu na oko. Może jakaś gałąź załamała się pod ciężarem śniegu, a wiatr uderzał nią teraz o szybę. Był tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać. Cuthbert rozsunał zasłony przy łóżku i niechętnie postawił stopy na zimnej, drewnianej podłodze.

Z bijącym niespokojnie sercem podszedł do okna. Przygasający ogień na kominku rzucał dziwaczne cienie na ściany, sprawiając, że nawet dobrze znane sprzęty wyglądały obco i niepokojąco. Był już niemal przy oknie, kiedy kątem oka zauważył jakiś dziwny, skrzydlaty kształt. Odwrócił się błys-

kawicznie, ale wszystko w pokoju wyglądało tak jak przed chwilą.

Pokiwał głową nad własną wybujałą wyobraźnią i znów odwrócił się do okna. Na parapecie siedział Julian i patrzył prosto na niego.

Cuthbert zapiszczał jak przydeptana mysz i cofnął się w panice. Włożył dłoń pod wycięcie nocnej koszuli i sięgnął po pewną błyskotkę, którą sprawił sobie niedawno, właśnie na taką okoliczność. W panice wyjął na wierzch zawieszony na łańcuszku srebrny krucyfiks i wyciągnął go w stronę okna.

Julian wzdrygnął się lekko i zasyczał zdegustowany.

- Na litość boską, Cubby - powiedział na tyle głośno, że było go słychać przez szybę. - Schowaj ten krzyżyk do szuflady i otwórz to cholerne okno. Tyłek mi zamarza. - Kiedy Cuthbert jeszcze raz wyciągnął ku niemu krucyfiks z teatralnym zapałem, z rezygnacją wywrócił oczami. - Nie potrzebujesz tego krucyfiks. Nie mogę wejść do tego pokoju, chyba że sam mnie zaprosisz.

- Aha. - Cuthbert był nieco rozczarowany, że jego dramatyczne gesty, jak i dwa funty wydane u jubilera nie zdały się na nic.

Posłusznie schował krzyżyk do szuflady w komodzie, a potem uchylił nieco okno.

- A więc po co tu przyszedłeś? Przysłał cię tu twój pan? Julian zmarszczył brwi.

- Jaki pan.

- No wiesz. Książę Ciemności. Lucyfer. Belzebub.

Kane zmierzył go gniewnym spojrzeniem.

- Chociaż zapewne prędzej czy później zapoznam się

z tym dżentelmenem, to jednak teraz nie utrzymujemy przyjacielskich stosunków.

- No to po co przyszedłeś? - dopytywał się Cuthbert.
- Jeśli mnie zaprosisz, to ci powiem.

Dawny przyjaciel popatrzył na niego podejrzliwie.

- Skąd mam wiedzieć, że to nie jakiś podstęp, dzięki któremu będziesz mógł wbić mi kły w szyję i wyssać każdą kroplę krwi z mojego biednego, bezbronnego ciała.

Julian błyskawicznym ruchem wsunął dłoń przez wąską szczelinę w oknie, chwycił go za ozdobiony marszczeniami kołnierz koszuli nocnej i przyciągnął go do siebie tak blisko, że ich nosy niemal się zetknęły.

- Możesz być pewien, że tego nie zrobię, bo gdybym chciał, to mógłbym wyciągnąć cię przez okno i zrzucić na ulicę. Połamałbyś sobie wszystkie kości i wątpię, czy byłbyś w stanie się mi opierać.

Kiedy Julian go wypuścił, Cuthbert odrzekł z przesadną uprzejmością:

- Dobrze. W takim razie serdecznie zapraszam. Jak, u diabła, wszedłeś na ten parapet? Przecież to jest drugie piętro
- dopytywał się, kiedy Julian już wszedł do jego sypialni.
- Wierz mi, wolałbyś tego nie wiedzieć - odparł, strzepując śnieg z ramion, pokrytych jedynie cienką koszulą.
- Co zrobiłeś z płaszczem?
- Oddałem go pewnej ślicznej dziewczynie. Chyba nie spodziewałeś się po mnie niczego innego.
- Raczej nie.

Cuthbert wychylił się przez okno i rozejrzał na obie strony po pustej ulicy. Dopiero potem starannie je zamknął.

- Masz szczęście, że nikt cię tu nie widział. Wallingford

i wynajęci przez niego ludzie od kilku dni śledzą każdy mój krok.

- A to dlaczego?

- Najprawdopodobniej ma nadzieję, że znów mnie zwa-
bisz w swoje sidła i będzie mógł nas przyłapać na czymś, za
co można trafić do więzienia albo nawet na szubienicę.
Plotka głosi, że wpadł w szal, ponieważ Adrian spłacił
wszystkie twoje karciane długi. Wbił sobie też do głowy, że
planujesz jakieś nieczne czyny, ponieważ zamieszkałeś pod
jednym dachem z uroczą i niewinną panną Portią Cabot.

Julian odwrócił wzrok. Minę miał ponurą.

- Cóż, już nie musi się o to martwić.

- Dlatego, że już nie jest niewinna, czy dlatego, że już nie
mieszkacie pod jednym dachem?

Zamiast odpowiedzi Julian nonszalancko przyglądał
zmięte mankiety koszuli.

- Ojej -jęknął Cuthbert, opierając się bezwładnie o para-
pet. - Już nie jest niewinna i dlatego też już nie mieszkacie
pod jednym dachem. Dlaczego mnie to nie dziwi?

Wciąż unikając jego wzroku, Julian zaczął niespokojnie
krążyć po pokoju. Kiedy zbliżył się do łóżka, zaczął węszyć
ze zde gustowaną miną.

- Chryste, Cubby! Co to za obrzydliwa woń? - Kiedy
Cuthbert nie odpowiedział, rozsunał zasłony i zobaczył war-
kocz czosnku zwisający pod baldachimem.

Czując na sobie pełne wyrzutu spojrzenie starego przyja-
ciela, Cuthbert zdjął czosnek z haczyka i przez okno wy-
rzucił go na pokrytą śniegiem ulicę.

Wrócił i zobaczył, że gość podejrzliwie przygląda się
stojącej na nocnym stoliku szklance z wodą.

- Mam nadzieję, że to nie jest...

- Och, nie! - zapewnił go Cuthbert pospiesznie. - To zwykła woda. Czasami w nocy chce mi się pić, a nie znoszę schodzić do kuchni w szlafroku.

- Wiesz, gdybym chciał cię zjeść, zrobiłbym to pewnej nocy we Florencji - oznajmił pogodnie Julian. - Wypiłeś wtedy za dużo wina w tawernie i zasnąłeś na kolanach jakiejś tancerki. Nie musiałbym cię wtedy dźwigać na plecach na wzgórze do hotelu, w którym się zatrzymaliśmy.

Cuthbert westchnął z rezygnacją.

- Prawdę mówiąc, bardzo mi ciebie brakowało. Ojciec codziennie ciągnie mnie ze sobą na popołudniowe przedstawienia i herbatki. Każę mi słuchać nieznośnie długich kazań na temat fizycznych i psychicznych zalet zachowania wstrzemięźliwości.

Julian wzdrygnął się.

- Dziwię się, że jeszcze nie zacząłeś się modlić o szybką śmierć z rąk pierwszego lepszego wampira.

- Przeczytałem w twoim liście o tym, jak zostałeś wampirem i co ten straszny drań Duvalier ci zrobił.

Przyjaciel spojrział na niego zaskoczony.

- Jak mogłeś to przeczytać? List wrócił do mnie z nienaruszoną pieczęcią.

- Nie chciałem, żebyś wiedział, że go przeczytałem, więc stopiłem trochę wosku i zapieczętowałem go na nowo.

- Zdjął szlafmycę i zaczął bawić się zdobiacym ją frędzlem, unikając wzroku Juliana. - Jeśli już musisz wiedzieć, trochę się obraziłem, ponieważ twój brat i ten jego przyjaciel nazywali mnie twoim „pomagierem”.

- To przecież jakaś bzdura. Wcale nie jesteś moim poma-

gierem. Pomagier wampira to śmiertelnik, który z własnej woli mu służy i załatwia jego sprawy w ciągu dnia. Robi drobne sprawunki, dostarcza mu funduszy, kiedy ten nie...
- Julian umilkł, widząc uniesioną brew Cuthberta. - Nie mówmy o tym więcej.

Odszedł kilka kroków, ale zaraz wrócił i spojrzał na niego z taką szczerością i desperacją, jakiej Cuthbert jeszcze u niego nie widział.

- Nie przyszedłem tutaj dzisiaj, żeby cię prosić o pieniądze. Potrzebuję twojej pomocy. Chodzi o życie pewnej małej dziewczynki i o całą moją przyszłość.

- A tak na marginesie, czy jeśli zdecyduję się ci pomóc, to narażę się na jakieś straszliwe niebezpieczeństwo?

Julian poważnie skinął głową.

- Na niebezpieczeństwo najgorsze z możliwych.

- Zaryzykuję życie, zdrowie, a może nawet moją duszę nieśmiertelną?

- Obawiam się, że tak. Być może czeka nas długa i bolesna śmierć z rąk moich wrogów.

Cuthbert wzruszył ramionami.

- Cóż, to lepsze niż na starość umrzeć na podagrę w ciepłym łóżku albo zanudzić się na śmierć na kolejnym wykładzie o abstynencji, na który zabierze mnie ojciec. - Włożył szlafmycę, przekrzywiając ją zawadiacko. - No to kiedy wyruszamy?

Było tuż po świcie, kiedy lekarz wyłonił się z sypialni w domu Larkina i Vivienne, gdzie Adrian zaniósł Caroline kilka godzin wcześniej.

Adrian podszedł do niego ze wzrokiem, w którym płonęła

nadzieja. Był nieogolony i zmęczony. Larkin podtrzymywał ramieniem Vivienne, która właśnie wróciła z kolejnej wizyty w pokoju dziecięcym. Zaglądała tam co chwila, żeby się upewnić, że bliźniaki bezpiecznie śpią w swoich łóżkach. Patrzyła na wschodzące nad horyzontem słońce i zastanawiała się, czy Julian jest zabezpieczony przed jego śmiertelnymi promieniami.

Adrian nadal miał na sobie poplamioną sadzą koszulę i pokryte popiołem buty.

- Jak ona się czuje, doktorze?

Doktor McKinley był niskim, krępyim człowiekiem o zadartym nosie i oczach, które w mniej dramatycznych okolicznościach stale się uśmiechały.

- Obawiam się, że pańska żona przeżyła poważny wstrząs. Ale mam powody, by przypuszczać, że z dzieckiem, które nosi w sobie, będzie wszystko w porządku.

- Dzięki Bogu! - Adrian bezwładnie oparł się o ścianę i głośno odetchnął z ulgą. Drżącą ręką przygładził zmierzwiłone włosy. - Proszę mi powiedzieć, co mogę dla niej zrobić.

- Sądzę, że dziecko jest bezpieczne... przynajmniej na razie. Ale boję się tego, co się może stać, jeśli nie znajdziecie tych złoczyńców, którzy porwali państwa córeczkę.

- Och, znajdziemy ich - zapewnił Adrian. Na widok wyrazu jego oczu lekarz nerwowo cofnął się o krok.

- Czy zawiadomił pan o wszystkim władze? - zapytał.

Larkin wymienił spojrzenia z Adrianem i odchrząknął.

- Kiedyś pracowałem w policji. Zapewniam pana, że wszystkie odpowiednie osoby zostały o tym zdarzeniu zawiadomione i że zrobimy wszystko, co w ludzkiej mocy,

żeby córeczka mojego przyjaciela wróciła w ramiona matki jeszcze dziś przed zachodem słońca.

- Czy mogę zobaczyć żonę? - zapytał Adrian, od razu ruszając do drzwi sypialni.

Lekarz powstrzymał go, unosząc dłoń, co było dosyć śmiałym gestem, biorąc pod uwagę imponującą posturę Adriana.

- Jeszcze nie teraz. - Przyjrzał się wszystkim po kolei przez szkła okularów w drucianych oprawkach. W końcu zatrzymał wzrok na Portii. - Panna Portia, czyż nie?

Wystąpiła krok naprzód.

- Tak, to ja.

- Siostra chce najpierw zobaczyć się z panią.

- Ze mną? Chce się widzieć ze mną? - Portia nie umiała ukryć zaskoczenia. Spodziewała się, że Caroline wini ją za wszystko, co się wydarzyło. Nieraz wybaczała jej wiele przewinień i błędów, ale zapewne nawet osoba obdarzona tak dobrym sercem jak Caroline nie będzie w stanie zapomnieć o czymś tak okropnym.

Zaskoczona, spojrzała pytająco na Adriana, ale ten tylko ze znużeniem skinął głową, zachęcając ją do wykonania życzenia siostry.

Zebrawszy całą odwagę, wyminęła lekarza i weszła do sypialni, cicho zamykając za sobą drzwi.

Caroline leżała w łóżku opierając się na poduszkach, ubrana w jeden z lawendowych szlafroków Vivienne. Błądą twarz zwróciła ku oknu, jakby w nadchodzącym świetle dnia widziała całą swoją nadzieję na przyszłość.

Odezwała się, zanim Portia otworzyła usta.

- Obawiam się, że trzymają ją w jakimś ciemnym miejs-

cu. A przecież wiesz, jak ona boi się ciemności. Zawsze jej powtarzałam, żeby się nie bała, że w mroku nie czają się żadne potwory. - Oderwała wzrok od okna i spojrzała na Portię. Oczy miała czyste i szare jak niebo o świcie. - Nie powinnam była jej okłamywać, prawda? Źle zrobiłam.

Portia podeszła do łóżka i przysiadła obok niej.

- Mówiłaś mi to samo, kiedy byłam mała. Ale i tak wiedziałam swoje.

- To dlatego, że chciałaś wierzyć w najróżniejsze stwory, skrzaty, straszdyła i chochliki. Według ciebie one tylko czekały na to, żeby jakaś odpowiednia mała dziewczynka odczyniła urok i uwolniła je.

- Cóż, najwyraźniej nie jestem odpowiednią małą dziewczynką. - Portia spuściła głowę, mając nadzieję, że w ten sposób ukryje łzy napływające jej do oczu.

Caroline potargała jej włosy, przypominając im obu o czasach, kiedy miały oparcie tylko w sobie.

- Żałuję, że powiedziałam takie straszne rzeczy o Julianie. Być może jest potworem, ale twoim potworem i to nie było z mojej strony fair.

Portia wzięła siostrę za rękę i przełknęła ślinę, choć gardło miała ściśnięte.

- Chcę ci powiedzieć, co się zdarzyło wtedy w krypcie.

Caroline potrząsnęła głową, a przez jej usta przemknął cień dawnego, znajomego uśmiechu.

- Nic nie mów. Są tajemnice, które powinny zostać między kobietą i jej ukochanym mężczyzną. Jeśli o mnie chodzi, jest tylko jedna rzecz, którą możesz zrobić.

Portia mocno zacisnęła palce na dłoni siostry.

- Wiesz, że zrobię dla ciebie wszystko.

Starsza siostra położyła drugą rękę na jej policzku i powiedziała tak wyraźnie, jakby to miały być ostatnie słowa w jej życiu:

- Sprowadź moją córeczkę do domu.

Adrian i Larkin wjechali konno na szczyt niewielkiego wzniesienia, z którego roztaczał się widok na Chillingsworth Manor. Po chwili dołączyła do nich Portia na jabłkowitej klaczy, którą na dwudzieste pierwsze urodziny podarował jej Adrian. Miała na sobie ciemnoniebieski wełniany strój do konnej jazdy i sięgające do połowy łydki mocne buty. Włosy zaczesła w węzeł na karku, a szyję obwiązała jedwabnym szalem, żeby ukryć świeże rany.

Tak jak się spodziewała, Adrian nawet nie próbował udzielić jej reprimendy ani nie zniechęcał jej do pozostania z nimi. Już odkąd opuścili przedmieścia Londynu, doskonale zdawał sobie sprawę, że za nimi jedzie. Gdyby chciał ją powstrzymać i zawrócić z drogi, zrobiłby to już dawno.

Teraz tylko spojrział na nią przeciągle.

- Wiesz, po co tu przyjechaliśmy, prawda? Jeśli unicestwimy Valentine...

Nie musiał kończyć. Jeśli zlikwidują Valentine, dusza Juliana wróci do wampira, który skradł duszę tej wampirzycy ponad dwieście lat temu. Nawet jeśli Julian będzie w stanie odnaleźć tę bestię, wampir zapewne okaże się tak silny, że pokonanie go będzie niemożliwe.

Portia patrzyła wprost przed siebie, z równie zaciętą miną jak oni.

- Julian dokonał wyboru, kiedy odszedł ode... - Urwała i na chwilę przymknęła oczy. - Kiedy odszedł od nas

wszystkich. Teraz liczy się tylko to, żeby odnaleźć Eloisę i zabrać ją do domu.

Adrian skinał głową z aprobatą, a potem odwiązał od siodła małą kuszę z kompletem bełtów i podał jej. Większość dnia spędził, chodząc z Larkinem po zbrojowniach, kuźniach i placach targowych w dokach, żeby uzupełnić broń, którą stracili w pożarze.

Portia przerzuciła kuszę przez ramię i przypięła kołczan do paska. Robiła to pewnymi ruchami, co było efektem wielogodzinnych ćwiczeń w opustoszałej sali balowej domu Adriana.

W złotym świetle popołudniowego słońca domostwo wyglądało jeszcze smutniej i nędzniej niż w nocy. Słońce lśniło na cienkiej warstwie śniegu zalegającej na dachu i rozpadających się kominach, ale nie rozjaśniało ponurego cienia, który zdawał się stale wisieć nad tą budowlą.

Zanim zdążyli zjechać w dół wzgórza, chłodny zimowy wiatr przyniósł do ich uszu odgłos uderzających o ziemię końskich kopyt. Odwrócili się i zobaczyli, że kolejny jeździec wspina się do nich po zboczu.

Na chwilę Portia wstrzymała oddech. Potem zobaczyła grzywę siwych włosów na głowie zbliżającego się jeźdźca.

Larkin z niedowierzaniem potrząsnął głową.

- To chyba jakiś żart.

Adrian spojrział na Portię oskarżycielsko, ale ona tylko wzruszyła ramionami.

- Nie miałam pojęcia, że za mną jedzie.

Wilbury podjechał do nich na jednym z najbardziej narowistych - i najdroższych - ogierów Adriana. Kościste ciało lokaja niemal zgięło się we dwoje pod ciężarem różnego

rodzaju broni, włączając w to kuszę, kołczan z bełtami i skórzany pas z kołkami w różnych rozmiarach oraz ostrzem, które podejrzanie przypominało kuchenny nóż do mięsa. Za pasek staromodnych bryczesów zatknął nawet wiekowy pistolet skałkowy. Mimo tego imponującego wyposażenia nadal bardziej pasował do karawanu pogrzebowego niż do narowistego rumaka.

Zatrzymał się obok Portii i zapytał przeciągle:

- Pan dzwonił, milordzie?

- Nie, na pewno nie dzwoniłem - warknął Adrian. - Czy postradałeś wszystkie zmysły, staruszku? Powinieneś teraz siedzieć w domu i polerować srebra, a nie narażać na niebezpieczeństwo swoje stare kruche kości, włócząc się po okolicy na koniu, który nie jest jeszcze do końca ujeżdżony.

- Przypominam, że nie ma już żadnego srebra do polerowania. Ani nawet domu, w którym mógłbym to robić. Właśnie dlatego przyjechałem pomóc. Przeżyłem długie i pełne wrażeń życie, milordzie. Co gorszego od śmierci może mi się przydarzyć?

Patrząc na jego chude, żylaste ciało, Larkin stłumił uśmiech.

- Może cię wezmą za jednego ze swoich pobratymców i zapragną uczynić cię swoim królem?

Wilbury zgromił go wzrokiem.

- Jeśli dopisze mi szczęście, a pan wykaże się celnym okiem, mogę dożyć nawet swoich sześćdziesiątych czwartych urodzin.

Oczy Larkina rozszerzyły się z niedowierzania, a Portia nagle dostała ataku kaszlu i musiała zasłonić usta rękawiczką.

Adrian przyjrzał mu się uważnie.

- Wilbury, miałeś co najmniej sześćdziesiąt lat, kiedy ja nosiłem krótkie spodnie.

- Co za niedorzeczność - zaprotestował urażony kamerdyner, z godnością pociągając nosem. - Wydawałem się panu stary, bo był pan jeszcze dzieckiem. I proszę się nie martwić, że będę przeszkadzał. Przecież wiem, jak się zachowywać w takich sytuacjach. Zapewniam, że w młodości brałem udział w wielu bitwach.

Larkin prychnął rozbawiony.

- Pewnie walczyłeś z normańskimi hordami, kiedy najechały na Anglię, co?

Portia uściśnęła dłoń staruszka, dodając mu otuchy.

- Byłoby dla mnie zaszczytem walczyć w bitwie u twojego boku.

- Dziękuję, panno Portio - odrzekł równie poważnie.

- Nie przyjechałbym tu, ale martwiłem się o małą panienkę Eloisę. Przecież tylko ja umiem ją pocieszyć, kiedy się budzi ze złego snu. Daję jej kubek ciepłego mleka, recytuję kilka zwrotek wierszyka dla dzieci i wtedy spokojnie zasypia.

Portia czuła, że łzy kłują ją pod powiekami. Miała nadzieję, że Wilbury uznaje za efekt działania mrozu i silnego wiatru owiewającego wzgórze.

- Jestem pewna, że kiedy już ją znajdziemy, bardzo się ucieszy na twój widok.

Adrian spojrział przez ramię na szybko zachodzące słońce.

- Jeśli mamy jechać, to najlepiej ruszajmy już teraz, zanim nadjadą bliźniaki na swoich kucykach, wymachując drewnianymi mieczami.

Ponagliwali konie i podążyli jego śladem w dół, zdecydowani nie tracić ani jednej cennej minuty jasnego dnia.

Wpadli do domostwa, jakby rzeczywiście znaleźli się na polu bitewnym. Zerwali krepę ze wszystkich okien, więc zimowe słońce wpadło do zakurzonych sal i opustoszałych korytarzy. Portia i Adrian przeszukali pokoje na górze, wypatrując ukrytych schodów i przejść, gdy tymczasem Larkin i Wilbury, z gotowymi do strzału kuszami, przeczesali kuchnię i piwnice.

Portia weszła do obszernej komnaty sypialnej na trzecim piętrze, po czym stanęła jak wryta. Dwa komplety żelaznych kajdan i łańcuchów zwisały z głęboko osadzonych w ścianie haków. Wzdrygnęła się, wspominając, jak Valentine zaproponowała, żeby pomagierzy Rafaela zabawiali ją, podczas gdy ona dotrzyma towarzystwa Julianowi. Sądząc z metalicznego zapachu, który wciąż unosił się w powietrzu, i z ciemnych plam, zaschniętych na drewnianej podłodze, wątpiła, czy jeszcze kogokolwiek w życiu zabawią.

- Co to jest? - zapytał cicho Adrian, stając za nią.

Potrząsnęła głową.

- Coś, czego wolałabym nie pamiętać.

Dla dodania otuchy lekko uściśnął jej ramię, a potem poprowadził do następnego pomieszczenia.

Wrócili do sali balowej dokładnie w chwili, kiedy Larkin i Wilbury wyłonili się z niższego poziomu domostwa. Do włosów przyczepiały im się smugi pajęczyn. Wilbury'emu było w nich nawet do twarzy.

- Nic nie znaleźliśmy - oznajmił Larkin. Minę miał ponurą. - Żadnych wampirów ani ich pomagierów. A co najgor-

sze, ani śladu Eloisy. Nie natknęliśmy się nawet na jedną trumnę, która mogłaby służyć wampirowi za kryjówkę.

Portia zmarszczyła brwi.

- Czy na terenie posiadłości znajduje się rodzinna krypta?

Larkin potrząsnął głową.

- Pozwoliłem sobie dzisiaj odwiedzić poprzedniego właściciela tego domostwa. Przysiągł, że wszyscy jego przodkowie są pochowani na przykościelnym cmentarzu w pobliskiej wiosce.

Długa sala zaczynała pogrążyć się w mroku. Portia zerknęła na wielkie okna po drugiej stronie komnaty.

- Adrianie, słońce już zachodzi. Co robimy?

Zaklął gniewnie pod nosem.

- Mam wielką ochotę spalić to przekłete miejsce, żeby na jego miejscu została tylko kupa popiołu.

- Wiem, ale nie odważymy się na to - odrzekła. - Przy najmniej dopóki się nie upewnimy, że nie schowali w jego murach Eloisy.

- Istnieje wielkie prawdopodobieństwo, że Valentine spodziewała się naszej wizyty tutaj w pierwszej kolejności - stwierdził Larkin. - Jeśli ostrzegła Rafaela, żaden wampir nigdy już nie przekroczy progu tego domu. Może powinniśmy wracać do Londynu - zaproponował niechętnie. - Być może podczas naszej nieobecności przysłała jakąś wiadomość.

- Z żądaniem okupu? - ironicznie spytał Adrian. - I co miałyby mi napisać? Przynieś mi głowę swojego brata, bo inaczej nigdy więcej nie zobaczysz swojej córki żywej?

- Przecież nie mógłbyś jej dostarczyć głowy Juliana, bo

odcięta od ciała rozpadłaby się w pył - zauważył rozsądnie były policjant.

Adrian spojrział na niego gniewnie.

- Użyłem przenośni.
- Ona wcale nie chce jego głowy - dodała ponuro Portia.
- Chce jego serca.

Adrian wzburzył dłonią włosy.

- Przed odjazdem jeszcze raz sprawdzę piwnice. Choćby po to, żeby uspokoić sumienie.

- Ja zostanę tu na straży - zaproponowała Portia, kiedy Adrian z Larkinem ruszyli w stronę wejścia do piwnic.

- Piwnica to ostatnie miejsce, gdzie chcielibyście się znaleźć, jeśli wrócą wampiry.

- Czy mam zostać z panienką? - zapytał Wilbury, patrząc za odchodzącymi mężczyznami.

Portia zdjęła kuszę z ramienia, włożyła w nią bełt i uśmiechnęła się do niego pocieszająco.

- Dam sobie radę. A oni mogą potrzebować takiego młodego osiłka jak ty, kiedy przyjdzie im wyważyć jakieś drzwi albo przesunąć wielki kamień.

Z wdzięcznością skinął jej głową i podążył za odchodzącymi, nagle odzyskując młodzieńczy wigor. Portia usiadła na marmurowych schodach, wiodących na galerię, w głębi duszy zadowolona z tej chwili samotności.

Z trudem przychodziło jej uwierzyć, że zaledwie dwie noce wcześniej wirowała po tej sali w ramionach Juliana. Jeszcze trudniej było pogodzić się z tym, że być może już nigdy nie zazna takiej oszałamiającej przyjemności, jakiej tu doświadczyła. Niemal żałowała, że nie mogła zająć z nim w ciążę. Z chęcią zniosłaby upokorzenia, jakich niewątp-

liwie doznałaby od londyńskiego towarzystwa, żeby tylko mieć kogoś, kto by jej przypominał o Julianie. Może na przykład małego chłopca o pięknych, ciemnych oczach i psotnym uśmiechu. Kiedy to sobie wyobraziła, jej serce aż zadrżało z przejmującego bólu.

Poderwała się na równe nogi, ganiąc się za takie egocentryczne myśli, jak marzenie o własnym dziecku, podczas gdy mała Eloisa nadal znajdowała się na łasce tych krwiożerczych potworów. Zaczęła niespokojnie krążyć po sali, patrząc, jak znika ostatnie światło dnia. Nie mogąc znieść nadciągających ciemności, wyjęła z kieszeni spódnicy pudełko z hubką i krzesiwem, żeby zapalić kilka świec, które dostrzegła na sali.

Kiedy znów sięgnęła po kuszę i spojrzała na swoje dzieło, stojąc u stóp schodów, znów zobaczyła błyszczące w świetle świec oczy Juliana, poczuła jego silną dłoń na swoim karku, przyciągającą ją do siebie przy każdym tanecznym obrocie. Zeschłe liście wirowały u ich stóp w takt tęsknych dźwięków walca.

Kiedy zamknęła oczy, wydało jej się, że znów słyszy te dźwięki, niczym jakieś odległe echo. Przechyliła głowę w bok, tak pogrążona w marzeniach i tęsknocie, iż dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że to nie walc, tylko kołysanka. Kołysanka śpiewana melodyjnym sopranem, z lekkim francuskim akcentem.

Wolno otworzyła oczy i odwróciła się, czując, że cała się napina.

Na szczycie schodów stała Valentine, tak samo jak tamtej nocy. Portia szybko podniosła kuszę, ale zaraz równie szybko ją opuściła. W ramionach wampirzycy spała słodko mała Eloisa.



Portia gorączkowo przyglądała się buzi dziecka, ukrytej pod kaskadą miodowych loków, czując jednocześnie przerażenie i ulgę. Dziewczynka spała, a na jej policzkach wykwitał zdrowy rumieniec. Na szyi nie było widać żadnych ran, pierś poruszała się spokojnie i rytmicznie pod ozdobioną falbankami koszulką. Wydawała się cała i zdrowa.

Portia zdała sobie sprawę, że Valentine musiała tu przyjść z jedyne go pomieszczenia, którego ani ona, ani Adrian nie przeszukali dokładnie. Zapewne ukrywała się w pokoju ze złowrogimi plamami na podłodze i przymocowanymi do ściany łańcuchami, za które najprawdopodobniej należało pociągnąć, żeby odsłoniło się ukryte przejście lub pokój.

Palcem gładziła spust kuszy. Wiedziała jednak, że nie ma szans na oddanie celnego strzału w serce Valentine - przynajmniej dopóki ta wykorzystywała Eloisę jako tarczę.

Ellie była pulchnym, ciężkim dzieckiem, ale blade, szczupłe ramiona wampirzycy trzymały ją mocno, bez jakichkolwiek oznak zmęczenia. Obdarzona nadnaturalną siłą wampirzyca mogła pewnie trzymać dziecko na rękach całymi godzinami, nie odczuwając żadnej niewygody.

- Kiedyś też miałam dziecko - powiedziała Valentine cicho, spoglądając na twarz Eloisy z sympatią, od której

ciarki przebiegały po plecach. - Małą dziewczynkę, bardzo podobną do tej.

- I co się z nią stało? Zjadłaś ją?

Valentine rzuciła jej lodowate spojrzenie.

- Oczywiście, że nie. Po tym, jak zostałam napadnięta podczas spaceru nad Sekwaną i zamieniona w wampira, nigdy więcej nie zobaczyłam jej na oczy. Często się zastanawiałam, co się z nią stało. - Westchnęła, a w jej niesamowitych szmaragdowych oczach ukazał się cień smutku.

- Pewnie już dawno umarła ze starości.

Portia zdusiła w sobie iskierkę współczucia, wiedząc, że teraz nie może sobie na to pozwolić.

- Skoro kiedyś byłaś matką, to na pewno pamiętasz, jak to jest, kiedy się cierpi, bojąc się o dziecko. Moja siostra właśnie teraz tak cierpi. Każda minuta to dla niej koszmar.

- Postawiła stopę na pierwszym stopniu schodów, zbliżając się o krok do Eloisy. - Jeśli został w tobie chociaż strzęp człowieczeństwa, proszę, oddaj mi dziecko i pozwól mi zwrócić matce.

- Naprawdę bardzo bym chciała - odrzekła Valentine z westchnieniem żalu. - Zwłaszcza że tak ładnie mnie o to prosisz. Obawiam się jednak, że twoja siostra będzie musiała pocierpieć dłużej, dopóki Julian nie wróci w moje ramiona.

- To jedyna rzecz, której nie mogę ci dać! Nawet nie wiem, gdzie on jest.

- Chyba nie znudziłaś mu się tak szybko? Czyżbyś zapomniała, że znam jego nienasycony seksualny apetyt? Kiedy pierwszy raz byliśmy razem, nie wypuszczał mnie z łóżka przez cały długi, cudowny tydzień.

Żołądek Portii ścisnął się w bolesny węzeł. Bardzo się starała nie wyobrażać sobie, jak Julian robi z Valentine te same dzikie, namiętne i czułe rzeczy, które robił z nią.

- Dlaczego miałby cię porzucić, skoro możesz mu dać to, czego ja nigdy nie potrafiłam dać - miłość?

W ustach Valentine to słowo zabrzmiało jak przekleństwo. Eloisa poruszyła się niespokojnie w jej ramionach, lekko marszcząc brwi.

- Jak mogłam oczekiwać, że zrozumiesz miłość matki do dziecka albo kobiety do mężczyzny? - zapytała Portia, robiąc kolejny krok naprzód. - Ty znasz się jedynie na pożądaniu i przemocy, odczuwasz jedynie głód i chciwość. Miłość wymaga cierpliwości, czułości. Trzeba być w niej gotowym do poświęcenia się dla większego dobra.

- Miłość przede wszystkim nas osłabia! Zamienia cię w obiekt litości i kpin - w jęczącą, żalostną kreaturę, niezasługującą na życie bardziej niż robaki, które wiją się na płytach chodnika po ulewnym letnim deszczu.

Portia potrząsnęła głową.

- To nie jest miłość, tylko obsesja. Prawdziwa miłość cię nie osłabia, ale dodaje sił. Napełnia cię odwagą, która pozwala ci przetrwać najbardziej samotną noc. - Powieki Eloisy zaczęły drgać. Portia odważyła się zrobić kolejny krok. - Kiedyś myślałam, że zakochać się to to samo, co doznać zawrotu głowy na widok jakiegoś przystojnego księcia, a potem nigdy się nie rozstawać. Teraz jednak wiem, że książkę czasami kocha tak mocno, że musi pozwolić ci odejść.

Za jej plecami rozległy się krótkie brawa i leniwy, męski głos.

- Cudownie! Nie widziałem takiego wzruszającego przedstawienia od czasu, gdy namówiono Sarę Siddons do powrotu na deski teatru Drury Lane.

Zanim Portia zdążyła się odwrócić, Eloisa otworzyła oczy, wyciągnęła pulchne rączki i zawołała radośnie:

- Wujek Jules! Wujek Jułes!



Portia odwróciła się wolno i zobaczyła Juliana stojącego w przeciwległym końcu sali balowej. Miał na sobie czarną koszulę ozdobioną elegancką koronką przy kołnierzyku i rękawach oraz czarne bryczesy wsunięte w czarne, wysokie buty. Nigdy bardziej nie przypominał księcia nocy.

- Gdybym wiedział, że panna Cabot zamierza wygłosić jedną ze swoich namiętnych mów na temat sentymentalnej natury prawdziwej miłości, włożyłbym do kieszeni dodatkową chusteczkę - powiedział, mierząc ją chłodnym, pogardliwym spojrzeniem.

Zanim Portia zdążyła ocenić, jak bardzo te słowa zraniły jej serce, Valentine wybuchnęła pełnym gorczy śmiechem.

- Wiedziałam, że skoro ona się tu zjawiała, to nie możesz być daleko. Przykro patrzeć, jak biegasz przy jej nodze niczym pies.

- Nie pochlebiaj tej małej, skarbie. Wiesz, że zawsze biegam za pięknymi kobietami, a przede wszystkim za tobą.

Eloisa zaczęła się wiercić niespokojnie, w jej wielkich, szarych oczach pojawiły się łzy. Wiła się i wrywała, najwyraźniej chcąc znaleźć się na ziemi, żeby móc pobiec do swojego przystojnego wujka.

Valentine syknęła na nią, ukazując kły.

- Wiedziałam, że powinnam ci dać kilka kropli laudanum więcej.

- Daj jej swój naszyjnik - zaproponowała Portia, bojąc się, że cierpliwość wampirzycy wobec dziecka zbyt szybko się wyczerpie.

- Co takiego? - Valentine przeniosła na nią zagniewany wzrok.

- Lubi się bawić świecącymi kulkami. Jeśli jej dasz swój naszyjnik, zajmie się nim dłuższą chwilę.

Wampirzyca uniosła brew w pełnym wyższości grymasie.

- Te szafiry podarował mi sułtan Brunei. Masz pojęcie, ile kosztują?

- Nie - odrzekła Portia. - Ale jestem pewna, że zapracowałam na każdy kamień.

Oczy Valentine zwięziły się, ale zdjęła naszyjnik i niechętnie podała Eloisie. Tak jak przewidziała Portia, dziewczynka natychmiast z fascynacją zajęła się błyszczącymi klejnotami. Po sekundzie ułożyła się wygodnie na ramieniu wampirzycy, ssąc z zadowoleniem największy kamień. Powieki znów zaczęły jej opadać, najwyraźniej była jeszcze pod wpływem laudanum.

Valentine wzdygnęła się z obrzydzeniem i przeniosła uwagę na Juliana.

- A więc przyszedłeś błagać o życie bratanicy? To dobrze, bo w tej chwili nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności, niż widok ciebie klęczącego przede mną.

Julian wzruszył ramionami.

- Życie tego dzieciaka niewiele dla mnie znaczy. Mam dla ciebie jednak coś, co o wiele bardziej będzie ci odpowiadało.

Wyszedł do ogrodu przez przeszklone drzwi, a po krótkiej chwili wrócił, popychając przed sobą jakiegoś mężczyznę. Portia wydała cichy okrzyk zaskoczenia, kiedy rozpoznała w nim dawnego przyjaciela Juliana. Cuthbert miał ręce związane na plecach, a w ustach knebel z brudnej szmaty. Jedno oko spuchło mu tak, że nie mógł unieść powieki, a pod nim czernił się wielki siniec. Z rozciętej dolnej wargi wciąż jeszcze płynęła krew. Nozdrza Valentine się rozszerzyły, wyczuwając świeże mięso.

Julian przeprowadził swojego jeńca wzdłuż całej sali balowej. Nawet nie zerknąwszy na Portię, brutalnie pchnął go na podłogę u stóp schodów. Oparł but na jego karku i z gracją skłonił się Valentine.

- Dla uciechy mojej pani.

Valentine przechyliła głowę w bok i przez kilka sekund uważnie przyglądała się temu darowi.

- Trochę za pulchny jak na mój gust, ale liczą się dobre intencje.

- Ellie! - Wszyscy odwrócili się jak na komendę, kiedy okrzyk Adriana, pełen radości, ale i bólu, rozległ się w komnacie.

Adrian wbiegł do sali, a za nim Larkin i Wilbury, wszyscy z bronią gotową do użycia. Julian przyglądał się im z lekkim rozbawieniem, natomiast Valentine nie zdradziła żadnych uczuć nawet mrugnięciem oka. Nie musiała się niczego bać. Miała Eloisę, a więc trzymała w ręku wszystkie atuty.

Adrian zatrzymał się w odległości kilku metrów od schodów, gorączkowo przenosząc wzrok z Eloisy na Portię, a w końcu na Juliana. Potem znów spojrzał na Valentine.

- Oddaj mi córkę - zażądał stanowczo, unosząc kuszę

i mierząc prosto w piękną twarz wampirzycy. - Natychmiast.

- Bo co mi zrobisz? Zastrzelisz mnie? Na twoim miejscu bardzo bym uważała, żeby mnie nie przestraszyć. Przecież nie chcesz, żebym upuściła to dziecko, prawda? Spadając z tych marmurowych schodów, na pewno skręciłaby sobie kark.

Adrian wycodził coś niezrozumiale przez zaciśnięte z wściekłości zęby. Wolno opuścił kuszę.

- Czego od nas chcesz?

Nadal opierając but na karku Cuthberta, Julian rozwarł szeroko ramiona.

- Czyż to nie oczywiste? Chce tego, co każda kobieta o samotnym sercu, spijająca w pustym łóżku. Chce mnie.

Adrian patrzył na brata, jakby widział go po raz pierwszy w życiu.

- Czy ty postradałeś rozum?

- Nie, drogi braciszku. Wreszcie go odzyskałem. Duvalier od początku miał rację. Dlaczego miałbym przez całą wieczność męczyć się, walcząc ze swoim przeznaczeniem, zamiast wykorzystać jego zalety? Właśnie dlatego przyniosłem Valentine ten smaczny kasek jako prezent. Chcę udowodnić szczerą intencję. - Cuthbert stęknął, kiedy Julian zdjął z niego nogę i wszedł na pierwszy stopień schodów. - Oraz swoje dozgonne oddanie.

Valentine patrzyła na niego jeszcze bardziej sceptycznie niż Adrian.

- Dlaczego miałabym uwierzyć w choćby jedno twoje słowo? Ty i twoja ukochana Penelope już dwa razy próbowałeś mnie oszukać.

Julian potrząsnął głową.

- To ja sam się oszukałem, myśląc, że zadurzyłem się w tej małej. Ale po zaledwie jednej nocy w jej ramionach zdałem sobie sprawę, że ona nie dorasta ci do pięt. Nigdy nie będzie umiała tak mi dogodzić jak ty.

Chociaż stał teraz obok Portii, to patrzył na Valentine, a w jego oczach widać było ujmującą czułość, którą Portia znała tak dobrze. Odwróciła twarz i zagryzła wargę, nie wiedząc czy śmiać się, czy płakać.

- Naprawdę była taka nużąca? - zapytała Valentine, mimo woli zaciekawiona.

Julian wchodził po stopniach w górę.

- Zapewniam, że i ciebie rozbawiłyby jej żałosne próby sprawienia mi przyjemności. - Valentine nadal patrzyła na niego z nieskrywaną podejrzliwością, więc dodał: - Już kiedyś ją posiadałem. Była wtedy jeszcze bardzo młodą dziewczyną. Sądziłem, że od tamtego czasu miała kilku kochanków, żeby poprawić swoje umiejętności, ale obawiam się, że straciła te wszystkie lata, kiedy mnie tu nie było, na mrzonkach i marzeniach o mnie. Jeśli chcesz wiedzieć, okazało się, że jest niezdarna i niewprawna jak dawniej.

Portia wciągnęła powietrze, czując taki ból, jakby wdychała mielone szkło.

- Ty sukinsynu - wyszeptał Adrian, słysząc, że potwierdzają się jego najgorsze podejrzenia dotyczące wydarzeń w krypcie. Twarz najpierw mu pobladła, potem poczerwieniała. Znow uniósł kuszę, ale tym razem nie wycelował jej w twarz Valentine, tylko w plecy brata.

Chociaż Portia miała wielką ochotę wyrwać mu broń i własnoręcznie zastrzelić Juliana, to zawołała:

- Nie!

Niewiele myśląc, rzuciła się na szwagra, ale zanim udało jej się do niego dotrzeć, wycelował i wystrzelił. Śmiercionośny bełt ze świstem przeleciał tuż nad uchem Juliana. Z dźwięcznym hukem wbił się w poręcz galerii.

Julian odwrócił się wolno. Spojrzał na brata, uśmiechając się bezczelnie.

- Nie sądzisz, że trochę za późno, żeby bronić jej honoru?

Twarz Adriana wykrzywiła się w grymasie bólu i wściekłości.

- Ona uratowała ci życie w tej krypcie! I tak jej się odwdzięczyłeś - pozbawiając ją niewinności? Mój Boże, ty naprawdę jesteś potworem!

- Wszyscy mi to mówią. - Zbył brata pogardliwym prychnięciem, wspiął się na szczyt schodów, żeby stanąć obok Valentine. Patrzyła na niego z rosnącą aprobatą.

Okrzyknął ją i położył jej rękę na ramionach.

- Co zrobimy, najdroższa? Może oddasz tego dzieciaka mojemu bratu, a wtedy wreszcie zostaniemy sami?

Valentine zerknęła na Eloisę, marszcząc z rozdrażnieniem czoło.

- Sama nie wiem. Miałam nadzieję, że ją sobie zatrzymamy. Gdybyś pozwolił mi zmienić ją w wampira, zostałyby naszą małą córeczką. Przechodnie na ulicy zatrzymywaliby się, żeby ją podziwiać, a my mielibyśmy więcej zabawy, patrząc, jak wbija małe ząbki w ich gardła.

Julian skrzywił się z niesmakiem.

- Co za beznadziejny pomysł! Kto chciałby na całą wieczność obarczać się zasmarkanym bachorem?

Westchnęła.

- Może masz rację. Nie moglibyśmy zatrudnić niańki. Chyba zdecyduję się ją oddać - zgodziła się niechętnie. - Ale tylko pod jednym warunkiem.

Julian pochylił głowę i musnął wargami jej ucho.

- Dla ciebie wszystko, moja ukochana.

Głos Valentine zmienił się w niebezpieczny pomruk.

- Chcę, żebyś zabił Prunellę.

Przez moment twarz Juliana nic nie wyrażała, a Portia miała wrażenie, że serce stanęło jej w piersi. Po chwili Julian wzruszył ramionami, jakby Valentine poprosiła go o flakonik tanich perfum od ulicznego handlarza albo o bukiet kwiatów, ukradzionych z cudzego ogródka.

- Dobrze. Jeśli zgodzę się zabić Portię, ty oddasz dziecinka kochającemu tatusiowi, tak?

- Ale dopiero kiedy przypieczętujemy naszą umowę pocałunkiem.

Uśmiechnął się.

- Z przyjemnością.

Kiedy Julian odwrócił Valentine do siebie i dotknął ustami jej warg, Portia pomyślała, że nie musi zawracać sobie głowy uśmiercaniem jej. Sądząc po bólu, jaki przeszywał jej serce, i tak już umierała. Pozostało jej tylko położyć się na podłodze sali balowej i zaczekać na grabarza.

Pocałunek wydawał się trwać całą wieczność. Kiedy wreszcie Julian odsunął się od wampirzycy, Portia zobaczyła na jego twarzy dobrze jej znajomy wyraz zachwytu.

- Proszę bardzo. Jesteś zadowolona? - zapytał.

- Nie, ale mam przeczucie, że to się wkrótce zmieni.

- Mogę ci to przyrzec. - Pocałował ją jeszcze w śnieżnobiałe policzki i spojrzął na Portię. - Chodź tutaj - polecił,

arogancko kiwając na nią palcem, tak jak kiedyś w bibliotece Adriana.

Stała na schodach jak skamieniała. Nie mogła zdać się na łaskę tego okrutnego, podłego, obcego człowieka. Kiedy jednak jej wzrok padł na Eloisę, ruszyła przed siebie.

- Nie rób tego - powiedział ochryple Adrian. - Nie pozwolę ci na to.

- Pospiesz się, skarbie - ponaglił ją Julian. - Pamiętam dni, kiedy chętnie rzucałaś się w moje ramiona, szczęśliwa.

Portia weszła na następny stopień, nie odrywając wzroku od niewinnej, słodkiej twarzy śpiącej Eloisy. Miała wrażenie, że stopy grzęzną jej w lotnym piasku.

Julian przewrócił oczami.

- Zawsze była taką niepoprawną romantyczką. Może trzeba ją zwabić jakimś czułymi słówkami albo wierszem.

- Złożył ramiona na piersi i po raz pierwszy od wejścia na salę spojrzał jej prosto w oczy. - Jak to kiedyś napisał mój ulubiony poeta? „Gdy stąpa, piękna, jakże przypomina gwiazdziste niebo bez śladu obłoku...”

Portia spojrzała w niezmierną głębię jego błyszczących oczu, czując, że w jej sercu wzbiera gorące uczucie. Bez namysłu weszła na następny stopień, a potem na jeszcze jeden. Nadal patrząc mu w oczy, zdjęła szal z szyi i pozwoliła mu upaść na ziemię. Choć niewiele widziała przez łzy, jej głos zabrzmiał czysto i prawdziwie:

- „Ciemność i jasność - każda z nich zaklina

W nią swój osobny czar, i jest w jej oku.”*

Nie wiedziała, kiedy znalazła się na szczycie schodów.

Julian wyciągnął do niej rękę. Podeszła do niego, powierzając mu swoje serce i życie, tak jak kiedyś, wiele lat temu zrobiła to w krypcie.

Zamknął ją w ramionach, obejmując ją od tyłu w talii. Jego ciało już zaczynała spalać gorączka, która mogła strawić ich oboje. Pochylił głowę i przesunął końcami wydłużonych kłów po jej delikatnej szyi.

- Jestem gotowy zrobić to, co przyrzekłem - poinformował Valentine. Jego głos rozbrzmiewał tuż przy uchu Portii. - Spodziewam się, że ty też dotrzymasz umowy.

Westchnęła z rezygnacją.

- Skoro nalegasz. - Spojrzała na mężczyzn stojących niżej, bezradnie obserwujących bieg zdarzeń. Jej wzrok zatrzymał się na Wilburym. - Przyślijcie tu tego starca.

Szybciej i zręczniejsz, niż Portii wydało się to możliwe, stary kamerdyner przeskoczył nad leżącym na podłodze Cuthbertem i pobiegł na górę. Valentine nie zdążyła nawet wyjąć z rąk dziecka swojego naszyjnika z szafirów, kiedy wyrwał z jej uścisku Eloisę i z powrotem zbiegł ze schodów.

Adrian już na niego czekał i szybko chwycił córkę w ramiona. Obudziła się na chwilę, zdążyła obdarzyć go sennym uśmiechem i zaraz zasnęła. Zacisnął powieki i przyłożył usta do jej potarganych loków. Dopiero po dłuższej chwili podniósł wzrok na Portię.

Uśmiechała się do niego przez łzy, żałując, że nie może mu powiedzieć, jakie uczucia goszczą teraz w jej sercu.

Julian odchylił jej głowę w bok, zapewniając sobie łatwy dostęp do jej bezbronnej szyi. Kiedy wystawił kły, Valentine pożerała ich oboje wzrokiem. Jej własne kły wydłużyły się

jeszcze bardziej i błyszczały bielą na tle krwistoczerwonych ust. Palce wykrzywiły jej się niczym szpony.

Portia zamknęła oczy, modląc się w duszy, żeby jej wiara w Juliana nie okazała się płonna. Jego kły miały już wbić się w jej ciało, ale nagle Julian uniósł głowę i spojrzał na wampirzycę.

- Może ty to zrobisz?

- Naprawdę mogę? - Klasnęła w ozdobione pierścieniami dłonie, a oczy błyszczały jej z zadowolenia. - Zdawało mi się, że nie lubisz się dzielić.

- Dla ciebie gotów jestem uczynić wyjątek. Proszę. Cała jest twoja. - Pchnął ją w ramiona Valentine, jak kiedyś Duvalier w jego ramiona.

Valentine przyciągnęła ją do siebie szorstko i brutalnie. Chwyliła Portię za związane na karku włosy i szarpnięciem przechyliła jej głowę w bok. Była tak zajęta swoją ofiarą, że nie zauważyła Juliana, który niepostrzeżenie stanął tuż za nią.

Zasyczała prosto do ucha Portii, ale po ułamku sekundy zawyła z wściekłością, gdy Julian zatopił kły w jej gardle. Ręce jej zesztyniały, więc wypuściła ofiarę z uścisku. Portia upadła na podłogę z wypolerowanego marmuru.

Po raz pierwszy i ostatni Julian uwolnił bestię, która w nim drzemała. Portia miała ochotę ukryć twarz w dłoniach, ale nie potrafiła. Mogła tylko patrzeć na rozgrywającą się scenę w niemym zdziwieniu. Jego gniew był zdumiewający, siła zniszczenia jednocześnie straszliwa i fascynująca. Nie widziała w jego czynie ani śladu pasji czy pożądania, ale tylko dzikość i przemoc. Wysysał z Valentine wszystko to, co

w niej tworzyły pozory życia, z wygłodniałym zapałem odzyskiwał własną duszę.

Wampirzyca przestała walczyć, zwiotczała w jego uścisku, a Julian nagle odrzucił głowę w tył, jakby uderzył w niego piorun. Portia wiedziała, że nigdy nie zapomni widoku jego twarzy w tamtej chwili. Zobaczyła tam cierpienie i uniesienie, rozpacz i radość, śmierć i cudowny przypływ nowego życia. Julian chwycił powietrze, pierś mu zadrżała, a wygłodniałe płuca wypełniły się pierwszym od niemal dziesięciu lat oddechem.

Portia wstała wolno, tak zahipnotyzowana tą sceną, iż nie zdawała sobie nawet sprawy, że nagle wszystkie przeszkłone drzwi w sali balowej się otworzyły i do środka zaczęli wbiegać jacyś ludzie.

Nie zauważałyby tego jeszcze dłużej, gdyby nie dotarł do niej głośny okrzyk Wallingforda:

- Puść tę kobietę, ty potworze! Widzicie! Mówiłem, że go tutaj znajdziecie, razem z tym drugim gościem, Cuthbertem. Najpierw spalił dom brata, a teraz patrzcie, co wyprawia! Dawaj mi ten pistolet, zanim będzie za późno!

Dokładnie w chwili, gdy Valentine wysunęła się z objęć Juliana i zamieniła w proch, rozległ się ogłuszający wystrzał.

Nad salą balową zaległa śmiertelna, głucha cisza. Julian spojrział na front swojej czarnej koszuli. Wykwitła na nim jeszcze ciemniejsza plama. Przyłożył do niej palce, a potem uniósł je do oczu i z wielkim zdziwieniem spostrzegł, że kapie z nich krew.

- A niech mnie diabli wezmą - wyszeptał, wolno podnosząc wzrok na Portię. Na jego twarzy pojawił się pełen wzruszenia uśmiech. - Albo może jednak nie.

Kolana się pod nim ugięły. Portia z bolesnym krzykiem rzuciła się ku niemu i zanim upadł, chwyciła go w ramiona. Razem osunęli się na podłogę. Głowa Juliana spoczywała teraz na jej kolanach.

W sali poniżej rozpełtał się chaos, ale dla Portii istniała tylko ta jedna chwila, ten jeden mężczyzna. Przycisnęła dłoń do jego rany, a potem przerażona i bezradna, patrzyła, jak krew przepływa jej między palcami.

Przeniosła wzrok na jego twarz, zadziwiona zmianami, jakie na niej zaszły. Wokół oczu ukazały się świeże zmarszczki, drobne bruzdki przy ustach pogłębiły się. Na skroniach dostrzegła pierwsze srebrzyste pasemka siwych włosów. Te nieomyślne oznaki śmiertelności sprawiły, że wydał się jej jeszcze piękniejszy.

Z jej piersi wyrwał się szloch.

- A niech cię, Julianie Kane! Jeśli mi teraz umrzesz, gniew Valentine będzie niczym w porównaniu z moim. Wiesz, co zrobię? Każę im czytać wiersze Byrona na twoim pogrzebie!

Grymas bólu na twarzy Juliana pogłębił się.

- Przecież wiesz, że go nie znoszę.

- Wiem. Dzięki temu w chwili, kiedy oznajmiłeś, że to twój ulubiony poeta, łatwo się domyśliłam, co zamierzasz zrobić.

Uśmiechnął się do niej, nie odrywając oczu od jej twarzy.

- Moja bystra dziewczyna. - Drżąc wciągnął powietrze i westchnął cicho. - Co za rozczarowujący koniec. Miałem nadzieję, że się razem zestarzejemy, wiesz?

- I tak będzie! - zapewniła z przekonaniem. - Będę się objadać śliwkowym puddingiem, więc się roztyję i będę ciągle narzekać na twoje palenie. Ty posiwiejesz, wyhodu-

jesz sobie brzuch, będziesz nieustannie marudził i dopytywał się, gdzie schowałam twoją fajkę. Będziemy tańczyć na weselach naszych wnuków, chociaż one będą się za nas wstydziły.

Julian uniósł dłoń do jej policzka i pogładził go drżącymi palcami.

- Nigdy nie powinienem był cię opuszczać. Jak pomyśle o tych wszystkich straconych latach...

- Nie opuszczaj mnie teraz - błagała go. Grube łyzy spływały jej po policzkach. - Proszę... - Głos jej się łamał. Wsparła czoło na jego skroni.

- Nie płacz, mój aniele - wymamrotał, unosząc jej głowę, żeby móc spojrzeć jej w oczy. - Dokończyłaś dzieła, które rozpoczęłaś w krypcie. Ocaliłaś mnie. - Przyniósł jej rękę do swojej piersi, tak że musiała poczuć cudowne, choć niemiarowe bicie jego serca. - Będziesz płakać na moim grobie, kiedy już odejdę? - spytał ochryple.

- Codziennie - odpowiedziała cicho, starając się uśmiechnąć przez łyzy.

- A kiedy któryś z twoich wielbicieli podaruje ci kota, nazwiesz go moim imieniem?

Skinęła głową, nie mogąc wydobyć z siebie głosu.

Uśmiechnął się do niej uwodzicielskim uśmiechem, który zawsze tak lubiła. Blask w jego oczach zaczynał powoli gasnąć.

- Miałem nadzieję, że oddam ci duszę, ale obawiam się, że tam, gdzie idę, będzie mi potrzebna. Ale nie martw się, Pięknooka. Moje serce jest twoje na zawsze.

Portia ukryła twarz na jego piersi, wydając z siebie zduszony okrzyk rozpacz. Czuła, że jego serce przestało bić.



Kobiety płakały.

Caroline i Vivienne siedziały blisko siebie na drewnianej kościelnej ławie, a Eloisa przysiadła między nimi, podgryzając sznur pereł matki. Larkin usiadł obok żony i trzymał ją za rękę, pomagając jej zachować spokój.

- Nigdy się nie spodziewałam, że ten dzień nadejdzie tak szybko. A ty? - powiedziała Caroline do siostry, przykładając do zaczerwienionego nosa chusteczkę z monogramem, jaką zawsze nosiła za gorsetem sukni.

Vivienne potrząsnęła głową, a do jej wielkich, niebieskich oczu znów napłynęły łzy.

- Pociesza mnie tylko to, że zawsze będziemy mogli służyć Portii radą i pomocą, dodawać jej otuchy podczas trudnych dni, które niewątpliwie nadejdą.

Caroline poklepała ją po ręku.

- Niełatwo jest patrzeć, kiedy odchodzi ktoś bliski.

Vivienne przytaknęła.

- Zwłaszcza tak ukochany.

Z każdą minutą coraz bardziej zniecierpliwiona Eloisa stanęła na ławie. Wypluła perły i uważnie przyglądała się skupionym i poważnym twarzom dorosłych, którzy wypełniali wnętrze kościoła.

Nagle w drzwiach ukazał się jakiś człowiek. Słońce podświetlało od tyłu jego wysoką, szczupłą postać.

Caroline pisała z radości i wyciągnęła do niego pulchne ramiona.

- Wujek Jules!

Julian wszedł do środka, jego twarz rozjaśniał szeroki uśmiech. Chwycił Eloise na ręce i pocałował ją w rumiany policzek.

- Witaj, pączuszk. Tęskniłaś za kochanym starym wujkiem?

Kiwnęła główką i przytuliła się do niego z zadowoleniem.

- Na litość boską! - Caroline wzniosła oczy do nieba.
- Przecież widziała cię przy śniadaniu.

Julian spojrzał na nią z udawanym wyrzutem.

- Żadna kobieta nie potrafi mi się oprzeć i nic na to nie poradzę. Kiedy zaznają moich pocałunków, nigdy już nie są takie same.

- Tak słyszałam. - Caroline uśmiechnęła się do niego zaczepnie.

Larkin wyjął z kieszeni zegarek i sprawdził godzinę.

- Czy nie jesteś trochę spóźniony? Już się baliśmy, że uciekłeś na kontynent z jakąś tancerką.

- Musiałem zostać trochę dłużej w domu, żeby pomóc Wilbury'emu w lukrowaniu tortu. Przypominam ci, że wdzięczam temu staremu, sprytnemu lisowi życie.

Larkin potrząsnął głową.

- Czy mógłbym o tym zapomnieć? Nie miałem pojęcia, o co mu chodzi, kiedy nagle odepchnął na bok Portię i zaczął miarowo uderzać cię w pierś. Okazało się, że to jakaś sztuczka, której nauczył się w młodości na wojnie. Dzięki Bogu, że

Wallingford przyprowadził ze sobą tego lekarza chirurga. Gdyby nie powstrzymał krwawienia i nie zaszył rany... - Chociaż nie dokończył zdania, w rozgrzanym słońcem powietrzu nagle dał się poczuć zimny powiew.

Jakiś człowiek, siedzący za nimi, pochylił się ku nim. Podśłuchiwanie rozmowy przestało już mu wystarczać i postanowił wtrącić swoje trzy grosze.

- Ach, Wallingford! Słyszałem, że zupełnie zwariował. Ciągłe plecie coś o jakichś wysysających krew potworach, które krążą po londyńskich ulicach. Musieli biedaka zamknąć w domu wariatów, żeby nie zrobił nikomu żadnej krzywdy.

Larkin i Julian wymienili twarde spojrzenia. Nie byli w stanie do końca ukryć satysfakcji.

Nieznajomy mówił dalej:

- Ciągłe przysięga, że Kane zamordował jakąś nieszczęsną kobietę, chociaż nigdy nie znaleziono jej ciała. Nawet ludzie, z którymi był tamtej nocy, nie chcą potwierdzić jego słów. Wszyscy przysięgają, że światło było bardzo słabe i wiedzieli tylko, jak Wallingford wyrwał konstablowi pistolet i wystrzelił. Obawiam się, że pozostanie w zamknięciu na bardzo długi czas. Ale i tak miał szczęście, że go nie powieszono za strzelanie do niewinnego człowieka.

Kiedy nieznajomy znów usiadł prosto w swojej ławie, Julian wymamrotał:

- Niewinny człowiek. Nikt mnie tak jeszcze nie nazwał.

Zerknął w stronę ołtarza, gdzie Adrian z Cuthbertem cierpliwie czekali na jego przyjście. Nie potrafił zdecydować, który z nich ma zostać jego drużbą, więc poprosił o to obu.

Cubby nerwowo bawił się fularzem, natomiast Adrian stał spokojny i wyprostowany jak struna, splótłszy dłonie za plecami. Julian oddał Eloisę Caroline, przedtem czule mierzwiąc jej złote loczki.

Cubby powitał go pełnym ulgi westchnieniem.

- Jules, dzięki Bogu, że jesteś! Zupełnie nie potrafię dać sobie rady z tym przeklętym fularzem!

Julian łagodnym gestem odsunął dłonie Cubby'ego na bok i dwoma zręcznymi ruchami zawiązał mu fular w kształtny węzeł.

- Gotowe. Teraz wyglądasz jak prawdziwy dżentelmen. Twój ojciec byłby z ciebie dumny.

Cuthbert uśmiechnął się do niego promiennie. Rozcięta warga szybko się zagoiła, ale pod okiem nadal widniały żółtawe resztki sińca.

Julian z żalem potrząsnął głową.

- Ze wszystkich rzeczy, które musiałem zrobić, będąc wampirem...

Cubby machnięciem ręki zbył jego przeprosiny.

- Nie musisz nic mówić. Pozwoliłbym ci się uderzyć jeszcze raz, jeśli to miałyby oznaczać, że już nigdy nie będę musiał wysłuchać żadnego nudnego kazania na temat zalet umiarkowanego życia.

Poklepawszy przyjaciela po ramieniu, Julian stanął u boku Adriana.

Nie patrząc na brata, Adrian powiedział:

- Czy już ci ostatnio mówiłem, jaki jestem z ciebie dumny?

Julian zerknął na niego z niedowierzaniem.

- Jeszcze niedawno chciałeś mnie zastrzelić z kuszy.

- Ale nie trafiłem, prawda?
- Specjalnie?

Brat nadal patrzył prosto przed siebie, ale na jego ustach ukazał się uśmiech, przypominając Julianowi, że chociaż są i pozostaną braćmi, to nadal będą mieli swoje tajemnice, których nigdy sobie nie zdradzą.

- To ja powinienem cię zastrzelić za to, że kazałeś Wilbury'emu co noc trzymać straż pod drzwiami sypialni Portii. I to przez całe trzy tygodnie, kiedy odczytywano nasze zapowiedzi. - Westchnął ciężko. - Miałem wrażenie, że upłynęła cała wieczność, zanim...

- Jestem zaskoczony, że nie próbowałeś się do niej dostać przez okno.

Julian zgromił go spojrzeniem.

- Próbowałem. Ale jak nie masz skrzydeł, to wcale nie jest takie łatwe. Zwłaszcza kiedy pod oknem rośnie wielki, kolczasty krzak róż. - Wzdrygnął się na wspomnienie licznych zadrapań.

- Czy to nie ty zawsze powtarzałeś, że jeśli coś warto mieć, to również warto na to poczekać?

Julian pewnie zaprzeczyłby słowom brata, ale w tej samej chwili drzwi kościoła otworzyły się, więc w napięciu wstrzymał oddech. Ta możliwość nadal była dla niego niemal cudem.

Nie takim jednak cudem, jak kobieta, która stanęła w drzwiach i dzięki której spełniły się wszystkie jego marzenia.

Wraz z rodziną znajdował się w kościele, do którego wstępu już nic mu nie zabraniało. Słońce wpadało przez witrażowe okna, ogrzewając mu twarz, błyszcząc na lśnią-

cych lokach Portii i na pięknych brukselskich koronkach, którymi ozdobiono jej suknię.

To dzięki Portii mógł sypiać nocami i wstawać o poranku, z radością witając dzień. Teraz nie znosił czerniny, a steki zawsze jadał dobrze wysmażone, niemal przypalone. Mógł trzymać bratanicę na kolanach i uczyć ją gry na fortepianie. Jedyną rzeczą, która mu pozostała z samotnych lat, które spędził w postaci wampira, był nienasycony apetyt na tę kobietę.

Uśmiechnęła się do niego promiennie, w jej niebieskich oczach widać było miłość i czułość. Na szyi miała zawiązaną białą wstążkę, we włosy wpięta aureolę z białych różyczek, która upodabniała ją do anioła.

Kochający wzrok Juliana powędrował niżej. Jeszcze nie nosiła w sobie jego dziecka, jak to było we śnie, ale zamierzał z zapalem zająć się tą sprawą, poczynawszy od dzisiejszej nocy.

Wiedział, że powinien zaczekać, aż biskup pobłogosławi ich związek, ale ponieważ i tak już czuł, że spłynęło na niego błogosławieństwo, nie potrafił czekać ani minuty dłużej. Adrian i Cuthbert wymienili zdziwione spojrzenia, kiedy ruszył na tył kościoła, nie zwracając uwagi na rozlegające się wokół okrzyki zdziwienia zgromadzonych gości.

Chwycił Portię w ramiona, a jej śmiech zabrzmiał jak radosny dzwonek w jego duszy.

- Ależ panie Kane, nie wolno całować panny młodej, dopóki nie złoży się przysięgi miłości na całe życie.

Spojrzał na nią z miłością, chłonąc każdy znajomy rys jej twarzy. Już w świetle świec i księżycy wydawała mu się piękna, ale dopiero słońce odsłoniło całą jej promienną urodę.

- Życie jest za krótkie, żebym zdążył w pełni okazać ci swoją miłość. Kiedyś ci przyrzekłem, że będę cię kochał całą wieczność, czy to jako wampir, czy człowiek. - Przyłożył usta do jej czoła. - Moja słodka... moja kochana... moja anielska...

Odsunęła się o pół kroku i domyślnie spojrzała na niego, mrużąc oczy.

- Jeśli powiesz do mnie Prunello, to obiecuję ci, że spędzimy razem życie, ale tobie się będzie wydawało, że to cała wieczność.

- Moja słodka... moja kochana... moja anielska...
- Uszczypnął ją lekko w czubek nosa, a potem gorąco i czule pocałował w usta - ...moja Pięknooka - dokończył.